

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



STEFAN ŻEROMSKI

DUMA  
O HETMANIE  
I INNE  
OPOWIADANIA

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## ARYMAN MŚCI SIĘ

Zbliżając się do szczytu wyniosłości życia zwracał jeszcze spojrzenie w stronę krainy przebytej. Strudzone stopy ociężałe dźwigały wiek jego, nędzny i ciężki, jak bryłę ołowiu, do ziemi nieznamionej, co się daleko ukazać miała. Ostroymi łokciami wparła się w jego ramiona uporczywa zgryzota i plecy mu w pałąk wygięła. Zelzały już rzemieńne poprzęgi życia wśród blasku i wówczas widoczną była każda sina blizna, którą mocno i głęboko wypaliły. I serce, po tysiąc razy nasycone, już nie łaknęło.

Daleko w nizinach został ów czas, kiedy tak wszystko smakowało duszy, jak sama chciała. Skinienie ręki, na którego widok tłum rozstępuję się i ucieka, jakby go uderzał blask grotów włóczyń schylonych i mieczów wydobytych; skinienie ręki, na którego widok czołga się do stóp nieznany człowiek, jakby go ciągnął powróż siepacza – znudziło się i obmierzło.

I w rzeczach wszystkich, które ujmuje posiadanie, widać było tylko zgryzotę.

O, gdyby można było wrócić się tą samą drogą, o, gdyby można iść wstecz i raz jeszcze ujrzeć, co się już widziało – ku dalekim dolinom, we mgłach tęsknicy roztopionym! Wrócić się do widzeń serca, zobaczyć znowu świat nieprawdziwy odbity w oczach dziecka... Zważać w milczeniu, jak pod sercem, pełnym zdrad i wybiegów, poczyna się tajemne, sobie tylko samemu wiadome westchnienie i przewodniczy orszakowi wyśli nowo narodzonych, które za nim idą w stronę mądrości...

Raz jeszcze temu wzruszeniu zaufać!

Tam, w tych dolinach, zostało się szczęście, które nie trwało dłużej nad czas jednej jutrenki, a zwiędło, podobne do kwiatu wiosny na niwie, gdy wysoko wzbije się skwarne słońce...

A kiedy na obraz ciosów dzwonu za umarłych, które rozbijają ciszę poranka, twarda świadomość roztrącała westchnienie, głosząc, że dni szczęścia już się nie wrócą, już się nie wrócą jak śnieg z chmur spadły na dawne miejsce w przestworzu – wzniósł ciężką rękę, aby zatrzasnąć drzwi miedziane. Na zawsze utracić opuszczone już życie, rozległe siedlisko żalu. Przystać uczuwać potrzebę rozkoszy, których liczba skąpa jest i wiecznie się powtarza, konieczność dziwactw, ciągle odmiennych a zawsze tych samych, świeżych, jak dopiero zerwane róże, skojarzeń myśli, za którymi nieodzownie wlecze się z dala poziewanie.

Rzucić na ziemię i stopą rozedrzeć ostatni kwiat, a duszę, niewolnicę zmysłów, wprowadzić do okręgu, gdzie inny leci czas, nie czekający nigdy, który śpieszy się wiecznie na wyścigi z dziką pianą fal, z polotem wiatru i 'z płomienną błyskawicą. Tam ją przeciwko samej sobie obrócić, aby się poczęła zżerać i trawić jak w ogniu. Aby zaczęła wadzić się z sobą i ze wszystkimi hasłami żywota. Zgromadzić dokoła niej jedynych sojuszników, jedynych przyjaciół i znajomych współbraci: własne jej siły. W mocną smycz ze skóry uchwycić namiętność jak psy i suki. W ściśniętej dłoni sforę ich nikiemną i szczekającą zatrzymać.

A gdy to marzył, stanęła przed nim twarda mądrość maga, którą był ongi poznał i dla rozkoszy życia dawno odtrącił. I widział znowu wielmożną myśl Manesa, co się w irańskich przestworach, u jasnych ognisk dobrotliwego ojca Ahuramazdy zapaliła, co się kochała w Baranku Bożym i ku ognistej tarczy słonecznej leciała, wiecznie stęskniona. Wtedy własne jego uczucia wlały się w amfory mistrza, co się zwał Parakletem. Począł dumać o tajemnicy, o skrytym i niezbadanym duchu człowieka, o tym ogniu niebiańskim pełgającym nad jaskinią.

I widział jak gdyby w sennych marzeniach pracę, walki i niedolę pierwszego człowieka, Adama, który po to przyszedł, aby się w nim dokonało wyzwolenie światłości. Duch jego miał zdobyć całkowitą wiedzę o sobie i rozwinięcie całej natury człowieczej. Ale pan mroku,

ten, co się z przedwiecznego wroga jasności, z Angramainiu wywodzi, zły duch z czołem zranionym od pocisku boskich piorunów, umiał temu przeszkodzić. On to dał Adamowi kobietę za towarzyszkę. Nim nastąpiło wyzwolenie światła, Ewa wzniciła w duszy Adama straszliwą siłę, bezdenną, wszystko niszczącą władzę: miłość. Pod naciskiem tej potęgi Adam rozproszył, osłabił i utracił blask swego ducha. W miłości poczynił dzieci, które były spadkobiercami grzechu i niedoli. A jak było z Adamem, tak było z nim, Dioklesem, dalekim potomkiem.

Wtedy wydarł się z jego piersi głęboki jęk. Jęk żywota. Ujrzał raz na zawsze, że miłość dla kobiety i płodzenie z nią dzieci sprawuje zaplątanie się jasnego ducha w materię. I po trzykroć za prawo nieodwołalne uznał wzgardę rozkoszy cielesnej: pieczęć piersi.

Po wtóre w sennym westchnieniu oglądał drugie prawo wielkiego kacerza: oczyszczenie ducha przez wędrówkę z ciał ludzkich do ciał zwierzęcych i roślinnych. I głęboko przejrzał, że dusza zwierzęca jest częścią Boga. Dlatego wyznał wobec siebie, że zabójstwo zwierząt, zżęcie kłosa i otrząsanie owocu równa się morderstwu, ponieważ przemocą wstrzymuje rozwój światłości uwięzionej w zwierzęciu i w roślinie.

I po trzykroć za prawo nieodwołalne uznał swobodę trzód, pól, gajów, rzek i stepu: pieczęć ręki.

Odtąd utonął cały w nauce wielkiego maga.

I śnił o świętym aniele blasku, jak w postaci węża namawiał pierwszego człowieka, aby zakaz przestąpił – i jak w nim przywiódł rodzaj ludzki do wysokiej świadomości samego siebie; o jasnym aniele, synu słońca, jak w postaci węża krążył pomiędzy ludźmi ucząc ich prawdy o naturze człowieczej; o walce syna słońca wszczętej przeciw królestwu ciemności i o zwycięstwie książąt mroku, którzy część słonecznej zbroi objęli w posiadanie; o tym, jak Pan zesłał wówczas na ratunek człowiekowi ducha żywota, siłę ze siebie samej wynikającą, Eona, który do jarzma wprzężonemu prawicę podał.

I oto duch żywota, wsparty przez inne potęgi, zwyciężył wreszcie pana ciemności. Z cieleśka jego utworzył nocne niebiosa, a z błysków światła, jakie w nim były, stworzył gwiazdy, w mroku lśniące.

Uwierzył Diokles, że gdy zupełne oczyszczenie nastąpi, duch jego jako światłość czysta wzniesie się ku księżycowi, uleci ku słońcu i wejdzie do królestwa wiecznego blasku. Z nim razem oczyszczać się będą z materii ludzie i wszystek świat, od źdźbła chwiejnej trawy nad wodą aż do gwiazdy żarzącej się wśród niebios, póki nie wyłączy się światło z mroku. A gdy materia blask utraci, zamieni się w bryłę martwą i przez ogień będzie pożarta. Dusza każda, która dobrowolnie odda się w niewolę ciemności, karę zasłużoną poniesie i w chwili ostatecznego rozdzielenia królestw będzie do trupiej masy przykuta, ażeby była jej stróżem. Dusza taka stanie się Jedno z tym, co za życia kochała...

Tak uczył Manes. Gdy słońce, gdzie Bóg mieszka w wieczności, słońce, którego natura jest naturą Boga, szło na zachód i w czerwonych piaskach puszczy libijskiej tonąło, Diokles uczuwał w duszy swej tęsknotę bardziej rozległą i nieobeszłą od pustyni. Gdy zmierzch spadał na rozkwitłe wawozy Egiptu, zwracał oczy i wargi szepczące ku światłu nocnemu księżycu, co jak namiestnik pilny i dbały dalekiego władcy obchodził majestatyczne królestwo niebios.

Tak często spędzał bezsenną noc.

A gdy się rozpraszała i gdy brzask pasować się zaczynał z cieniami, brał z sobą mały poczet sług i na mule wyjeżdżał.

Mijał wówczas oazę Jowisza Ammona. Nie wabiły go szumiące jej strugi, przezroczyste jeziora ani cień zmoczonych rosą fig i granatów. Zagłębiał się w dzikie doliny i brnął wskroś nagich, płonych, niepożytecznych płaskowzgórz, zasianych ostrymi głazami. Tam, w tej ziemi, gdzie każde źdźbło usycha, gdzie już nie może wytrwać cedr ani sosna, między skałami szukał tajemnicy żywota.

Wchodził do jaskiń zatarasowanych, które były mogiłami ludzi pustyni – i długo patrzył na zwłoki leżące.

Wyschnięte ciała starców stuletnich, chrześcijan i kacerzy, były całe, nie dotknięte przez zgniliznę. Mocno zwarte, suche dłonie ich ścisnęły krzyże swe z drzewa. Palmowy liść, co im za płaszcz służył, skruszył się i rozsypał. Leżeli nadzy. Zdawało się, że śpią uśmiechając się do widzeń ducha.

Trwali tam setki lat w jamach skalnych ci nieśmiertelni ludzie. Pożywieniem ich był owoc palmowy, napojem woda. Tyle tylko zażywali pokarmu, żeby wydatek sił równy był przychodowi, a osiągnęli tę doskonałość nie wprowadzając do swego ciała nic, co gnije, co jest już własnością śmierci. Nie jedli mięsa zabitych zwierząt, nie pili sfermentowanych napojów. Wszelką zgniliznę wydobywali z żył swoich przez mózół nieustający. I wychodziła wraz z potem, który zlewał plecy, ręce i czoła. Siłę życia czerpali z żyjących promieni słonecznych, z jasności powietrza, z woni ziół. Ciało ich było tak samo czyste jak duch. Częste, długie, z dnia na dzień dłuższe posty uczyniły je niezależnym i nietykalnym. Dlatego śmierci się oparło.

Diokles, opuszczając czerwony kraj pustyni, gdy wracał do pachnących sadów Egiptu, czuł, że jest pośród nich jak przychodzień z ziemi cudzej...

A gdy jednego dnia sam szedł i miał przekroczyć próg domu, zastąpił mu drogę foliach, oracz ubogi, i rzekł:

– Córnka, którąś mi z chaty wziął do łóża swego, powiła dziecię.

Diokles zatrzymał się u drzwi. W głębinie duszy swej mówił:

„Oto jest pokusa szatana...”

A do chłopca rzekł;

– Nie chcę widzieć niemowlęcia. Chcę być sam, sam jeden. Ty z nim uczyni, co chcesz. Wychowaj albo, gdy ci zawadza, rzuć w wodę Nilu.

Ale wewnętrzne, drżące wzruszenie ścisnęło mu gardło, gdy miał powtórzyć słowa rozkazu. Zapytał:

– Syn?

– Tak jest, o panie. Wtedy wymówił:

– Chcę go zobaczyć.

I wszedł do nędznej, czarnej chaty nad wodą. Tam ujrzał leżące w łachmanach dziecko swoje. Miało zaledwie parę tygodni. Oczy jego były jeszcze nieruchome, zimne, wrażliwe tylko na światło i mrok. Spojrzał, jak bezradnymi rękoma przestwór chwyciło, i dziwne myśli usłyszał w głowie swej, jakby mu je szeptały do ucha namiętne wargi:

„Może to jest ten, co będzie zastępował cały ród ludzki...”

Zdeptaj go, zdeptaj!

Może to jest ten, który z serca wyjmie iskrę prawdy i piorunem jej ziemię czarną zapali... Zdmuchnij ją, zdmuchnij!

Może to jest ten, co mrok rozedrze jak Samson lwa... Złam jego rękę, złam!”

A kiedy stał pochylony i patrzył w maleńkie ciało dziecięcia, płomień radości z jego serca buchnęły. Znalazł już wszystko. Odszukał samego siebie. Nie przewidywał takiego uczucia, podobnie jak nikt nie wie pośród wesela o łzach, a dowiaduje się całej o nich prawdy wówczas dopiero, gdy je w nieszczęściu przyjdzie wylewać.

Szybkimi krokami udał się do swej siedziby i wrócił prędko, dźwigając wór pieniędzy. Obsypał złotem matkę niemowlęcia i całą jej rodzinę. W zamian za syna darował im grunta, na które wylewają się czarne wody. Kupił go na swoją, na niepodzielną własność. Łkając oddawała go matka, ale złote monety, których pełne garści jej rzucił, uciszyły jej boleść.

Diokles wrócił do swego domu z dziećciem i drzwi zatarasował. Czarny niewolnik jeden jedyny miał prawo wstępu do komnaty, gdzie stała kołyska. Gotował mleko rozcieńczone

wodą, przyrządzał kąpiel i lniane chusty. Diokles sam dawał pożywienie synowi, sam go przewijał, kąpał i utulał w płaszczu.

Spędzał z nim długie, szczęśliwe godziny. Gdy dziecię ze snu otwierało oczy i wzrokiem przygasłym śledziło błyski słońca ozłacające ściany, leżąc na dywanie głowę kładł przy nim i w małe ciało przelewał swą wolę, swe myśli i marzenia. Do kruchej piastki, stulonej jak liść grabowy, co się w dniach wiosennych z pęka wydobywa, przyciskał wargi z błaganiem:

Synu mój, synu...

Nie chcę, żebyś był panem, którego witają poddani, zginając grzbiety. Nie chcę, żebyś był panem, który może, gdy chce, łzy wycisnąć i uśmiech szczęścia darować stęsknionemu tłumowi. Nie chcę, żebyś był wodzem, którego na błoni rozległym pozdrawiają grzmotem okrzyków legiony okute w żelazo, uszykowane chorągwiami. Nie chcę, żebyś był wodzem, którego potęga łamie góry i w skiby urodzajne obraca. Nie chcę, żebyś był królem o prawicy rozciągniętej nad krajem, gdzie lata kamsin, nad wszystkimi falami Nilu i nad jego deltą wiecznie kwitnącą. Nie chcę, żebyś był królem, który może wznosić lub zwalać Diospolis, Luksor i Karnak, a kładzie się spać na wieki, sam jeden, w czeluściach piramidy.

Synu mój, synu...

Nie chcę, żebyś posiadał mądrość, matkę niewidzialnej władzy nad ludźmi. Nie chcę, żebyś był twórcą potężnym, którego imię powtarzać będą ze czcią i zdumieniem dalekie, obce ludy.

Synu mój, synu...

Pragnę, żeby moje wzruszenia weszły w twe serce jak iskra ognia. Pragnę, żeby moje męczarnie tobie serca nie zraniły, a innych żebyś nie poznał. Pragnę, żeby z ducha twojego wyrosło jako czyn moje serce zdławione rękoma nieszczęścia.

Synu mój!

Bądź czystym, który oburącz wynosi z mroków światło słońca. Bądź mężnym, który śmierć przekłada nad złamanie słów zaprzysiężonych w obliczu swego ducha. Posiądź uśmiech szczęścia, który warg nie odstępować nigdy, nie odstępować na krzyżu, gdy gwoździe katowskie ręce przybijają do drzewa.

Synu mój!

Dam ci potęgę samotności, której nie miał Adam, pierwszy pracownik. Dam ci potęgę najgłębszą: nie zaznasz miłości dla kobiety. Włożę w twe oczy wyniosły wzrok zwiastuna, który widzi wieczność i drogę idącą ku słońcu za łańcuchami gór.

Posiądź szczęście! Bądź nieśmiertelny sam w łonie swym, bądź wieczny, tu, za życia, i niechaj wieczne będzie twe ciało!

A gdy małą dziecinę opanował płacz i gdy krzykiem uskarżała się na ból czy nudę swoją, wyrywał ze strun lutni głęboką melodię, pierwszy raz przez wzruszone palce w nich znaną. Pod wpływem jej dzieciątko się uciszało. W oczach jego ukazywała się zdumiona ciekawość, a na wargach zakwitał uśmiezek niewysłowiony. Uśmiech do dźwięków muzyki, do owych istnień radosnych od blasku albo ponurych i strasznych jak wnętrze trumny zbudowanej, do rzeczy bezkształtnych, świetlistych, pachnących, gładkich, których byt wspólny z dźwiękami się poznawał... Pierwszy uśmiech przychodzi do najmilszego, co ma ta czarna ziemia...

Kiedy indziej, gdy wśród nocy głębokiej siedział schylony nad kołyską, a przed blaskiem płomienia kryły się po kątach nietoperze cieniów, niemowlę wpatrywało się w te ruchome czarne figury.

Diokles tonął w dociekaniu, jakie uczucia przejmują wówczas serce jego syna. Czy dlań człowiek nie jest tym samym, co cień jego postaci? Jak zwiędła mu się twarz i wszystko, czego nie zna?... Co w duszy jego zapala? Pragnął iść za każdym z tych wrażeń, za każdym z westchnień jak niewidzialny świadek i modlić się z oddali w ostrym zranieniu ducha, ażeby, na wzór obłoków wstających z ziemi i wód o wczesnym poranku, szły do słońca.



Innego dnia siedział na rozciągniętym dywanie, gdy dziecię spało. Zaczęła nad nim krążyć zła mucha. Siadała na małym czole, na licu, na ustach i na zamkniętych powiekach. Wolno rozwarły się oczy niemowlęcia. Brwi jego drgnęły i wejrzenie zgrozy pełne ścigało muchę. Ona krążyła dokoła małej głowy jakby szukając miejsca, które ma zranić. I nagle zaleknienie spadło na senne oczy, a twarz przeszło niby strzała ognista.

Diokles stał z dala. Splecione dłonie przycisnął do piersi i z cicha szeptał:

– Oddal się, zła mucho, zła mucho, straszny zwiastunie. Idą za tobą stada potworów kryjąc się w cieniach. Przeciwno mnie zwróć żądło twoje. Spraw, niechaj serce me zarobi się i ustanie pod ciężarem bólesci. Niech po każdej nocy poduszka moja mokrą będzie od łez na próżno wylewanych. Niech każda jutrznia wschodząca w dyby smutku zawiera nogi moje, a zmierzch niech nie zdejmuję z mych rąk – żelaznych kajdan ucisku. Niech jak badyl sitowia pod wiatrem siania się dusza moja u twardych stóp niedoli, tylko od niego odejdz, zła mucho, zła mucho...

Nastał ów dzień.

Diokles sprzedał dom i pola, które błogosławiony czarny Kemi zalewa, ciche ogrody nad-rzeczne, gdzie kwitły pomarańczowe i cytrynowe drzewa, gdzie lśniące laury zwiększały cień, a nieruchoma brzoza babilońska śliczne gałęzie zginała nad wodą. Sprzedał za bezcen, a pieniądze rozdał garściami nędzarzom na wybrzeżu łą u drzwi świątyń. Z niezliczonego do-  
statku zatrzymał trochę odzieży i parę jucznych mułów. Na wsze strony rozgłosił, że kraj opuszcza i dąży w stronę Arabii.

O wczesnym świcie uciekł z doliny, niosąc syna w zgrzebnej płachcie na plecach. Szedł w stronę przeciwną, w tę stronę, dokąd idzie słońce, na zachód, w puszcę libijską. Szedł długo, aż tam, dokąd już nikt nie chodzi, gdzie na słońcu wygrzewa się samotny lew, gdzie niekiedy przelatuje wskroś piachów cień sępa i gdzie puchacz chichoce w ciemną noc.

Miejsce to było zawałone skałami. W ich głębi tały się suche jamy, na pół przez wydmy zasypane. Niegdyś w ciągu wieków zamierzchłych stada Etiopów wyłupywały tam kamień i olbrzymie jego bryły linami na kołach skrzypiących ciągnęły, żeby z nich wznosić świątynie i piramidy. Stały tam jeszcze otworem głębokie pieczary, gdzie Izrael, kując porfir, łkał pod batem i w nieznannej mowie przeklinał Mizraim, ziemię egipską, dom niewoli. Naokół piętrzyły się rude wzgórza i skalne urwiska, a dalej wędrowne kurhany i zasy pyłki, który przelatuje na skrzydłach wicherów po przestrzeni szerokiej. Dokąd oko pobiegło, leżała wszędzie pustynia czcza i ogołocona, morze piasków ciche, nieruchome, w promieniach słońca od soli połyskujące. W tym miejscu Diokles znalazł drzewa palmowe, trawnik i kwiaty, źródło wody krynicznej i suchą jaskinię. Tam rozesłał poduszkę z sitowia i na niej ułożył dziecię.

Gdy od tej chwili ćwierć wieku upłynęło, plecy starca zgarbiły się, długa broda do pasa sięgała, ręce wyschły, słuch i wzrok stępsiał. Gasnącym okiem spoglądał Diokles na syna, który go przerósł o głowę. Oczy młodzieńca były czarne i głębokie jak u matki, a długie, wzburzone włosy były niby sen, który ją przypominał. Młody pustelnik prócz ojca nie widział przez cały swój żywot ani jednego człowieka. Żyli w skałach we dwu jak szakale. Czasami, gdy w strumieniu dużo namoczyli liścia palmowego i upletli obfity stos koszów, Diokles brał towar na plecy i szedł w puszcę, nie mówiąc synowi, dokąd się udaje. Kiedy powracał, niósł zapasy i pisma święte.

Pewnego dnia wstawszy rano rzekł Jan do ojca:

– Miałem sen dziwny i piękny, jak gdybym w ciągu tej nocy gościł w niebiosach. Zamknąć oczy i raz jeszcze zobaczyć te same widzenia!... Gdy czuję, że się w głębi mego wzroku oddalają, i gdy wstrzymać ich nie mogę, krzyk się z mych piersi wydiera.

Przychodziły do mego łoża i stawały nade mną dziwne istoty, do mnie ani do ciebie niepodobne, choć miały nasze ludzkie ciała. Nigdy ich nie widziałem w pustyni.

Włosy ich były długie... U jednej żółtawe, niby drzewo bukszpanowe, ale połyskujące jak piaski dalekie o zachodzie słońca.

Druga miała włosy ciemne i wzburzone jak dym, kiedy leniwie wzbija się kłębammi nad mokrym drzewem ogniska.

Włosy trzeciej były czarne, bez blasku, tak długie, tak nieskończone i ciągnące do siebie jak wielka jaskinia, na której dnie jeszcze nigdy nie byłem.

Szyje ich były okrągłe, cienkie, a tak się zginały jak u ptaków. Stwory te odziane były w lśniące szaty, które, tańcząc dokoła mojej pościeli, rozpinają wstydliwymi palcami. Wtedy ukazywały się piersi ich okrągłe, śnieżyste, podobne do obłoczków rannych, które łagodny wiatr z nocnej głębiny wynosi. Usta ich były purpurowe jak kwiat granatu, który jednego dnia przyniosłeś mi z daleka, stamtąd, gdzie sam bywasz.

Lekki ruchy, na okrągłych biodrach kołysały się uroczo, jak się kołysze mirt u brzegu krynicy, gdy wichur zimowy nad siedzibą naszą czarne pióra otrząsa. Zbliżały się cicho i z lękiem, wznosiły ręce bielsze od mleka i posłanie me zaścielały szkarłatnymi chustami. Witały się ze mną łaskawym skinieniem brwi i wątlwym dreszczem rżęs, a oczy zasłaniały liliowymi powiekami, które sieć małych żyłek przecina. Jeżeli kiedy odkryły się oczy ich błękitne albo czarne, to je ocieniała dziwna, mglista zasłona. Płonąca barwa wypływała na ich policzki bez skazy... Wtedy słyszałem jak gdyby liście z cicha szumiące i zdało mi się, że wymawiają piieszczotliwie me imię. Z ust mych, gdy na nie patrzałem, wydierało się senne, obumarłe łkanie. Patrzałem, czyli z ich ramion nie wyrastają skrzydła białe, jak to mówiłeś o aniołach... —

Diokles siedział milczący z głową w dłoniach ukrytą.

Rzekł nagle:

– To są szatany.

– Szatany... – konającym głosem powtórzył Jan. Zamilkł w zdumieniu i wzrokiem pełnym boleści przed siebie spoglądał.

Wtedy ojciec jął go zaklinać, ażeby precz wypędzał widzenia czarujące. Błagał go cichymi słowy przez Pana, który jest zawistny miłośnik, przez Pana, który jest waleczny i w walecznym człowieku miłość swą składa.

Syn uwierzył. Częsty post, nawet od daktylowego owocu, czarty z jego oczu wypędzał. Lecz nie zawsze. Przychodziły doń ciemnymi nocami owe istoty tajemnicze. Stawały nad nim i wyciągały ręce... I nieraz w ciągu dnia, gdy kuł grobowe łożnice dla ojca i dla siebie w twardych pokładach muszlowych, gdzie minione stulecia złożyły szczątki drzew i roślin skamieniałych, przychodziły te same widma, zamglone w szelestach uroczych, w woniach kwiatowych, w ciszy nieruchomej i w łagodnych tchnieniach wiatru. Wtedy pracował w dwójnasób, wtedy dźwigał olbrzymie bryły z daleka i otaczał nimi całą oazę. Czynił tak długo i z uporem, póki zemdlony nie padał.

Wysoko weszło słońce i zajrzało do grotu. Diokles spał z rozwartymi oczyma i ustami. Spał na wieki.

Po upływie dni paru, gdy nie dał znaku życia, odniósł go syn do kamiennej trumny na szczycie skał, złożył tam pieszczotliwie i wielkim ociosanym głazem przywalił.

Teraz był sam w pustyni.

Serce jego pełne było świętego żalu, a dusza na wieki przyrosła do grobowca na skalnej wyżynie. Tajemna, głęboka, niewiadoma siła przyciągała go do tych kamieni na górze, jak bryła bursztynu przyciąga kruszynę żdźbła słomianego. Szedł tam co wieczór i o świcie, siedział w zadumaniu, pełen wzruszenia, które nigdy nie słabło.

Lecz w ciągu dnia, gdy się imał pracy, ogarniały go podniety niespokojne i dzikie żądze w nim się burzyły. Tchnęło weń z obszaru, na który padał wzrok, pragnienie, żeby iść, iść daleko, w tę stronę, dokąd chodził ojciec. Wtedy duch jego młody trząsł się i kipiał aż do dna jak siwe, straszne, oszalałe morze, gdy w nie runą wichry z północy i wichry z południa.

A kiedy zasepiło się niebo i słońce blask utracił stało jak krąg fioletowy; gdy szare powietrze napęlił kurz latający, który opaść nie może; gdy wicher buchać zaczynał z miejsc czarnych i pustych – wtedy Jan pragnął z nim lecieć, lecieć na koniec świata, i ulegał podmuchom jak pajęczyna wisząca u zrębu pieczary. A skoro wicher przedzierzał się w samum, w straszliwe tchnienie nozdrzy Boga, a wzdęte piachy wydierały się z pustyni niby cienkie żagle, zaczezione o niewidzialną reję w chmurach a drugą w głębi ziemi – wówczas z mroku swojej pieczary widział cudaczne zjawiska. Skalne zręby, gdy w nie wicher uderzał miotając się i dymiąc – ziewały, a z paszczy ich strzelał ogień. Ciemność parna i duszna latała nad ziemią niby skrzydła szatańskie. Przewiew napęlił się cały żywica gorącą. Marmur, żelazo i woda parzyły rękę. Wtedy ogniowe, ze strony słońca lecące chmury splatały się z łonem piasków rozpalonych jak ciało, którego piersi były okrągłe, ramiona słodko rozwarte, a włos falami rozwiewał się po nagiej szyi.

Jan upadał twarzą na ziemię i wzywał ducha ojcowskiego na pomoc. I święta miłość gasiła widma szatańskie. Budziła żądzę czynu, który kiedyś wypełniony zostanie. Czyn ten przed zaśnięciem nakazał mu Diokles mówiąc:

– Gdy w cichej wodzie źródła zobaczysz, że włosy twe białe śnieg okrył, gdy nogi twe ustaną, ręce zgrabieją i głowy już schylać nie będziesz przestępując próg jaskini, wtedy opuścisz to miejsce i pójdziesz dniami, nocami w stronę, gdzie słońce wschodzi.

Jan siedział o świcie obok trumny ojcowskiej na wierzchołku skały, gdy oczom jego ukazał się ów widok. Zdało mu się z początku, że to plama wijąca się w źrenicy, że struś, że lew, że stado antylop...

Zbiegł szybko, stanął u drzwi swej grotty i patrzył zdumionymi oczyma. Zbliżały się ku jego schronisku myszate wielbłądy z długimi szyjami i pyskiem o wardze przeciętej, miamlącej strawę. Zgrzytał żwir pod ciężkimi nogami ich o nagniotkowej podszwie. Między garbatymi grzbietami wznosiły się połyskujące siodła, a w nich leżeli wspaniali, znużeni ludzie. Obok dromaderów wlokły się leniwie ociężałe muły dźwigając pakunki, szły piękne konie o skórze cienkiej jak u człowieka. Migotała polerowana miedź puklerzów, zwieszały się z ramion długie białe tkaniny i płonęła w słońcu od drogich kamieni zimna, cicha, błękitnawa broń.

Gdy karawana pod cieniem palm zatrzymała się na chwilę i gdy jeźdźcy na wyścigi rzucili się do źródła, nadciągnął jeszcze orszak inny. Sześciu olbrzymich Murzynów niesło na ramionach palankin z bambusu. Szkarłatne chusty zasłaniały jego wnętrze, a złota frędzla wlokła się z szelestem po ziemi. Czarni niewolnicy wstrzymali się na chwilę. Zaslona rozsunała się wolno i spoza niej wyjrzały senne, czarne, głębokie, a jakby blaskiem księżyca posrebrzone oczy. Oczy te wzniosły się na Jana...

Błękitna noc okryła pustynię.

Jan zawarł ciężkie drzwi swego schronienia i rzucił się na łożo. Gdy pierwszy sen zaczął kleić jego powieki, dało się słyszeć kołatanie. Wstał tedy i odsunął wrzeczadł drewniany.

Na progu jego jaskini stał człowiek. Serce w pustelniku zadrżało, a tchnienie radości głos mu odjęło. W zachwycającym omamieniu sądził, że to ojciec umarły ciężkie wieko swej trumny odwalił i u drzwi stoi. Lecz ten, kto przybył, rzekł doń głosem cudzym, a głos jego szeptał wdzięcznie jak szmer strumienia, co się po ostrych kamykach między kępami cyrenejskiego zieleń przelewa. Palce Jana wpiły się w opokę groty, a wicher ognisty wionął przez jego głowę. Zapach cichych i bojaźliwych słów otoczył go jak woń róż deszczem zmoczonych i jaśminów, które się tulą na wiosnę u boku zapomnianej cysterny.

Mówił ten głos:

– Przyszłam do ciebie...

Przez puszcę daleką, przez oschłe piaski dzień i noc biegłam. A razem ze mną toczyło się pustyni ogniste koło i zamykało mię w sobie.

Ale ja szłam do ciebie... Wierzyłam, że cię odnajdę, wierzyłam w to, nie wiem czemu... Raz tylko widziałam twe oczy i twoją czarną twarz, po której coś się przemyka, coś, lżejsze od połysku złota.

Jakże mi się podobał rumieniec, który wtedy na nią wypłynął z głębin twojego serca, podobnie jak ranna zorza wypływa ze słońca, które jeszcze za krawędziami ziemi się kryje! Jakże mi się podobały nozdrza twe, gdy prędko miotać zaczęły oddech gorący! Jakże mi się podobała cera twej szyi nagiej, spalonej, o barwie czarnych róż, które pod moje okna przywozi co dzień z tamtej strony Nilu przekupień grecki, poruszając ciche fale jodłowymi wiosłami, gdy budzą się senne pelikany nad wodą!

Raz cię ujrzałam i już odtąd nie mogłam spać przy matce, w wąskim łóżku dziewiczym. Jak silny, mściwy bóg, coś ze minie wydarłeś jednym spojrzeniem czarnych oczu.

Krzywy dziób sępa nie tak chciwie szarpie pisklę synogarlicy jak błysk twych oczu napadający w biały dzień i w ciemną, bezgwiazdną noc... – Jan o krok posunął się naprzód i wyciągnął rękę. Chciał zwalić szatana w piersi kamiennym krzykiem, ale tylko szept miękkiej jak słaby motyl sfrunął z wargi jego:

– Odejdź...

Znowu ozwał się głos:

– Dziecię niewinne!... Święty człowieku, który w puszczy żywiesz i ani jednej zbrodni ludzkiej nie widziałeś!

Trwożne westchnienia płynęły w żyłach mych i sidło strachu ścisnęło mi serce... Drżałam w wahaniu się bezsennym, bo wielbię wszystko w tobie, nawet świętą dziewiczość twoją. W słodczy zachwycenia paliłam się od westchnień i byłam wszystka jak płomień nieujęty, co wiecznie przygasa i wiecznie się odradza. Znikałam tak jak on. Serce, uciemnione przez pragnienia tajemnicze, przymuszało mię do ciągłych łez nie wiadomo za czym, a żadna uciecha osuszyć ich nie była w stanie. Karmiłam się łzami żywymi, co jak woda z krynicy nieprzebrane płyną...

Królu, z czarnego oddalenia nierychło wschodzący, tronie wieczysty, słońce, które miłujesz potężnych i niezdobytych, kiedyż się rozednieje i kiedyż przeminie władza nocy?...

Ty – jak powabny, błękitnawy, zawstydzony obłok – zostałeś za mną w dalekim przestworzu. Nic już nie czułam z żalu. Topiłam się w tęsknocie i blada, bez tchu, przelekniona drżałam wobec niewiadomych uczynków, które w mym łonie drzemały, poczęte w tej chwili czasu, kiedym ciebie ujrzała. I oto jednej nocy kazał mi głos, bym szła do ciebie.

Waleczny Skazany, Przybity do krzyża. Ty, co z wieczności wyciągasz prawicę do duchów jasnych, wyciśnij pieczęć na piersi mej! Tyś jest mój Pan jedyny i skała moja!

Słyszę twój głos żebrzący i widzę cień twej postaci.

Czemuż nie zbliżasz się do mnie i nie wyciągasz stęsknionych rąk? Zimno mi. Nędzny mróz obejmuje ramiona moje i ściska piersi. Chłodna jest w nocy pustynia, tchnie lodem oddech jej wielki. Czyż mię nie weźmiesz do chaty swej, boży człowieku? —

Jan szeroko drzwi otwarł, a sam się cofnął w głąb groty. Stamtąd słyszał, jak suchy, drobny piasek zgrzyta pod skórzanymi cizmami i jak szeleszczą jedwabne szaty, które poprzedza rozkoszna woń jak gdyby wątych lilii. Głowa jego upadła na piersi, a ręce znalazły w ciemności krzesiwo, kamień i próchno drzewne. Błysnęła iskra i zatliła lniany knot w misce z kamienia, napełnionej żywicą. Zapalił się duży płomień. Stojąc za nim z przymkniętymi oczyma Jan słyszał pieszczący głos:

– Pragnę cię widzieć, raz jeszcze cię zobaczyć. Mienisz się w ogniu jak puchar z kruchego kryształu. Pozwól mi zabrać i ukryć w sercu blask twoich źrenic, ogień uderzający, co jak wino z wyspy greckiej upaja.

Czemuż zamknięte są powieki twe?... – Wtedy wzniosł oczy. Usta jego były drżące i wypełzło z nich słowo leniwe jak wąż, któremu głowę zmiażdżyły kamienie:

– Ojczy, przyjdź mi na pomoc!...

– Czemuż nie mnie pieszczotliwie przyzywasz? Spojrzenie twe wyteżone jest przeciwko głowie mej niby cięciwa krzywego łuku. Ostra strzała, która z niego wyleci, zepchnie mnie w wieczny grób! Czemuż mię przerażeniem zdejmujesz i czemu straszny jesteś jak ryk leopardowy, gdy go w głębokiej nocy słyszać w pobliżu?... —

– „Serce czyste stwórz we mnie, Boże, a ducha prawego odnow we wnętrzościach mych!”

– Kochanku!

– Tyś to jest szatan?

– Ja jestem tobą samym. Ja i ty to samo teraz jesteśmy. W sercu twym mieszkać pragnę i płynąć w twojej krwi. W czarne oczy twe wcielić się i na wieki pozostać. Czemuż mię szatanem zowiesz? Czyżem nie piękna?

– Piękne są oczy twoje płomienne, które z góry powiekami nakrywasz. I usta uchylające się na obraz róży młodocianej.

Piękne są ręce, które w tyle głowy splotłaś palcami.

I długie włosy. Płyną jakby dwie fale, jak czarne wody, z białych ramion na piersi...

Piękniejsze jest czoło twe niż blask księżyca, między drzewami w nocnym milczeniu. I czarne brwi...

Szyja twa chowa się między piersi śnieżyste jak wiosenne niebo między dwa białe obłoki. Pachnie szata połyskliwa, którą biodra swe opasałaś. Uśmiech twój we snach widziałem.

Zaklinam cię na imię, które nie może być wymówione, opuść mię... —

– Upadł na twoją twarz czerwony ognia blask. Lśni się nad czołem kędzierzawych włosów puszcza. Zabłyśły oczy twe. Jesteś przeraźliwy i zimny jako oblicze Anubisa, wodza umarłych. O, gdyby mógł rozpalić się w tobie swobodny ogień i gdybyś stał się, tak jak ja, pijany od krwi kipiącej! Lwie pustyni!... Pragnę, żebyś mię słabą pochwycił i dusił barkami, w których się przeją żyły pełne gęstej krwi!

Chciałabym czuć ramiona twoje wokoło piersi, wokoło żeber, olbrzymie jak las dziewiczy, skąd widać jedwabne fale morza, co się pieszczą nad burzliwymi głębiami. Na wargach twych, parzących jak węgiel rozdmuchany, zakwitłby cichy, zły, straszliwy, ukochany półu-

śmiech. Nie wiesz, jak pachnie rozchylająca się róża mych ust. Nagle przyszłoby szczęście jak niespodziewany z cichego horyzontu powiew kamsinu. Ponure oczy twoje, żelazne oczy tygrysa, co pierwszy raz ujrzały młode jagnięta w dolinie, omdlałyby nade mną. Wzrok twój stałby się długi i przykuwający jak zapach tuberoz, który nocna rosa wypielęgnowała. Czoło twoje wzniosłoby się nade mną radośniej niż wietrzyk przelatujący nad ziemią egipską, gdy zimowy deszcz ustanie. Wielbiłabym straszliwe czyny twoje i wiałabym się pod ramieniem twym, kiedy byś stękał i drżał jak dąb na szczycie gór wśród huku burzy. Wielbiłabym zapalający ogień w tobie słowem bezwstydnym, co przesywa serce soplami lodu... —

– Słowa twe przesywają serce soplami lodu...

– Pójdź do mnie! Tyś jest jak kwiat akacjowy, co z twardej łuski drzewa wyszedł i otworem stoi spoglądając w ciemną noc. Ja jestem kropla rosy, dla ciebie jedyne stworzona. Posłuchaj, jak leci w żyłach wzdętych rozdzierająca krew. Będiesz umierał na sercu mym i w każdej chwili odradzać się będziesz, gdy usta twe odetchną w moich, a dusza twa w moją wejdzie, jak płomień wchodzi w płomień!

Jan usłyszał w głębi swej duszy słowo: „Płomień”.

To był głos ojca.

I jeszcze raz powtórzył ten sam głos:

„Płomień, płomień!” Wtedy podniósłszy na nią oczy Jan rzekł:

– Świętego apostoła są słowa: „Którzy takie sprawy czynią, na męki idą”.

Patrzcie, jak płonie ogień wieczny i jak się pali grzeszne ciało, które rozkosz nawiedziła. —

A gdy te słowa wymówił, podniósł rękę prawą i wskazujący palec włożył w płomień ognia, co na misie kamiennej pełgał. I stał tak dotąd nieruchomy, aż się palec zatlił, rozpalił i gorzał.

Wtedy dla wielkiego cierpienia przestał pustelnik czuć rozkosz widoku piękności.

A ona widząc, co czynił, z przestachu jak kamień się stała. Oniemiały jej usta, upadły bezwładne ręce i z oczu lazurów życie uciekało.

Z jękiem upadła na ziemię. Włosy jej długie, włosy czarujące, włosy pełne zapachu rozwiały się po ziemi, a łono, siedlisko rozkoszy, druzgotał młot boleści. Blask płomienia padał na jej cudowne ciało. Tak aż do rana w prochu nieruchomo leżała. I aż do rana w milczeniu to samo czynił, aż u prawicy poupalał wszystkie palce.

Wtedy nad nią stanął i mgłami zakryty wzrok schylił ku ziemi, a wyciągniętą ręką uczynić chciał nad leżącą znak krzyża.

Zbielałe usta jego szepnęły:

– Odejdź w pokoju.

Kiedy i wówczas nie powstała, schylił się, żeby ją dźwignąć. A dotknąwszy ramienia poznał, że umarła.



Wyniósł się tron słoneczny na brzeg daleki piachów pustyni i roztrącił wszechmocnym skinieniem noc zielonawą. Rosy nalistnice szukały przed nim ukrycia w głębinie ziemi i w komorach pachnących kwiatów. Z wolna posuwał się cień wielkiej skały, który jak płaszcz szeroki okrywał leżące przede drzwiami grotty ciało Jana.

Pustelnik spał.

Gorączka krwi jego zamieniła w płomień huczące w żyłach; niby kupa rozżarzonych węgla obiegła czaszkę. W stawy jego kołatały młoty wstrząśnień bolesnych. Spał twardo. Pięść upaloną, rozpuchłą i drgającą tulił do piersi...

Łkał we śnie.

Aż oto tron pana wstąpił wyżej i cień skały zwinął jak połę opończy. Promienista prawica słońca spoczęła na czole śpiącego.

Wtedy Jan oczy otworzył, ale wnet zawarł powieki i patrzył w głębinę swego ducha, gdzie wrzała straszliwa burza, jak gdyby samum rozszarpujący ziemię.

Krwawa pięść Jana wzniosła się w górę, w tę stronę, gdzie na skalnej wyżynie była trumna jego ojca. Spalone usta wołały z krzykiem:

– Straszny i okrutny dla mnie był duch twój, jak struś, co jaje zniesie, w piasku pustyni zakopie, a sam ucieka.

Przeklęta niech będzie miłość twa dla mnie, z której poczęła się twoja siła, a moja słabość.

Łakomy zżeraczu i zawistny tępiciele szczęścia, czemuż nie poszedłeś do szatana uczyć się dobroci?...

Dobry jest szatan i państwo Jego rozkoszy: noc. Niech będzie błogosławiony szept jego cichy i niech zgaśnie w piersi mej płomień twój.

Usta spieczone położył w piasku wilgotnym, gdzie w wyciśniętych śladach małych sandałów stała jeszcze rosa nocna...

## GODZINA

Rozległy ogród tarasami zstępujący ku rzece, która płynie za jego murem, pełen jest światła, wilgotnych cieniów i odoru wiosennej, skopanej ziemi. Jeszcze rosa obfita stoi na trawach. Lekki powiew odchyła młodociane, w srebrną barwę obleczone liście sokory. Klono-we, tak przejrzyste, że wskroś nich widać słońce, listki wątle, białawe, swawolne, taplają się pieszczotliwie w błękitnych wietrzykach. Gędźba ptaków, dysząca zachwytem i namiętnościami, wrywa się z powszechnego chorału pszczół, co jak głęboki a niepewny ton organów unosi się między drzewami. Świetliste muchy z brzękiem co chwila lecą to tu, to tam, na podobieństwo pyłów przetrącając szerokie, wyteżone, sinozłote struny słońca. Niespokojne cienie liści wałęsają się po mokrej ziemi.

Z miejsca, gdzie na kamiennej ławce, przy pniu wielkiej brzozy siedzi młodzieniec, słychać śpiew sierot parami idących pod okiem szarytki, siostry Marty. Śpiew oddala się i ginie za gajem krzewów. W tamtej stronie widać fronton kilkopiętrowego szpitala. Niektóre jego okna są otwarte – i czarne głębie bolesnych sal patrzą z nich w ogród – inne do połowy osłonięte firankami.

SIOSTRA  
zbliżając się do ławki

Nie był pan wczoraj w kościele...

MŁODZIENIEC  
dźwiga głowę, którą trzymał opartą na prawej ręce. Lewa, grubym bandażem z waty i gazy owinięta, spoczywa w temblaku.

W istocie, nie byłem wczoraj...

SIOSTRA  
idąc dalej

To bardzo źle! Dziś operacja, a pan tak lekceważy...

MŁODZIENIEC  
z uśmiechem

Jesteśmy w kościele...

Siostra spogląda na niego z wyrzutem, odchodzi i za kępami bzu znika w ulicy. W tym samym czasie z jednego okna wylatuje spazmatyczny krzyk – a potem kipi gwar głosów męskich. Wnet wszystko ucicha... Słyszeć tylko szmer wiatru, przesypany srebryście pomiędzy mnóstwem zwieszonych gałęzi płaczącej brzozy, – Z odległych cieniów ogrodu ku zacisznym trawnikom liliowe kępy rozkwitłego bzu, wysrebrzające szczyty krzewów, spływają niewyczerpaną falą jak gdyby pieśń cudnego głosu. Narcyzy mokre od rosy wyziewają zapach swój przeciągły i jadowity. Trawa, usiana mnóstwem złocieni polnych z żółtymi oczyma, w słońcu mieni się i kurzy.

SIOSTRA  
nadchodząc

Żona starego dróżnika z trzeciej sali zbudziła się podczas operacji... Jeszcze przed panem trzy osoby będą na stole.

MŁODZIENIEC  
Mamy czas.

SIOSTRA  
Trzeba go dobrze użyć.

MŁODZIENIEC  
Staram się, ile możliwości.

SIOSTRA  
siada na brzegu ławki

I o czym pan myśli?

MŁODZIENIEC

Myślę, siostró... Myślę o pewnym psie, nikczemnym na pierwszy rzut oka, który jednak najbardziej godnie nosił imię Orestesa.

SIOSTRA

Zawsze o tym psie! Czemuż go pan zostawił jadąc do nas?

MŁODZIENIEC

Nie mogłem... Obiecywano zająć się nim troskliwie w miejscu mego pobytu z tamtej strony Wisły. Gdy nadszedł dzień wyjazdu, przywiązany był mocno do budy, ale przegryzł postronek i dogonił furmankę. Daremnie go odpędzano. Warował na ziemi, znosił bez skomlenia razy i kopnięcia nogą. Przybyliśmy do komory celnej. Po załatwieniu formalności wstąpiłem w czołno, żeby się przeprowić na drugą stronę Wisły. Psa zostawiłem. Zdawało się, że wróci za koźmi, które mię do granicy odwiozły. Zdawało się, że... Nie mogłem wziąć go ze sobą! Tak, nie mogłem. Byłem w takim położeniu, że nie mogłem, aczkolwiek stanowił, oprócz duszy, jedyny mój majątek.

Łódź, zsuniętą z ławicy piasku, pochwycił nurt rzeki. Orestes siedział przez czas pewien na tym samym miejscu, zapewne oniemiały aż do furii na widok zdrady, którą miał przed oczyma. Począł szarpać ziemię pazurami miotając ją za siebie i wściekle wyć. W pewnej chwili skoczył na prawo i co sił, co sił, co tchu w płucach gnał, sądząc, że okrąży szeroką wodę. Straciłem go z oczu.

Byłem na środku, gdy go ujrział znowu. Zdawałoby się, że tylko rozjuszony jastrząb może tak lecieć po samej ziemi na skrzydłach, migając się wśród krzaków, dla chwycenia w szpony przepiórki. Zdawałoby się, że tylko głodny lis mógłby tak ścigać rannego królika. Tymczasem on za miłością swoją...

Byliśmy pod przeciwnym brzegiem, gdy wrócił na miejsce, z którego łódź odeszła. Stał tam przez chwilę milczący, jakby skamieniał. Później jednym susem rzucił się w wodę z wysokiego brzegu. Widziałem i słyszałem, jak płynął, boleśnie szczekając. Prąd go znosił daleko. Daleko... Czarny łeb zanurzył się raz, zanurzył drugi raz, trzeci. Wreszcie znikł na zawsze pod pędzącymi falami.

SIOSTRA

Nie trzeba o tym myśleć. Czyż nie lepiej jest wspominać krewnych, przyjaciół, bliskich sercu?

MŁODZIENIEC

Nie mam ani jednej istoty ludzkiej bliskiej sercu. Z krewnymi nic mię nigdy nie łączyło, oprócz jakiegoś prawa ich nade mną, które ustawicznie musiałem rozłamywać i deptać. Żyłem zawsze wśród ludzi obcych i złych. Wyniosłem spośród nich tylko pamięć krzywd zadanych dumie.

SIOSTRA

Zadanych pysze. Słyszałam ongi na świecie, że duma niepodobna skrzywdzić. Duma, mówiono mi, jest niedostępna, twarda i szlachetna jak onyks, z którego wycinają kamee trwające dziesiątki wieków. Dziś wiem, że człowiek, jeśli tylko zechce, nie może być skrzywdzony nigdy i przez nikogo. Nie może być skrzywdzony, kto ucieka spośród zła okrążającego ziemię i choćby raz jeden przyłoży spalone wargi do wód świętego źródła pokory.

MŁODZIENIEC

Tak, zadanych pysze. Wyniosłem pamięć krzywd bardziej bolesnych niż potrącenie kości drągiem żelaznym, bardziej trwałą od skutków zmiżdżenia dłoni przez podkute kopyto ruma. Nauczyłem się długo, pracowicie, z mistrzostwem wyszlifowywać ostrze wzdęty przesywającej jak puginał, a w każdej chwili nieodzownej, jak sztylet, kiedy udajemy się w dzielnicę łotrów.

SIOSTRA

„Nie zabijaj!”

MŁODZIENIEC

Nie zabijaj! Czemuż stworzony jest orzeł, co czatuje na krzemiennym zamczysku swoim w szczycie łańcucha gór, orzeł, który śmieje się z jęku swych ofiar, pasie z rozkoszą oczy widokiem wnętrza pazurami wyrwanych, wdycha kurz krwi ciepłej i z okrzykiem szczęścia zabija?

SIOSTRA

Tak też mniema w sercu swym każdy, kto pana krzywdził.

MŁODZIENIEC

Tak mniema.

SIOSTRA

I tym sposobem rozszerza się dzielnica łotrów. A w jaki to sposób zepsuł pan swoją rękę? Tego jeszcze nie słyszałam.

MŁODZIENIEC

Bawiąc na wsi odbywałem w liczonym towarzystwie konną przejażdżkę. Poniósł mię narowny wierzchowiec i wysadził z siodła. Cofnąłem wprawdzie stopy ze strzemion, ale prawej ręki nie zdołałem wyrwać ze skrętów cugli rzemiennych, którym dokoła niej omotał dla zażycia z całej mocy wędzidła. Koń mię wziął pod siebie i zdeptał. Żelaznymi hacelami nowej podkowy nastąpił mi na lewą dłoń i zmiżdżył jej drobne kości. Prowincjonalny chirurg wyjął niektóre z nich, inne, także zgruchotane, zestawił, ale niedobrze. Poczęły próchnieć. Ręka spuchła, otwały się wrzody, wieczyste rany.

z uśmiechem

Tak już oto dwa lata żyję z tą moją towarzyszką. W nocy obok mnie leży, a za dnia do-  
trzymuje mi kroku. Jest ze mną, gdy się w minucie szczęśliwej uśmiechnę, czuwa nad lotem  
marzeń moich, skoro oczy przymykam. Czeką cierpliwie do rana, do chwili przebudzenia,  
patrząc we mnie ołowianymi ślepiami, a kiedy dźwignę powieki, kładzie na nich płytę ucisku.  
Jak zła żona, którą twardy los skuł ze mną w przeklętą godzinę, pełna jest niezgruntowanej,  
przewrotnej zdrady i zemsty. Czeką, czeka zawsze, jakby ów orzeł skalny, na chwilę, kiedy  
będzie mogła utopić we mnie pazury.

SIOSTRA

Teraz się już skończy to wszystko.

MŁODZIENIEC

Tak jest, skończy się nareszcie. Nie wiadomo tylko w jaki sposób. Ale o to mniejsza... Kil-  
kakroć już chloroformowano mnie i zawsze z obawą, gdyż mam w sercu coś groźnego. Jeżeli  
odejmą rękę, rozstanę się z nią za godzinę. Iluż to mężnych na wojnie... A z drugiej strony –  
jeżeli bym umarł...

SIOSTRA

Więc i takie myśli pielęgnował pan tutaj?

MŁODZIENIEC

I takie, siostrze. Pragnąłem właśnie zapytać...

SIOSTRA

Proszę, proszę...

MŁODZIENIEC

Czy jest rzeczą możliwą, ażeby tego gatunku co ja człowiek, ze wspólnej sali, był w razie  
śmierci pochowany na cmentarzu w miejscu wyjątkowym, mianowicie obok drzewa, obok  
pnia płaczącej brzozy? Czy cię uwzględniono by taką „ostatnią wolę”?

SIOSTRA

Nie jestem pewna...

MŁODZIENIEC

To żądanie szalone, wiem o tym.

SIOSTRA

cicho

Dlaczegoż obok drzewa?

## MŁODZIENIEC

Nie chciałbym leżeć z nikim. To już na wieki... Nie chciałbym spać w murowanym sklepie, obok cegieł, ciosanych kamieni, stopionego metalu. Nie chciałbym, gnijąc, głową dotykać zeschniętego wapna, które rzucała kielnia człowieka.

## SIOSTRA

Wszystko jedno, gdzie spocznie strudzone ciało.

## MŁODZIENIEC

Och, nie! Przenigdy! Przenigdy! Po śmierci tak samo jest jak za życia. Wszystkim rządzi przypadek, szczęście, kaprys doli. Drzewa kochają człowieka daleko bardziej, niż on je kocha. Nie darmo wierzył dziki Słowianin, że drzewo jest święte, że w nim dusze bogów obierają sobie siedlisko. Święte dęby! Kochałem je od dzieciństwa w sposób dziki. Uwielbiałem stojące w zimach srogich, w szalonych nocnych wichurach, gdy wspaniała zamieć w lasach harcuje. Kochałem jesień, która krwawą barwą gniewu zaprawia liście buków, gardzących z wierzchołka gór czeredą świerkową. Całe noce wiosenne spędzałem samowtór z Orestesem na wędrówkach pieszych wskroś lasów. Nad jeziorami Szwajcarii... Któż potrafi wyrazić obcowania sam na sam ze wschodem słońca, pozdrowienia i pożegnania bratnie aż do tkliwości z chmurami i pierwszą burzą wiosny... Teraz jego już nie ma... Orestesa...

## SIOSTRA

Kto nie chce kochać ludzi, musi kochać drzewa i psy.

## MŁODZIENIEC

Tylko drzewa i psy wzajem miłują. Pies kochał mię aż do śmierci, a drzewo jest osłoda żyjących i kocha zmarłych. Rodzony ojciec i rodzona matka we trzy doby po zgonie wyniosą z własnej woli za próg swego mieszkania jedyne i najmilsze dzieciątko. Pozwolą obcym chłopom rozbijać skibami cuchnącego gruntu główkę, która była największą rozkoszą ich oczu, jakiej człowiek doświadczyć może; zgodzą się na to, że samo zostanie w nocy, pośród wiatru i deszczu, na odległym cmentarzysku, wśród trupów, zakopane w ziemi; przyzwyczajają się do myśli o zgniłej wodzie, która mu zgnoi ubranko, o wodzie, co ściekać będzie po bezsilnej, ostygłej piersi – o glinie, co zalepi usteczka wonniejsze niż pąk różany. Ukryją myśl swą przed widokiem jego oczu samotnych, rozwartych na wieczny czas.

Wtedy brzoza płacząca zaczyna szukać go pracowicie. Korzeniami czułymi jak włókienka zmiędlonego lnu, któż wie? – może bardziej tkliwymi niż palce matki – namaca w ciemności i obejmie głowę bezsilną, opasze nagie żebra i szyjkę, o której ojciec zapomniał. Niemi cienkimi jak włosy i dobrotliwymi jak sen dotykać będzie miejsc gnijących i najbardziej zbolanych. Ssaniem, może czulszym od pocałunku czystej ufności między matką i córką w chwili tajemnej wspomnienia narodzin, wchłonie w łono swe, pełne życia i świętych przemian, krew skostniałą u drzwi serca i ostatnie łzy źrenic.

O, siostrze, siostrze...

Chwiał się w wierzchołku lipowym, w kole rodzinnym gęstych różg, które z miłością zra-  
stają się jedne z drugimi. Najwcześniej witać, najpóźniej żegnać święte promienie i na ich  
rękę bez przeszkody wstępować między obłoki wolne jak wiatr, nigdy do siebie wzajem nie-

podobne i wieczne. Mgłami nocnymi okrywać się jak szatą, którą wśród rozkoszy i pieszczot z daleka nadchodzący poranek cicho zdejmuje. Gdy styczniowy wichur niby tabory zbójce-  
kich wojsk uderzy w lasy, przywdziewać osędziały pancerz z lodu. Tęsknić do błogosławio-  
nych deszczów w spiekocie, a do niej w dzień pełen ciemności wylęglej w duszy chmur.  
Uczuć, jak obok blisko przepływają wody podniebne, gdy ciche błonia lazuru spustoszy  
nawałnica, i dygotać z wielkiej bojaźni, skoro z kłębow burzy runą na ziemię kamienie gradu.  
Zanosić się od wzruszeń sekretnych na widok białego księżycy, kiedy niespodziewanie obja-  
śni światło swoje wstępując na wysokość spomiędzy nocnych obłoków. Ku pustyniom nieba  
wydzierać się z prochu tej ziemi i nawzajem przez niebo być wiekuiście objętym. Sprzymie-  
rzać się z nim, które jest najbardziej podobne do ducha ludzkiego, a jednak inne o nieskoń-  
czoność, przybliżać się do czegoś, co jest bez początku i bez końca, do cudu nieomylnego  
światła i tajemnicy ciemności, towarzyszy przeszłych i przyszłych dni. Być uwolnionym na  
zawsze od istoty ziemskiego szczęścia i cierpienia, od widoku przemocy i dreszczów trwogi,  
od uczuwania w sobie dzikich żądź i nikczemnego dosytu.

SIOSTRA

Serce pańskie prosi o modlitwę, a myśli nisko błądzą...

MŁODZIENIEC

Wczoraj byłem tu w nocy po burzy. Nie zauważyła siostra, że wyszedłem. Co chwila trza-  
skał jeszcze piorun i ziemia pod nim drżała jak łono dziewicze pierwszy raz wydane wszech-  
mocy miłosnej. Kasztany nasiąkły deszczem, a kwiaty ich przeraźliwym ogniem błyskawic.  
Za każdym strzałem, gdy rozstępowały się czarne niebiosy ukazując morze ogniste, widać  
było wszystkie drzewa kasztanowe i wszystkie ich kwiaty wylekłe. Zdawało się, że na te ko-  
nary i liście w owej chwili dopiero zstąpiły z niebios kwiaty niby płomienne języki. Kiedy  
wshedłem pod sklepienia szerokiej ulicy, spadały na mnie od chwili do chwili nagłe gromady  
kropel jak wybuchy łez wieczności, łez wszystkich nocy i dni od początku świata, zalewały  
mi twarz, wyciągnięte ręce, wzniesione oczy. Drzewa wtedy wzdychały z ciemności ku mnie  
i ku niebu. Czuję głęboki ból czy głębokie szczęście, ale nie moje własne, nie ułomne, nie  
ludzkie, lecz kwiatowe, listne, drzewne. Jak gdyby niewidzialny dajmonion unosił się dokoła  
mej głowy i strącał na moje czoło krople wody żywej, stwarzającej przemienienie.

Wracałem na salę po ciemku. Była już późna noc. W korytarzach wstrętny zaduch, otwarte  
drzwi do sal były czeluściami pełnymi łkań i westchnień. Przy świetle lampki gdzieś w końcu  
błyszczącej widziałem kubły z watą i gazą oderwaną z ran, które zostawili znużeni posługa-  
cze.

SIOSTRA

Żal mi pana.

MŁODZIENIEC

Tego nie trzeba mówić nikomu! Ja lękam się czyjejkolwiek litości jak choroby zakaźnej.  
Tępiłem w sobie z dawną tkliwą litość, a teraz w czwórność pracuję, żeby się zsychać w  
głębi jak ścięte drzewo, żeby wszystkie wzruszenia z zewnątrz, od ludzi wychodzące – mo-  
rem wygubić. Wyglądam, kiedy w mej duszy wszystka głucha męczarnia zgaśnie niby ogni-  
sko wśród dziewiczego lasu, zdeptane nogami, zalane przez niewiadomą mi przyszłą ulewę;



kiedy nareszcie przestanę zwodzić walkę na całe bary, na całe piersi i wszystko serce, walkę Jakuba z Aniołem.

Wtedy dopiero zbudzi się z martwych własne moje serce. Przemina grube ciemności i wszędzie pierwszy nów! Nie ukaże się wówczas nic już takiego na ziemi, co by mię mogło przerazić. Nieszczęsny duch, który błędził po wyniosłych pagórkach, nie będzie już leżał bezwładny jak dzika sarna ze skręconym karkiem i nogami złamanymi w zuchwałych skokach, umierając w samotności, w uporze wiecznym, w głębi milczenia wystygłych gór, nad otchłanią.

SIOSTRA

Złe marzenie jest taką samą tyranią i rozpustą duszy jak handel ludźmi albo bicie dzieci przez dorosłych i silnych.

MŁODZIENIEC

Bicie dzieci przez dorosłych i silnych... Tak! tak! Opowiem...

Największą katuszę sprawia nie ciężar jarzma, lecz widok, jak je ktoś dźwiga. Ten widok w sobie zniszczyć, ten widok, który zatrul sobą żyły i kości, napelnił piersi i czaszkę, stał się czymś nieodłącznym jak chore płuca i przemienił się w serce. Cóż jest noszenie jarzma? Chrystus niósł na barkach krzyż swój mówiąc: „Nie nade mną płaczcie, lecz nad sobą i nad dziećmi waszymi”. A ci, co nad Nim płakali, ciągnęli w trudzie jarzma swoje. Jakże świętymi są te słowa idącego na śmierć! Spojenia jarzma można rozerwać jednej chwili, ale widok Chrystusa dźwigającego swój własny krzyż na górę Kalwarii...

Wyłuszcze teraz sprawę najbardziej istotną, którą widziałem za krótkich dni mego życia. Onego czasu szedłem chodnikiem wielkiej stolicy. Byłem po miejsku obumarty, niosłem w sobie serce bez horyzontu, bez wschodu i zachodu, bez obrazu nieba, podobne do drzewa skarłatego w miejskim dziedzińcu. Tłumy biegły w jedną i drugą stronę; lśniące pojazdy mknęły z szybkością. Mijałem wspaniałe wystawy sklepów i poprzeczne ulice z tym samym znieczuleniem, co ludzi biegnących.

Aż oto w sąsiedztwie pewnej bramy zwróciło moją uwagę zbiegowisko. Stróż domu trzymał coś ciekawego. Kiedy rozsunąwszy koło widzów stanąłem u rdzenia sprawy, ujrzałem siedmioletnią dziewczynkę, która niosła na ręku dziesięciomiesięcznego chłopczyka. Włosy jej były czesane przed wieloma laty, bo coś w rodzaju warkoczów pozlepiało się w tłuste kołtuny; łachman, którym była okręcona wzorem piastunek, rozłaził się na plecach, ukazując łopatki wyteżone od ciężaru. Spódnica była w strzępach, nogi bose...

Pierwsze, prędko uskutecznione badanie i zeznania świadków okazały, że to jakaś wyrodna matka przysłała dwoje swych dzieci, aby budziły obrzydzenie oraz litość widokiem nędzy i żebrały. Ale szczwana już w swym rzemiośle dziewczucha nie chciała wymienić adresu matki tak występnej.

SIOSTRA

Matki tak występnej...

MŁODZIENIEC

Prowadzono ją tedy w celu powzięcia bliższych wyjaśnień. Dla zabicia czasu szedłem i ja wraz z grupą ciekawych. Szliśmy bardzo długo rozlicznymi ulicami, toteż orszak zeszczułał wkrótce do liczby paru osób. Jakiś emeryt, jakaś dewotka w niemodnej salopie... Stróż mocno

trzymał pauprzycę za kark w przewidywaniu ucieczki. Ten i ów z obywateli przystanął na chodniku, obejrzał gromadkę i szedł dalej. Tkliwsze osoby pytały o coś, ale nie otrzymawszy odpowiedzi z westchnieniem szły dalej.

Było to w marcu, padał śnieg okrągłymi grudkami na rdzawe błoto, wiał z ulic srogi wiatr. Idąc krokiem ospałym człowieka-obywatela miałem przed oczyma zaniedbane dziecko, zepsute już tak dalece, że musiało być tresowanym współnikiem występku. Pieniądze, miedziane wyrazy świętej litości, chwytano sprawnym, niewolniczym ruchem wyćwiczonej mały. Stopy tej łotrzyki nie unosiły się wcale ze wspaniałego chodnika, lecz zdzierały jego chropowatość podszwami prędko, prędko, prędko. Były to nogi czerwone, chude, śmieszne jak skoki zajęcia, a wykrzywione w stopach od siebie jak u jamników. Posuwanie się brzegiem trotuaru, zbudowanego dla ludzi ucywilizowanych, tego brudu sprawiało efekt jadowitych ukąszeń, zostawiało w uszach, w ramionach, na piersiach, w stopach i w całym ciele pewien rodzaj zadzierzystych żądań.

Ciężar małego chłopaka, który siedział na lewej ręce siostry przywiązany szmaciskiem na cały dzień, wykrzywił korpus jej ciała. Czerwona ręka niemowlęcia kurczowym ruchem trzymała się za szyję dziewczyny. Była to prawica uzbrojona w palce, które już umiały trzymać się mocno życia całymi godzinami, bez ruchu, szemrania i wytchnienia. Była to ręka dziesięciomiesięcznego człowieka, który już wdział ludzkie jarzmo. Głowa jego zwracała się w naszą stronę, w stronę czułych widzów. Gołe łopatki, wzdrygające się co chwila wskutek podrzucania ciężaru, nogi, odsłonione aż do bioder, chłostał wiatr i smagał bat śniegu.

Szliśmy coraz prędzej.

Na pytania, czemu wzbrania się opisać ulicę i lokal swej matki, badana w urzędzie świadczyła, że tego nie powie, bo ją za takie rzeczy biją w domu „po mordzie”. Wobec tego...

SIOSTRA

schyla się ku ziemi i przycisnąwszy ręce do piersi mówi szeptem

Boże, bądź miłościw nam grzesznym...

MŁODZIENIEC

Złe marzenia są tyranią i rozpustą duszy! Oto jest dobre marzenie: bez sił, na darmo, w paroksyzmie myśleć o dniach i pracach tych dwojga; myśleć o ich przebudzeniach ze snu i o pierwszym spojrzeniu na okalające mury; myśleć o ich snach, którymi chłodny mrok zasłania to życie, kiedy się kończy dzień. Myśleć o matce ich! Widzieć twarz tej najbardziej występczej, oczy szelmy, zamazane łzami, kadłub ociekający śluzem chorób, suche, w głupich pracach oszalałe ręce. Pozwalać, żeby nie otwierając drzwi wchodziły do naszego domu te przywidzenia, żeby deptały nasz sen szelestem chorych nóg po wspaniałym chodniku... Zezwolić, żeby w spazmach boleści rzucały się do naszych nóg wołając o ratunek, żeby kamieniały przed naszą duszą te ciężkie, bezsilne, okrutne głowy i waliły się na jej piersi jak marmury grobowe.

SIOSTRA

podnosząc ku niemu oczy

Kruk opuszcza dzieci swe i odlata. Bóg im wtedy strawę gotuje, tułającym się po gnieździe tam i sam, gdy matka ich, w dalekich polach zabita, nie wraca. Z gnoju ich gniazda rodzą się motyle, przylatują na skrzydłach aż do ich dziobów otwartych i za pokarm im służą.

Wstaje, odchodzi i znika na zakręcie uliczki.

Młodzieniec, gdy sam został, zapomina o rozmowie, która się toczyła, jakby w niej uczestniczył przed piętnastoma laty. Głowa jego znowu zwiśla na dłoń zdrowej ręki. Dokładne wyobrażenie o tym, co się ma odbyć za chwilę, płuca, zda się, z piersi mu wyrwało. Lodowaty dech owionął twarz i posepny dreszcz uderzył go w ciemię czaszki.

Z wolna i ta świadomość ciągnącego momentu minęła. Szło wspomnienie. Błędne wspomnienie. Niby rozwiewane i upuszczone skrzydła chmur, co śladem burzy ciągną się bez sił przez leśne gąszcze na reglach, płynęła dusza znękana wśród dzikiej wichury. Płynęła bez wiedzy i sił do okolicy bardzo dalekiej.

Oto idzie sam w łąkach rozległych. Z prawej strony ma nizinę przyrzeczną, z lewej suche, wzniesione niwy. Zwiłgła ziemia kwiecistego smugu ugina się pod nogą. Tu i owdzie zdąża przez ścieżkę szlak mrówczy, który zapewne istniał już wówczas, gdy ta wydeptana dróżka łączyła ludzi czczących przed wieloma wiekami święte dęby na wzgórzach, gdzie teraz chwieje się zboże. Jedyłą, bardzo uderzającą w oczy nowością jest w tym miejscu brunatne, świeżo wyrzucone kretowisko. Naokół ścielą się wilgotne trawy, jedne ostre jak żywe noże, inne tak misterne, wątłe i wyzute ze znamion siły jak kaprysy cierpienia. Zbryzgane pienistą, ostrą żółcią dzwonek, puszyste od liliowej babki, powleczone rdzawymi kępy smółek i centurii albo rzekami koniczyny – wyrywają z piersi zmarłe westchnienia. Spływa przed oczy mnóstwo kwiatuśków bezimiennych, bladeżółtych albo naiwnie błękitnych, jakby je chłop wymyślił. Tu i owdzie stoją na pustych łądogach, które podobno zdradliwy sok zawierają, puszkę ulatujące z najłżejszym wiatrem, jak gdyby były szczęściem człowieka. Gdzie indziej tkwią na samej ścieżce żdźbła zboża wyrosłe z ziarn zgubionych przez rękę siewcy, które, choć padły w środku drogi, nie zostały zdeptane przez idących.

Z lewej strony kołysze się łąn żyta. Ledwie się wykłosiło i barwę liliowej stali przybrało w upałach. Kłosa stoją jeszcze ku górze, obwieszane mnóstwem kwiatu. Słychać tylko świergolenie skowronków i gdzieś daleko, daleko, na pylnej, piaszczystej drodze turkot rozeschniętego woza. Z martwych wzgórków, jakby dymem owianych przez mietlicę, spomiędzy drzewin kaliny i wilczego łyka, gdzie między zielenią szczerzą się ku słońcu stopy głazów wyrzuconych z roli, płynie woń ziół, niosąca w sobie całe dnie, tygodnie, miesiące, lata młodości... Wzgardzony oset opala tam w słońcu kwiaty o barwie zorzy porannej, która zlitowawszy się nad jego niedolą, zostawiła w nim odbicie swoje. Kolczasta gałąź dzikiej jeżyny, mokra od rosy, obciążona czarnym owocem, wysuwa się z gąszczów niby drapieżna ręka czyhająca na młode życie.

Zwiął wiatr z dalekiej strony tę samotnię, ukazał najlichszy szczegół, sennie spoczywający w przezroczystym oddaleniu.

Ta ścieżka prowadziła do miejsc miłości, do samotnych kwiatów między dzikimi krzewami, które obwijał leśny chmiel. Na mgnienie oka wrócił się z przeszłości wszystek kształt życia bez wczoraj i bez jutra, zawisł bujając się niby błękitny motyl nad łąnem. Ukazały się oczy płonące od uczuć pod arkadami brwi, jakoby ognie święte u ołtarza bóstwa. Wróciła się nieskończoność wzruszenia, zachwyt, co leży na sercu a nie da się wymówić, wyśpiewać ani wyjęć. Stało się słońce, tamten wiatr jeszcze raz ucałował rozżarzone usta – kwiaty łąk i ciche zboża wstrzymały żywot swój, żeby serce mogło odetchnąć powietrzem jutrzni życia i napić się z tego źródła wieczności. Ale nim jeden moment upłynął, zadrżała w sercu psalmo-

dia wiatru bieżącej godziny. Ozwał się w szumie liści jak gdyby głos ukryty, głos złego dnia, który nadszedł. I cały świat szczęścia zdruzgotany został przez senny jego szmer.

Gdzież się podziało szczęście, gdzież się podziało?

W cóż się obróciło zaczarowanie jednej istoty w drugą istotę?

Gdzież są słowa wyznań, gdzież są te prawdy czyste i proste, na które czekała wieczność? Gdzież się podziały uśmiechy i westchnienia wznioślejsze niż słońce, księżyc i gwiazdy? Jakimże sposobem przestało istnieć to, co było bardziej rzeczywiste niż ziemia, bardziej niewątpliwe niż trwałość gleby, morza i gór, bardziej ważne niż byt wszystkiego, co jest do końca świata?

Jakby odpowiedź wzniosły się z głębi ducha wyziewy grobu. Towarzystwo zdruzgotanej ręki i żal z powodu jej utraty, żal fizyczny, zwierzęcy, wstrząsający raz za razem, nappełnił ciało. Młodzieniec przytulił do siebie rękę, którą miał stracić za chwilę, i drżącymi wargami szeptał do niej puste dźwięki miłosne, wyzute z dawnego znaczenia. Oczy, zapuszczone w czarną ziemię, ujrzały dzieło straszliwe, którego świętokradzko dotknęły się były lekkie i strojne słowa. W dalekim podglebiu tała się sprawa, krew lodem ścinająca. Korzenie wzdęte od żywych, pulsujących soków, ruchliwe białe nici miękko obejmowały w dziedzińcu śmierci zgniłą głowę tego, co zasnął.

A na ten widok wszystka władza opuszcza ręce i głowę. Bezsilne palce próżnię dokoła siebie znalazły zamiast podpory. Na ciemną głowę zwałił się ciężar skał. Przed oczy falami spłynęła i osiadła sfera mroku i wśród boleści przelatującej dzień cofnął od nich z wolną wylekłą swoją białość. Wyszły z łona ciemności nieprzeliczone szeregi krzyżów złotych o równym ramieniu i przestrzeń nappełniły. Myśli rozpierchły się, upadły i obróciły w proch. Wtedy zetknęła się z czołem, z ustami i piersią wiadomość, krócej trwająca niż jeden jęk, o czymś innym, innym nad wszelkie ludzkie wyrazy, o łonie chmury płynącej, o zdarzeniu, co za chwilę przez jeden błysk źrenicy trwać będzie. Krew żył runie w bramę zdradziecko zatrzaśniętą i bezwładne serce zwali się i zgruchoce pod jej naciskiem, jak dom zepchnięty z przyciesi i wyważony z węglów przez trzęsienie ziemi. Pękną żyły ze zgrzytem jakoby szyny z żelaza i świszczącymi ruchy polecą dokądś rozszarpane naczynia. W tym rozbiciu i końcu świata – z najeżonymi włosami, z oczyma rozłamującymi orbity swoje, on, sam jeden, z wrzaskiem, który wędnie na wargach, zerwie się, żeby iść!

Dźwigając na piersiach łańcuch gór, wyciągniętymi rękoma szukać będzie ręki swego żywota...

Na chwilę wzmógł się.

Przytulił twarz do pnia brzozy i objął go lewą ręką. Zagasłe oczy szukały...

Ostatnie, samotne ich spojrzenie przywarło do wątych liści. Młode liście zasepleniły, drgnęły młode konary – i tajemnicze westchnienie spłynęło jak ciężka łza z wiszących gałęzi.

Ale co wyrzekły w mowie swej, co wyrzekły...

Wówczas tak się stało, jakby ktoś z trudem nadchodził w udręczeniu, w pośpiechu, nie mając chwili jednej na przełknięcie śliny. A z twarzy istoty tej nie można było rozpoznać, tylko niejaki jej obraz snuł się przed źrenicami.

Młodzieniec słyszał szorstki szelest nóg bosych, prędko, raz za razem sunących po kamiennym chodniku. Wytężywszy wzrok w głąb siebie ujrzał z mozołem siedmioletnią dziewczynę w szmacisku rozdartym na plecach, która dźwigała na lewej ręce małe, śmierzące dziecko. Rączka jego czerwona nieruchomo trzymała się za szyję siostry. Oczy dwojga marzydeł, wytężone i rozwarte, stanęły przed nim, świecąc się pośród ciemności jak płomienie gromnic.

SIOSTRA MARTA

ukazuje się na zakręcie uliczki. Szybko nadchodząc mówi

Już czas! Czekają...

MŁODZIENIEC

wstaje z ławki

Nareszcie.

SIOSTRA

Niech pan tylko będzie dobrej myśli...

MŁODZIENIEC

Jestem dobrej myśli.

SIOSTRA

Jutro będziemy się wspólnie wyśmiewać z bieżącej godziny.

MŁODZIENIEC

O tak, tak...

Gdyby jednakże... Czynię cię, siostrze, wykonawczynią mego testamentu.

SIOSTRA

idąc tuż za nim mówi z cicha

„Wzywaj mię w dzień utrapienia...”

MŁODZIENIEC

Czuję w sobie wczorajszą siłę.

SIOSTRA

Wczorajszą...

MŁODZIENIEC

Nie mogę tego wyrazić słowami... Wcale nie wiem, co to jest i jak się nazywa. Może to spokój, może męstwo, może wielka minuta bohaterów, a może niski, niewolniczy upadek twarzą na ziemię...

Siostra zatrzymuje się we drzwiach szpitala.

Młodzieniec wstąpił na schody ciasne, wydeptane schody z cegły, kreto idące w górę.

Uśmiech wesoły, wyniosły, wspaniały, pański zakwita na jego wargach. Oczy przymrużone i zasłane łzami nie widzą nikogo, oprócz widziadła dziewczynki z chłopcem na ręku, która przed nim szybko biegnie, szeleszcząc bosymi nogami.

W głębi korytarza, którego ściany gną się i chwieją, otwarto drzwi. Staje w nich jeden z asystentów w białym fartuchu.

Młodzieniec wchodzi na salę, zgrabnym i wytwornym ukłonem witając profesora i lekarzy zebranych dokoła operacyjnego stołu.

# POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU

## I

Na progu wyniosłym morza, gdzie sosny rumiane cień błękitnawy na jasne piaski rzucają – oparły się wozy królewskie. Ustały zgonione konie, zarżnęły się w piasku skrzypiące koła. Kaze król rozbić szkarłatny namiot swój. Zwisła ciężka, złota frędzla zasłony, na wiotki piasek opadła. A przed zasłoną, na żerdzi głęboko wkopanej szeleści plemienna stanica, królów wojenny proporzec. Czterdzieści wnet stanęło stołów. Siadła pospołu drużyna bojowa. Siadł i najemnych gości tłum: Pieczeniagi i Waregi, Czechy i Morawy, za złoto żołądź zdradzające swój ród Nemety, Sasy, Bawary.

Na siedzisku wyniosłym rozparł się król. Szkarłat rodowy Piastowski obleka jego tron i ziemię szeroko – daleko. Po prawicy i po lewicy ma król wiciądze swe, ojczyce ziemi.

Ciesz się król.

Pierwszy to raz od tyłu czasów wielki roztruchan podnosi. Bezcenne migają kamionce, lśni złoto, gdy do ust niesie wino zza gór, zza światów. Na cześć drużyny pije. Krzyczy mu w ład i w morze drużyna wieczną cześć.

Haw – białe morze. Pod sinym, dalekim niebem chluszcze bryzgami fal, na niskie piaski dumne wełny wyrzuca.

Władacz wciąga nozdrzami wiatery słony, w siwą dalekość morskich potoków oczy zanurza.

– Na twoją cześć, głębokie morze! Na twoją wieczną sławę, święta, jedyna moja! – woła w płaszczyznę ziemi.

– Pieśni! – wzywa drużyna.

Wyjdzie z tłumy, gdzie czeladnicy, pacholy i posługacze wojenni, spomiędzy chorągwi chłopskich – starców kudłatych zgraja. Siwy tłum. Zasiądą w okrąg. Nastroją liry.

Śpiewają panu słowiańską, przedwieczną, wojnopamiętną pieśń. A pieśń jasnego pana za nogi obłapia, czołem mu bije.

A pieśń go woła...

Wsparł na mieczu łokieć, na pięści wielką głowę, niewyciężony. Obrócił jasne oczy na dziady grające. Słucha. Słucha, jako ta pieśń uderza w krzyk, pomstą pomstuje. Dym kłębami siwymi, ogień drżącymi jęzory wybucha z niej. Ku niemu leci, ku jego sercu z żelaza, ku pieriom szlochającym tajemnie pod kolczą zbroją, co płaczu, jako żyw, nie zaznały. Krzemienie proc furczą, cięciwy w pieśni tej brzęczą i brzechwy lotnych strzał świszczą. Słysząc w niej płacz śmiertelny dzieciąt bezsilnych i dziewczek ledwie podrosłych. Hańba z niej woła ojczyców za siwe kudły wleczonych ze siół przez długie mosty w kajdany żelazne, w plenice.

Czarna się dymi krew, co wypłynęła bez pomsty z żył mocnych chłopów nieznanymi broniami pobitych w paliszczach, kamienną ongi ciosanych siekierą, w warownych grodach pośrodku bagien i w tynach nad słodkimi wodami, gdy się z najeżdżcą piersią gołą o jego żelazną pierś siepali.

Wzdycha król. Ręką szarpie głównię mieczową. Krwawymi oczyma, w których ogień bucha i dym się kłębi, wodzi po ludziach.

Nagle się ucza przerwie. Jeden drugiego pyta: „Czemuż to władacz sposepniał?”

Postrzegł król ich milczenie i skinął ręką na grajki:

– Milczeć!

Porwie w lewą dłoń czarę, a prawą uściśnie jelca straszliwego koncerza. Wstaje olbrzymi. Ciało jego obleczone od stóp do głów w kolczugi sieć stalową. Kuta koszula pancerna lśni na ramionach, a płach jej mieni się i drży na wielkich piersiach. Stolica pod stopą żelazną trzeszczy. A w pięści zwartej sieczysty brzeszczot raz w raz szczęka.

I słowo wieszczę pada w tłum:

– Słuchajta!

Wodze, namiestnicy i wy, chorągwie! Na śmierć piję Sasom, którzy na nasze ziemie przedwieczne idą. Aby ich, póki mego żywota, tym mieczem i waszym mieczem wyrąbał, zdradzieckim żegadłem wyżgał, żeleźcem grotów przebódł, garścią zemściwą po ciemku wydusił. Ziemią, nagłym pożarów zagonem wiecznie za nimi chodźmy, rzekami będziewa tajemnie brodzić, w morze na łodziach zbiegniemy i na wałach bezdennych pod próg uśpiony podpłyniem. Złupimy miasta i sioła, spalimy siedliszczą do ostatniej przyciesi...

Okrzyk:

– Na śmierć Sasom!

– To wam zapowiadam wszem wobec: nie pozwolę grzebać trupów pobitych, gdziekolwiek Niemców dopadnę – w kraju Dziadoszan czy na piaskach lutyckich. Niechaj z nich kożaruny i gugelhauby, nabiodra i plechy nagolenne łupi ciura, trupy ich niechaj wilcy roznoszą po puszczech, sępy po skał grzebieniach. Niechaj nagi między zasiekami leśnymi leży pfalgraf Burkhard i margraf Gero. Nie zazna czci ani rozkoszy spoczynku w ziemi, która jest moja, Frydrych, mąż żelazny, Widredy i graf Folkmar z dwiestą zwalonych rycerzy! Niech gniją u wierzchu bagna w potokach krwawych i w pyle! Na wieczną rzeczy pamiątkę zostaną niepogrzebani Adelhajd, Ira, Thietmar, Doda i Ludolf. Tak rozkazuję. A kto by się woli mojej sprzeciwił, przez Boga wiecznie żywego – biada mu!

Wołanie:

– Biada mu!

A skoro siadł, każe czeladnikom odpasać sprzączki skórzanych tłumoków i wywalić przed bracią wojenną zgarniony za Odrą łup. Sam rzuca w ciżbę głębokie czary i kruże ze złota, rogi i kielichy, sadzone parangonami bezcennej wody, dzbany z kryształu przejrzystego jak woda, greckie amfory i szkatuły niemieckich majstrów, cudnie w metalu kowane. Między srogie zastępy w krzywoślępą hordę Pieczeniagów każe nieść w darze italskie arbalety, cисowe kusze, zaciągane lewarem z żelaza, hiszpańskie tarcze i krótkie piki. Pieszym chorągwiom chłopów, odzianym jeno w serdaki a czuje, w szłyki z rogami i kły uczynione z obłupionych łbów dzików i turów, wilków i lisów, uzbrojonym jeno w oszczepy z osękami, w rogaciny, w kamienne oksze na długich styliskach a wielkie na chłopa pawężę, szcudrze rozdaje czekany, barty i obuchy z żelaza, cepy kolczaste, smycze i arkany z surowego rzemienia. Konnym swym wojom każe nieść wielkie, obosieczne koncerze, radość serca męskiego, i cudne kapaliny z połyskliwego żelaza, miedziane nagłowne myśnice, czepki kolczate, rękawice, piachy przedsołne i zasobne pancerczów. Rotom drabów najemnych sypie bez liku, garściami, srebro i złoto denarów kupieckich.

A gdy tak szcudrze król wręcza dary każdemu ze swych rycerzy, każdemu ze swych sług, do ostatniego pacholęcia, słysząc od czat dalekich wrzaskliwe hasło rogu. Wszystkie się oczy w tę stronę zwróciły i jako czujne ogary pomknęły w las. Oto wyszedł z brodów orszak konny pod czatowniczą strażą i ku namiotowi pańskiemu podąży. Przysłonił wódz dłonią oczy i wilcze miota spojrzenie.



Aż z nagła wstał. Ciężko po stopniach idzie z tronu. Zmierzały wprost ku królewskiemu stołkowi wielkie rycerze niemieckie, zakute w żelazo. Forgi wielobarwnych piór jakoby obłoki na czubach krzesanic chwiały się na wierzchołkach obłych szyszaków. Nieustraszone ślepią patrzyły zuchwale z widzierów hełmowych. Każdy miał prawicę żelazną na klindze miecza, a lewicą ścisnął rękojeść mizerykordii. Ze środka ich, jak gdyby z zamczystego łona za-  
stępu, wyszedł człowiek chudy, z kaprawymi oczyma, z twarzą wykrzywioną od bóleści. Nogi miał bose i nagie aż do kolan, ręce nagie aż do ramienia. A nagość jego kości kryła kapa wytarta, z nędznego sukna żałoby uszyta. Pod nią wisiały strzępy mniszego habitu. Na głowie miał czapkę biskupią, w ręku biskupią krzywulę. Ujrzawszy w oddali majestat stanął skulony, stopa przy stopie, kolano przy kolanie. Podniósł rękę i pokazał w niej krzyż.

Wnet błada trwoga skupiła dookoła wodza drużynę. Opat – doradca przysunął się do pańskiego boku i szeptem:

– Panie!... Bacz... Święty człowiek idzie przeciwko tobie.

– Tenże to z Myśny?

– On. Patrz, płacze.

– Czegóż płacze?

– Płaczek on Boży. Kaprawy, patrz, z płakania. Bosa. Bez koszuli i bez nogawic zimie i lecie. A zamiast łoża pień ma bukowy, który był sobie wydłubał w tajemnicy przed ludźmi. A obwiedziony jest pień-łoże płotem z tarniny, żeby go kolce wrywały ze snu. Głowę zaś, panie, układa na poduszce z badylów róży dzikiej. Za dnia, gdy nań nie patrzy nikt, wdziewa na głowę mitrę biskupią z pnia drzewnego uciosaną, na której ze wszech stron ciężkie zawiesza kamienie.

– Czemuż to czyni, powiedz?

– Żeby go, panie, biły po głowie, gdyby się o sprawach żywota ziemskiego zadumał. Patrz, wielki królu – na tobie zbroja złożona z łusek stalowych na skórę nieprzebitą naszytych, pod stopą twoją szkarłat bezcenny. A na nim gałgan zetlały! Wiedz o tym, panie. Zanim posłuszny woli cesarskiej po stopniach stolicy biskupiej poszedł, gdy w puszczy, w bratnim eremie przebywał, widzieli bracia na zemdlonym od twardej pracy, że przepasany jest łańcuchem żelaznym z kolcami, który mu w biodra wrósł, a skórę brzucha przetał i w otwartych wieczyscie ranach gołych wnętrzości dotykał.

Duma król. Z głębi potężnych piersi wzdycha. Aż oto woła ku biskupowi:

– Wydam ci ciała poległych w boju, jeno tu nie płacz przede mną.

Szeptem opat do ucha monarchy:

– Panie, ach, panie!...

Patrzy król pod przyłbice, w zawarte maski onego towarzyszków lwimi oczyma. W oczy ich patrzy ze straszliwym uśmiechem, jak między żelazy goreją.

– Wydam ci ciała poległych; z chwałą je chowaj w tej ziemi.

Pomruk złowrogi w drużynie. Spinają sprzączki żupie pancernych. Mocno przypasują obojczyki i blachownice, zarekawia i fartuchy kolczate. Nisko spuszcza przyłbice, żeby ocienić lica nanośnikami. Trzask słycać mieczów i pobrzęk cięciw. Pomruk głośniejszy w drużynie.

Gwar.

Schyła się biskup, podnosi krzyż i błogosławi nim króla.

Postąpił król ku biskupowi. Ujął dłoń i powiódł w pokorze bosego ku złotej zasłonie namiotu. Orszak niemiecki za królem. A gdy komornik spuścił za nimi zasłonę, rozejdzie się w obóz drużyna z gwarem złowrogim, z szeptem zemściwym. Zostali jeno na placu czterej.

Stoją w hełmiech zawartych. Jeden ma kamail na głowie, szyszak z nanośnikiem spadającym aż do brody, drugi i trzeci mają lambrekiny frankońskie. Paize dzierżą na lewym ramie-

niu. Na wielkich mieczach się wsparli. Cierpliwie stoją. Długo czekają milczący. Aż ów na czele, którego głowę okrywa olbrzymi gocki szłom, Walgierz o dłoniach potężnych, o udach z żelaza a kolanach z miedzi, uderzy głośno mieczem w puklerz.

Raz, drugi.

Cisza.

Uderzy Walgierz po wtóre, z łoskotem.

Rozdzieliła się złota zasłona. Komornik.

Uderzy Walgierz Udały mieczem w puklerz po trzecie.

Rozdzieliła się złota zasłona.

Król.

Stoi między zasłonami z głową odkrytą, jasnowłosy. Ręka jego za pasem. W oczach zaduma. Patrzy ku czterem.

– Udały... – cicho wyszepta. Milczą rycerze.

– Słuchasz, patrzysz, mierzysz chytrymi ślepiami me sprawy. Wciąż mrok na twojej twarzy, a chmura na twoim czole.

– Wciąż chmura na moim sercu!

– Wciąż cię pycha na rumaku oszalałym unosi. Wciąż ci strzyga o jednym zamku dalekim szepce po nocach.

– Dusza się moja wydziera do Tyńca, praojcowego dworzyszczca, do stolicy mej ziemi.

– Milcz o stolicy twej ziemi!

– Dawno, dawno już milczę. Nazbyt dawno już milczę.

– Bylebyś nigdy nie zaczął przemawiać o tym, co na wieki minęło. Goście w moim obozie...

– Dziś będę mówił.

– Nie mów dziś nic, koniądzu!

– Dziś będę mówił pierwszy raz i ostatni.

– Pilnujże dobrze głowy!

– Oto me słowo: idę ze stanu z towarzyszami. Niech słyszą Niemce, że z obozu twojego wychodzę! W dziedzinę moją, w żupy wiślańskie powracam. Przed chwilą piłeś, wodzu, w dłonie nasze puchar rycerski na zgubę rodu Sasów. Zaprzysięgałeś zemstę żywym i trupom. A ledwie się pokazał bosy wróż, już się przeląkł haniebnie.

– Sądziś moje uczynki! Ja wasz jedyny sędzia

i wódz! Ja życia i śmierci pan! Śmieje się hardo Walgierz Udały. Spojrzą po sobie z żelaznych oknisk wściekle oczy czterech rycerzy. Milczą żelazne ich usta.

Król rozkazuje:

– Zdejmijcie zbroje. Odpaszcie pasy. Złóżycie na ziemi paize, a na nich miecze i włócznie w krzyż.

Spojrzą po sobie po wtóre z żelaznych jam okrutne oczy. Milczą żelazne usta. Rozkaz królewski nie spełniony.

Szarpie król pas. Porwie miecz. Klasnął w ręce.

Biegnie ku niemu komorzych tłum.

Rozkazał:

– Trąbić!

Zawrzasną rogi. Biegnie rycerstwo. Trzepie się ręka królewska ze stopni tronu nad głowami zuchwałej czwórce.

Rozkazał:

– Sąd! Szarpajcie ich w sztuki mieczami. Oburącz!

Walcie w zdradzieckie piersi obuchy młotów!

Rozruch i zgiełk w drużynie. A porwać za koncerz, za młot nikt nie ma siły.

Nie zadrzał Walgierz Udały i nie uchylił głowy ni jeden z towarzyszków: Mściwi ani Wydrzyoko, ni Nosal wielkoramienny. Stali czterej przeciwko wojsku.

Wokoło żelazny mur rycerskich ludzi. Na silnych koniach kiryśnicy w zbroi zupełnej. Pa-ize na ich ramieniu rozsiały wszechmocną zgrozę, a drzewa włóczni pod pachami – czyhają. Daleko stanęły seciny pieszych chorągwi. Jasno srebrzone pawęże, wielkie na chłopa, stworzyły równy, śmiercią błyszczący tyn, co idzie daleko, daleko, aż do fal pienistych morza. Glewie dobyte z pochwy czeka na rozkaz, na cios. W słońcu glewie połyska. Napięte są cięciwy samostrzałów.

I rzekł w koło wojenne i w ulicę rycerską gromowym głosem Walgierz Udały:

– Drużyno polska, drużyno bojowa! Schodziłem z tobą, drużyno bojowa, ziemie saskie i ziemie lutyckie. Palilem z tobą zamczyska i miasta. Tym oto mieczem rąbałem za dnia w boju męża w żelazo okute. Tą oto daga przesywałem po nocy serca śpiących. A teraz, słuchaj, drużyno bojowa, szarpie mię słowy król, który me ziemie w szpony porwał. Szarpie mię w sztuki jakoby mieczem, przesywa uśmiechy piersi moje jakoby puinałem. Znieważa król mnie, wiślańskiego koniędza, władcę na Tyńcu i ponad całym światem rzeczonym, od niezmiierzonych gór po łyse góry, pana wszech puszczy jodłowych aż po mazowszańskich piasków sosny. Biję król słowem twardszym od obucha okszy w piersi Nosała zza Dunajca, Wydrzyoka zza Pilicy i Mściwa z puszczy, gdzie się poczyna w ciemnościach bożych Czarna Nida. Słuchaj mię, królu polski! Mnie, wiślańskiego władacza...

– Nie słucham cię, rycerzu Udały. Nie znam twej władzy i zakazuję ci zwać się panem świata wodnego, ziemi świętej, przez którą biała Wisła idzie. Zakazuję ci zwać się władcą puszczy. Obie oce moje sięgają za łyse i za niezmierrzone góry, a ręce moje sięgają w dalekie morawy. Moje są dunaje-wody bystre-głębokie, co ze śniegów się rodzą, i moje są strumienie, co z puszczy jodłowej płyną niskimi łąkami. Wziąłem ziemie, które swymi nazwasz, żelazną dłonią. Jam jest jedyny ich odzierzyciel. Wydarłem cię z morawskiej pięści, ja, wolny i niezwalczony. A przygarnąłem cię pod mój proporzec, żebyś nie leżał u cudzego progu i żebyś chodaka krzywoślepej dziczy węgierskiej nie całował. Uczyniłem cię rycerzem polskim, pozwałem cię i powiodłem na zwycięstwa przeciwko Niemcom, którzy są wrogowie na wieki wieków mego i twego plemienia. Ziemiom twym kazałem wrosnąć na wieki w moje ziemie. Siłom twym kazałem wrosnąć w moje siły, w moje ręce żelazne, w głos mego rogu, w połysk mojego pancerza. Moje siły są z waszych pancerzów i szczytów, pióra mego szyszaka wzdyma wicher waszego krzyku przed bitwą. Moje siły nie są moje i nie są wasze, jeno są nasze. A siły nasze zrosły się w naszą rzecz wiekiustą, rzecz pospolitą... Woła zuchwale Walgierz Udały:

– Królu polski! wychodzę z twojego koła, gdyż nie chcę służyć pod twoją stanicą. Jestem ci równy i władzy twojej już nie chcę dźwigać. Dotąd dźwigałem, a teraz nie chcę. Wracam na zamek, gdzie ojce moje od początku czasów władały. Ze mną Wydrzyoko, Nosal i Mściwi. Każ mię porąbać mieczami, walić w me piersi młoty, bić w moje oczy z kusz. Nie chcę już Niemców wojować pospołu z tobą, któryś jest twardy samowładca, któryś jest straszny najeźdźca, a bosego się Niemców wróżą boisz. Nie chcę z tobą wojować, bo mi się wojować z tobą nie podoba! Jak grom spada z wysokości słowo królewskie:

– Znam ja cię, władco drewnianego zamczyska, hardy ojcowicu nędznej dziedziny! Widzę na wylot twe myśli. Chodziłeś pod moją sprawą i w cieniu mego proporca na Sasy i na lutyckie sioła. Łakome twoje ręce czerpały moje mienie, a oczy zdradzieckie wypatrywały moc moją. A teraz chcesz moc moją w swoim zawrzeć zamczysku, za tynem ją przyciać i przeciwko mojej pięści wykręcić. 'Wziąłem cię za gardziel tą pięścią, gdyś był w broni skórzanej, którą ci z turze j skóry ciura uszył, a kowal żelaznymi nabił gwoździami. Teraz odziany jesteś kolczugą z niemieckiej stali, którą z ramienia swego zwlokłem i tobem z łaski dał. Ale przenie miecz mój łuski...

– Na głowie mojej szłom pradziadów!

– A ty, Mściw! Ty, Wydrzyoko! Ty, Nosal! Dałem wam miasto wilczych szłyków zbroje rycerskie. Otworzę ja te zbroje na nowo! Znam ja nienasycone wasze gardziele! Znam piersi pełne szału kłótni, a ślepie chciwe jak u sępów!

Ponuro goreją oczy towarzyszków Walgierza. Ręce ich na główkach mieczów, na toporzy-  
skach złożone – czekają. Zawarte milczą usta.

## II

Uciekł w noc ciemną Walgierz Udały z obozowiska polskiego króla. Z nim Wydrzyoko towarzysz, z nim Nosal, a także Mściw. Puściła ich straż dodana (rzekomo zmorzona snem), a otworzyła im między hufcami drogę wolną drużyna bojowa (rzekomo otumaniona czarami).

Po mostach zrazu mknęli zbiegowie drewnianych, polską sztuką rzuconych na błota i sito-  
wia, na trzciny, łąki i bagno. Gdy wyszli z obszaru wodzisk Kaszubskiego Pojezierza, w pierwszych na suszy siedliskach wyprowadzili z za zawór rosłe wierzchowe konie. Odtąd już dniami-nocami pędzili w cwał. Ku Ostrowcowi łysych gór, z mazowszańskich równin wyrastającym, była ich droga. Przeszyli leśne sosnowe puszcze, suche bory i świąty piachów, minęli widnie jeziorne, przebrnęli w bród słoneczne rzeki i przesadzili strumienie. Aż ujrzał Mściw i pokazał daleko sine pasma na niebie. Wparli żeleźca w boki biegunów. Dopadli w skok jodłowych kniej. O ciemnej nocy weszli w nie szlakiem-bezdrożem. Kamień rudy, od wody stoczony z wysoka, zgrzytał pod kpńskim kopytem w suchym łożysku ruczaja, kiedy się darli pod górę. Drzewa wielkolistne, buki i klony, dęby i jarząby, stanęły kołem. Kosmate, czarne ręce jodłowe przywitały strudzone ciała i zgonione dusze zbiegów.

– Teraz – rzecze jeden – już my na wiślańskiej, na ziemi. Niechże ta naju szuka polski król.

– Ha-ha!

– Niechże ta szuka pilnie.

Zstąpili nad ranem w nizinę, ku łąkom zawiłgłym od niecieczy a utajonym w jodłowym pustkowiu. Rumiany kwiat górski przed oczyma ich po nadrzeczu strumienia. Zapach niewysłowiony płynie powietrzem. Ptaszęcy śpiew...

Ujrzą z leśnego pobrzeża dolinę rozległą między puszciami. Góry nad nią z północnej strony wielobarwnym lasem odziane, góry z południa. Zachodnie wiatry odgania od doliny niskiej zasłona, jakoby sworzeń górski, a ode wschodu czernieje wyniosła macierz łańcuchów, wszystka w tumanie, we mgle.

Stanęli mężowie w strzemiach, nakryli dłońmi oczy od blasku rannego słońca, co się w wodach dalekich nurzało. Patrzą w dół. Góry przed nimi strome, góry okrągłe i pochyłe. Cudne błamy lasów, bezgraniczny ciąg puszczy, jakoby dym z ziemi wybuchły, płynie z jednego szczytu na drugi. Tam i sam osłonięta jest ziemia jeno pawłoką brzożowych bugajów, co zstępują ku dolinie uroczej tworząc widok piękności nieporównanej. A jeśli ma być widok jej przyrównany, to jedynie do widoku piękności piersi dziewiczych, gdy się przed stęsknionymi oczyma nagle odsłonią. Aż zakołyszą się od szlochania żelazne bary Mściwowe. Upadł w szeroką dolinę olbrzymi jego krzyk:

– Dolino moja... Da-dana!... Spyta Nosal:

– Powiadaj, bracie, miana gór, boć miejsce to nama obce.

– Tam, widzisz, bracie, macierz tych gór, Łysica, w której ciemności bogi mieszkają i skąd czarna woda, Nida, płynie. A idzie woda Nida stela aż do Wiślice, gdzie koniaźdz Wiślimir włada.

– Koniaźdz Wiślimir... – śmieje się cicho Walgierz Udały.

– Tamta, widzisz, bracie, siostrzyca – to Strawczana Góra, a za nią idzie Bukowa, a za nią idzie Klonowa. Nad siołem moim włodyczym i nad jeziorzyskiem wielka i święta góra, którą

czcili ojcowie, miejsc tych osadźcę – Radgostowa. Strumienie tam płyną z wąwozów leśnych dołami niskimi w kalinach, w cierniach, w głogach. Słońce ranne szuka tam gwaru wód w/ głębokich trawach. A w/ środku owo, co lśni pod słońcem – woda moja.

– Teraz – rzecze Nosal – domowy próg...

– Teraz – rzecze Wydrzyoko – zwleczesz, człeku, z ramion, z bioder a z nóg żelazne blachy, zawieszisz na kołku ciężki szczyt, odpaszesz długi miecz od siodła i drzewo sulicy w kącie postawisz.

– Teraz się – rzecze Mściw – obleczesz, bracie, w ochopnię domową albo się w kaftan skórzany odziejiesz i pójdziesz w pachnący las na łów swobodny, na wesoly...

– Albo się w komorze zamkniesz żoninej...

– Każdy o dziedzinę się swoją przecie zatroska, co na łasce byle czyjej została, gdy my światami gonili, żeby w Sasa rogacinę ciskać, mieczem go w sztuki rąbać.

– Ej, dzieci! Podrosły... świat! Jako też... dzieci?... Jako też to ze świergoleniem na kolana z żelaza rozzute leżć będą, a wieszając się po ramionach, a włóczyć z kąta w kąt koncerz, co krwi tyle wylał...

Stał Mściwa stary dom, gniazdo pograniczne ziemi, na kamienistym wzgóreczku, przy brzegu wielkiego stawiska. Cztery wielowłeczne lipy osłaniały jego czarny gontowy dach. A z lewej strony skłaniała się ku ścianom przychylnymi konary wielka i bardzo stara grusza. Pień jej był rozsadzony, spękany. Widły konarów osnute małymi liśćmi. W dole ogrodu wyrastał modrzew osobny, uroczy, jasny. Przy drodze dwie wierzby splecione korzeniami, dwa obumarłe kadłuby, dwa puste wewnątrz korzyska, choć toczyły od lat z trzewiów swoich rude próchno na ziemię, to przecie ze ściętych czubów puszczały strzeliste badyle, żeby zaś chłopcom na wiosnę nie zabrakło puszczalek. Nad brzegiem wody wznosiły się niezmierne pnie bez gałęzi. To czarne olchy patrzyły wiecznie w przezrystą wodę. Wielka woda leżała w miękkości pobrzeżnego sitowia, w zielonym łożu rozkoszy, które sama sobie stworzyła. Ku niej to biegly z gór parowy i dolinki, o których mówił Mściw. Smugi wysłane były cudnością traw, a w nich szemrały ciekoty leśnych strumieni i łąkowych poników. Tam to nie płoszone ptactwo śpiewało dokoła wiosennych gniazd...

Białe wodne lilie otwierały to tu, to tam kielichy na płani jeziornej. Wyniosłe pędy sitowisk schylały się nad ciemnym nurtem rzeki, która w płaszczyznę stawiska wlewała bystre wody. Błękitne ważki na przezroczystych skrzydłach snuły się nad tą ruchomą, wiecznie żywą, nieustanną wodą. Zdyszane od polotów nad głębiemi, padały nadobnice pierściami na obły badyl sitowia i bujały pospołu z nim, pracą rannego wiatru kołysane. Mgły wstawały z topieli.

Mściw stanął pierwszy nad brzegiem. Zapatrzył się, zadumał... Odpasał rzemień szyszaka i odkrył kudłatą głowę. Ponurym spojrzeniem ogarnął towarzysze. Wzniósł dłoń na znak, żeby się żaden nie ruszał. Szepnął z pogańską trwogą:

– Cichajta! Wodnice ze spania wstają... Wstawały z fal lekkie, śniadobiałe zwoje. Nogi ich i powłoki szat jeszcze się kryły w topieli, jasne kędziory cudnych głów dźwigał pachnący wiatr ponad kępy lęklivej trzciny. W głębokim cieniu, pod urwistymi brzegami, znać było przezroczyste ich ciała, ich zmienne lica i oczy bławe, a już za mgnienie źrenicy stawał się z nich jeno przejrzysty dym – i nic. Śniło się wojom, że z nich to, z mgieł stają się ważki błękitne...

Cofnęły uzdy rumaków i poszli stela w cwał, pełni dumania i czci. W pobliżu Mściwa dom czerniał na wzgórzu. Ogromny jego dach i ściany stare stwarzały obraz swój żywy w porannej wodzie. Tyn z wielkich kłód bitych na pal, a od wnętrza mocno spojonych płatkami, otaczał go ze wszech stron. Gdy mocno wiązane wrota obróciły się na biegunowych wierciejach i przed jadącym zastępem rozwarły, ujrzeli dwór. Stał przed nimi dawny, przedawny, zbity na moc, na siłę, z bierwion kładzionych w węgły, na wieniec i na zamek. Przyciesie i same płazy były szerokie na cztery i trzy piędzie, utkane w szparach mchem. Słoty jesienne i zadmy zimowe okryły je rudą polewą.

Zsiadł z konia Mściw. Uderzył radosnym ciosem we drzwi. Wnet się usunął zębaty wrze-  
ciadz bukowy i uchyliły skrzypiące dźwirza, nabite jesionowymi kołkami. Zsiedli z koni  
przybysze i przekroczyli wysoki próg schylając głowy pod niskim okapem dźwirzowym. Sta-  
nęli w izbie czarnej czuprynami sięgając dymu, co wałem w górze stał grubym. Schylili gło-  
wy w niskim pokłonie przed ogniem pośrodku płonącym. Skłonili się po wtóre z radością i  
wielką czcią przed ogniem błogosławionym, co na wielkim palisku z gliny między szczepami  
smolnymi połyskał. Skłonili się po trzecie przed ogniem wiecznie radosnym...

Obrócił oczy Mściw ku światłu padającemu przez dym z dziury szczytowej – i szeptał po-  
zdrowienie domowemu bogu. A pozdrowiwszy domowego boga stał połą niskie dookolne  
ławy z balów cisowych i prosił gości pokornie, żeby zasiedli.

Zdjęli rycerze kołpaki, ściągnęli z ramion blachy ciężkie, odpasali pasy i odsunęli broń. A  
skoro oczy do mroku domowego przywykły, ujrzeni z radością na ścianach ze smolnego  
drzewa, które był powlókł dym pokostem ciemnobursztynowym, starą praszczurów broń.  
Szerokie siekiery z brązu i krótkie zamorskie miecze, wielkie rogaciny bukowe i osęki, ma-  
czugi-bunkosze, śliskie od wielu dłoni, co nimi władały, szczyty olbrzymie, powleczone skórą  
zwierzęcą... Przedwieczne tam młoty na styliskach dębowych, uczynione nie wiedzieć przez  
kogo, za ojców, z głazu twardego kamienia, przeborowane pracą krwawą... Wielkie tam łuki i  
kołczany pełne strzał o bełtach krzemienych i brązowych, zaprawnych śmiercionośnym cie-  
mierem. Na wbitych w szpary kłach odyńców i na rogach turzych, na wielkich widłach jele-  
nich wyświechtane rzemienie, uzdy zeszcłłe od słot i upałów, siodła, popręgi, kańczugi ple-  
cione, pętle i arkany z kręconej skóry, a pieśń śmierci świszczące proce.

Poczną się z komór wychylać głowy nałożnych Mściwa żon, dziewczek. Radosny krzyk...  
Dzieci... Nie szedł ich witać Mściw, gdyż gości gościł. Wnet każe wynieść z lochu miody-  
lipce, dymione półcie sarnie i dzicze, wnet każe dawać chleby przecudne, słodkie kołacze ze  
zboża w żarnach mielonego, co się na niwie przywodnej łońskiego urodziło roku, gdy on da-  
leko wojował.

Hucznie uczują rycerze. Róg turzy, pełen miodu, z rąk do rąk idzie.

Hucznie uczują rycerze.

Piją koniędza Walgierza przezdrowie, co ich z obozu, z żelaznej garści królewskiej wydarł.  
Do dom ich wrócił, do komór żoninych, do kolebek... Chwałą rycerze koniędza Walgierza  
moc, mądrość, czyn i słowo. Wynoszą go krzykiem pospólnym ponad króla polskiego...

Tęgo a bez rachuby pije Walgierz. Chwali Mściwową dziedzinę. Wysławia ciche dolinki i  
jeziorzysko, pochyłe, zadumane góry, pole zorane i cichy sad, gdzie białe kwitną wiśnie. Wy-  
sławia Walgierz ojce Mściwa i czci ich świętą broń.

Długo trwa uczta, do ciemnej trwa nocy. Aż runął koniędz Walgierz na skóry niedźwie-  
dzie, warstwami w kącie izby usłane. Kamiennym zasnął snem.

A o północy, o pierwszych kurach, padnie zmora na jego chrapiące piersi. Przydusi mu  
zmora potężne barki jakoby zbója kolany, a gardziel ściśnie kleszczami. Śni się sen.

Wyływa z pustki nocnej mgła-ważka, łateczka błękitna, co nad wodami w poranek się  
unasza, co na badyłach nocuje, na liliach wodnych śpi – boginka cudnej postaci, dziwnej uro-  
dy. Spojrzał w nią nagle rycerz Walgierz oczyma widzącymi i poznał ją w krzyku radości.

Cudki to żony twarz!

Oczy jej bławe jak głębokość nieba i jak rozdoły królowego morza. Oczy jej żywe jak źró-  
dlana woda. Rumiane śmieją się usta. Senna rozkosz objęła głowę i otoczyła szyję. Rozkosz,  
której słowo nie wypowie, a śpiew nie wyda. Wyciągnął rycerz ręce przez sen ku pochyłym  
narcyzom, co we włosach odmienia tkwią, ku róży nieśmiałej na młodych piersiach. Aliści  
ręce jego wrosnięte są w głębokość ziemi jak góry ciężkie, jak skały nieporuszone. Wołać na  
nią, krzykiem wołać!... Brak tchu. Padła na piersi wieszczycza błękitna, ważka ulotna, w to  
miejsce, gdzie serce wzburzone huczy. A padła jakoby złom strzelistej w Tatrzech góry. Po-  
czuł koniędz ból przeraźliwy, bardziej nieznośny niż od przeszycia na wskroś cienkim ital-

skim puinałem. Pochwycić chce rękę, co mu zadała cios, pochwycić dłonią wojacką, ale jej ująć nie zdoła. Ma ją i nie ma jej wcale. Chwyta ją skurczem śmiertelnym, jakby nadwodną mgłę chwytał. Miota się w męce i strasznie walczy, niby pod nożem skrytobójcy a pod zegadłem siepacza. Aż oto słyszy błękitnej wazki tajny-tajny, do duszy mówiący szept:

– Walgierzu, Walgierzu...

– Cudna...

– Jam jest.

– Żono!

– Jużem nie twoja – mówi – żona. Krew w żyłach krzepnie, a serce staje w biegu. Słowa się wymkną spomiędzy skostniałych warg:

– Któżeś ty jest, umiłowana?

– Wróc się, wróc...

– Dokąd mam wrócić?

– Wróc się, wróc...

– Czemu tak mówisz, żono moja?

– Jużem nie twoja, rycerzu, żona.

– Któżeś ty jest, jasnowłosa?

– Walgierzu, Walgierzu...

– Cudna...

– Jam to jest dusza twoja.

– Ty jesteś dusza moja...

Dusza twoja...



### III

Spod głuchej męki wstał rycerz rano. Głęboki lęk ozionął serce upadłe i żal, niebaczny na wywody rozumu. Dokądkolwiek zawrócić wolę, nie ratunek się znajdzie, lecz wąż mgłę obawy. Raz w raz przekosi dusze trwoga jak dreszcz, co się z mokradeł wylega. Piersiom rycerskim brak tchu. Z ręki omdlałej czyn wylata...

Zatroskał się głęboko Mściw: pod jego dachem dziwożona piersi koniędza dusiła... Pod jego dachem gościa serce jest oczynione i od strzygi uczynek został zadany.

Siedli do rady towarzysze i ugwarzyli gorącym słowem, że trzeba nie tracąc czasu iść do wróżą po odczynienie.

Szli tedy wnet wszyscy czterej we święte tęgobory, w puszcze Łysicy. Zdążali chyłkiem, żeby ich zaś nie dojrzał świadek, a nie doniósł niemcom z eremu, co u krańca puszczy siedzą. Brnęli woje brzegiem strumienia Czarnej Nidy, urodziwymi wadoły, wśród olch i świerków, po smugach mokrawiny, kędy się żywa woda w wysokich trawach kręgiem-kręgiem, wstęgą-wstęgą wije. A gdy się rozdzieliły strumienie i rozeszły, ten ku Strawczanej, a tamten ku Wielkiej Górze, ruszyli za środkowym, co po ostrych kamykach, po rudych mchach z uroczym szmerem płąsa. Skacze tam strumień z weselem w głębi swego łożyska, bełkoce pośród koślawych pazurów jodłowych, biega zdyszany to tu, to tam, na obraz młodego a zdrowego ogara.

Weszli za nim rycerze w pustosz, w ciemną i głuchą knieję. Cichy wiatr nuci tam samemu sobie, kołyszając się w spławach jedli zielonych, co zwisają ku ziemi. Cichy tam wiatr, pachnący wiatr błądzi, stąpa, wzdycha w puszczy. Kiedy niekiedy sfrunie na trawy. A trawy tam mokre, wysokie, rubinowe spodem od ukrytej jagody a wielobarwne po wierzchu. Trawy tam modre i rumiane, złote i białe od uśmiechów dobrotliwej matki, świętej Pogody.

Przywiążą wiciądze konie do pniów, odpaszą miecze, zdejmą skórzane kaftany. Strach pada w dusze.

Idą ostrożnie w głęboki bór.

Zwały na drodze ich, wykroty, doły. Tramy przed czasy upadłe gniją w wieczystym pokoju. Zwalił je wicher z zachodu lecący, straszliwe skoki Śwista-Pośwista, gdy pędząc na wielkich koniach grzywiastych chmur, z grzmotem pod kopytami a piorunem u lewego boku, deptał puszcze. Ponad zgniłymi truchłami jodeł pienia się cudne bugaje młodocianych jodełek, chciwe na wodę, ciche potomki Lela-Polela. Olbrzymie głązy, obleczone w grube kożuchy mchów, we śnie tam śpią nieprzespanym. Szemrze wśród nich ukryty głos strumyka. Wiedzie pogwarem w górę a w górę, pod szczyt, jak młody wiemy pies.

Aż oto we dwie strony odchyli się zwarty jodłowy bór i ukaże się widnia polany. A na polanie buki niezmierne, buki głuche, buki piorunowe kępą samotną królują. Głowy ich, co burz tysiącem wzgardziły, zawždy we mgłach. Ramiona konarów krzyżują się pomiędzy sobą. Płaczą się twarde różgi i dotykają liście.

Z dała tu płyną podróżne chmury nocować na widłach konarów, owijać się o wielkie śniaty i śnić chłodnymi rankami o ziemi nisko rozległej. Z gałęzi buków rozchodzą się i zstępują w różne strony na garbatą i płaską ziemię dzikie, srebrnosiwie pawęże gradowe, posepne białe kudły śnieżyc i bure, senne kądziele dżdżu. Tam się w stalowych gałęziach hodują czerwone

wstęgi piorunu. Pnie ze wszech stron otacza wielki tyn. Zaparte w nim na głucho wrót wie-rzeje.

Przyszli czterej do wrót i kołącą z łoskotem – raz, drugi, trzeci. A gdy raz trzeci kołącą potężnymi pięściami, cicho się wrótnie rozsunęły na prawo i na lewo.

Święta przed nimi kontyna.

W cieniu buków starych-prastarych kryje się jej wysoki dach i ściany z cisowych śniatów. A wokoło niej trawy a trawy. Nie deptany kwietny łąn, niwa bodże poświęcona. Kości tam koni Swaroga w ziołach bieleją. Grzbietu koni Swaroga nie dosiadł przenigdy człowiek. Nie okiełznał ich uzdą jeździec ani opasał popręgiem. Nie znieważył ich rzemień kiścienia ani dotknęło pogłaskanie. Nie obciążyla ich przenigdy praca ani ogłuszył zgiełk boju o ludzkie krzywdy.

Żyły tu wieszczce rumaki w trawniku świętej Pogody. Wodę piły, gdy wola, ze źródlika wiecznie żywego Czarnej Nidy, co z głębin góry bije, a spod przycieś! bożnicy baniami przejr-zystymi wytryska. Starość je do snu wiekuistego śmiercią uśpiła. W owych się ziołach, na puchach kwiatów pod bukami układały spać z dobrawoli na wieki.

Swarog rozwiązał ich żyły, a piękne kłęby i lśniące łopatki w zwłoki gnijące zamienił. Lel-Poleł obmył czystymi wodami z chmur na bukach osiadłych kości białe, krew struchlałą, a ciało zgniłe połączył z ziemią i niewidzialnymi drogami poniósł do głębokich korzeni buko-wych. Świst-Poświst osuszył, co się ostało, i prochem życie rodzącym rozniósł po puszczy, a rozdał kwiatom i mchom.

Rogi tam, kręgi, piszczele lotnych nóg świętych jeleni puszczańskich, które na dni ostatnie starości przyszły były paść się w ogrodzie – i strudzone długością żywota, zasnęły u drzwi kontyny.

Kości tam białe i kielce wygięte wieprza dzikiego, co bezpiecznie przychodził z pustyni le-snej gnić pod progiem wysokim... Kości tam wilka, co stary i zapadłoboki, z żelaznymi od głodu ślepiami, a pod okłścią zimową przemarzły, przywłóczył się na chwilę ostatnią...

Śnią ponad źródłem, co jak serce w piersi człowieka wiecznie w łonie ziemi bije, kępy dzięgielu. W pierzastych liściach rozkwitł kwiat. Tajemny kwiat, co tynem bezpiecznym ota-cza dom człowieka od uroku czarownicy... Tajemny kwiat, co za dnia weseli widokiem swoim upadłe serce, a nocnym zapachem odgania cień chodzący dokoła węglów i niweczy wielki strach nocny pod strzechami.

Patrzą ku słońcu nie zmrudzonymi oczyma promieniste złocienie. Jasna ich moc za siódmą górę a za dziesiątą rzekę odgoni widmo złośliwe, jeno o świcie wstań, gdy jeszcze łąka rosą opita, rwij jasne główki złocieniowe i pilnie noś na sercu.

Pod ciemnym tynem – jak gdyby poblask na wodach zorzy wieczornej. Lecz to nie zorzy poblask na wodach, jeno ciemnoniebieskich dzwonek zatoka. Na powikłanych odnózkach, jakoby na rusztowaniach ciesielskich, przedziwnej siły wiszą dzwony, w które ranna zorza dzwoni. Skłonią się barwicą swoją oczom przybyszów dzwony z zorzy porannej przez wiatr i słońce tkane. I pozdrawiają oczy przybyszów nadobne kwiaty, plemieniu ludzkiemu przy-chylne, a darowują oczom tę barwę, której, ponad wszystkie inne, trwożą się dziwożony.

Wielobarwne motyle, rzekomo latająca łąka, snuły się nad kwiatami ssąc z nich tajemne pokarmy. Jaskółki śmigały żywo dookoła ścian bożnicy z piskiem, świadkiem radości żywo-ta. Znosiły żer pisklętom do gniazd przytulonych u szczytu kontyny pod głowicami Swaroga. Szerokie, boczne podstrzesza świątyni pełne były gołębih gniazd. Gruchanie płynęło stamtąd dwiema żywymi falami. Płomienista wiewiórka przemknęła po gałęziach i skokiem znikła w szczytowym dymniku.

Jakoby na jej znak, na oznajmienie, stanął na progu Dziad prastary. Kudły siwe pasmami spływały na jego ramiona, a biała broda na piersi. Przerażliwe i groźne oczy miotaly ogień spod wielkich brwi. Zgarbiony był, wsparty na kiju, odziany w łachman. W ręce, dygocącej

jakoby z zimnicy, trzymał kazubek z osikowej kory, i rubinowe jagody sypały się z naczynia w trawę.

Ujrzawszy obcych, straszliwych ludzi, wejście sobą zapał i rozkrzyżował ręce.

Rzekł Mściw pokornie:

– Wrózu, my swoi... Milczał.

– Dziadu, patrz na mnie.

Spojrzał na niego wróż i długo przebija oszczepami oczu. Aż wyszepce.

– Krzyż na twojej piersi.

– Krzyż na mej piersi, lecz w sercu bogi.

– Czegóż to chcesz?

– Żebyś z jednego spomiędzy nas urok odczynił. Zwiesił dziad głowę na piersi. Duma.

Mamroce:

– Odczynić urok...

Aż się nagle poderwie jak jastrząb ugodzony strzałą. krzyczy:

– Idźta borem—lasem ku widni, idźta do niemców, co dzwonami strasznymi w knieję biją!

Niechże ta woma urok odczynia.

Chwieje się jego stara głowa. Usta wykrzywia i oczy bielmem zawłóczy głęboki ból. Splatają się koślawe, sękate ręce. Śpiewa samemu sobie:

– Spaliły kloc...

Kloc stary, kloc wielgi, kloc święty w dymie, w dymie. Ogień go zre...

Pobiły żelaznymi broniami święte jelenie. Podusiły ptaki-krogulce. Gniazda zdeptały nogami. Zmaściły trawy końskim kopytem i wycięły kosą świecąca...

Święte buki wyrąbały od cna żelazną siekierą. Upadł na ziemię buk...

Zakołysał się nikię gałąź od wiatru. Pełne łez zamknął oczy. Zaszłochał:

– Świstu-Świstu-Poświstu...

Chodzisz stronami, borami a po górzystych wierzchołkach. Grzmot lata po ostrych skałach, a wiatr maści lipy po górach. We wody pieron twój bije, w kamienie, w chałupy, w kostnice.

Pali, tratuje...

Przychodź...

Polelu-Polelu-Polelu...

Bij z wierzchołka, z wysoka! – Strzelaj czerwoną procą!

Polelu! – Wyciągnął ręce w świat i poczał wzywać:

– Świstu-Świstu-Poświstu!

Przychodź!

Wielgi, wielgaśny, okropny!

Latasz teraz turniami, po wysokich, po górach. Śmigasz po siołach, po wodach, po żaliskach dalekich.

Uderz we wielgie, we skrzydła, w szerokie!

Przychodź!

Bij krzywym nosem i rwij ostrym pazurem. Zakwicz, zaskowycz, zawyj jako za małymi wilczyca w kniei.

Rozdujesz płomyczek mały-maluśki, rozdmuchasz we skrzydło tyłośne jako połać borowa od Jeleniej Góry po Kamień.

Będziesz se chybko polatał nad dymem, będziesz se fruwał i wartko wiał krzyżami w ogniu, szubienicami po górach. Będziesz se walnie tańcował we zgłiszczach, w popiołach będziesz się bawił.

Będziesz se poświstywał dadana-da w piecowiskach wyziębłych, da na wysokich, na grobach...

A gdy śpiew dziada stał się cichy, a gdy ręce jego w przestrzeń podane stężały, gdy oczy w przestrzeń wbite zastygły – daleko – daleko – daleko zaszumiał górski bór. Rozszedł się w puszczy jodłowej osłuch wichrowego polotu. Zdało się tym, co słuchali, że głucha ziemia stęka od wielkich kroków, gdy idzie przez bory, asy wezwany wicher-bóg. Cięciwa jego łuku tęskny wydaje dźwięk, a kołczan pełnostrzały szeleści nad kniejami. Padnie na jedle, na modrzewie, na cisy i na sosny podmuch-szum. Poda go knieja kniei. Wzdyma się głos na górach, rozwija się jako chorągiew bojowa, jako proporzec królewski.

Uśmiech na twarzy dziada.

A skoro buki, piastuny chmur, buki wzdardliwe, buki ponadleśne w harfiany głos uderzyły, padł na oblicze WRÓŻ. Kudły jego długie rozwiały się w badyłach traw i wpełzły pomiędzy kwiaty. Siwy włos okręcił się dookoła szypulek, zahaczył na odnózkach i plewach. I zstąpił powiew Świstu-Poświstu z gałęzi buków na wyniosłe, na liliowe, na białe, rumiane i żółte zioła. Zakołysał się kwiecisty łan. Westchnęła od wonnych szmerów, od łaskawych szelestów, zagrała ze wszech strun łąka bodze poświęcona. A wonny powiew jakoby dym szedł przez szerokość tam i sam – ni to westchnienie, ni to pokłon, ni to uśmiech ocknionej dzieci-ny w majowe rano, ni to zalęknienie starca, co wita wchodzącą w progi śmierć. I wraz z zagajem badyłów, wraz z wiotkimi kiściami tysiącznika chwiały się tam i sam włosy rozwiane wróżowe.

Gdy zamilkł powiew i ucichł szmer, a trawy rozkołysane w ciszy natchnionej nieme i czekające stanęły, dzwignął się wolno dziad. Twarz jego jako u trupów, oczy nie widzą, jak za dnia oczy sowy. Zgrabiałe ręce szukają w przestrzeni. Zwróciła się skostniała twarz wróża w koniędza Walgierza stronę, a przepaściste oczy uderzą weń jako krzemienne groty ślepych polotnych strzał. Szepcą uschnięte wargi:

– Woju wysoki...

Zła twoja, woju wysoki, dola.

Hej, bardzo zła twoja dola!

Słysząc, jak ziemia w głębokości nad tobą głucho stęka, a woda nad tobą szlocha.

Sława twoja głęboko wzdycha – och, głęboko, a nisko twoja sława w lochach płacze, och, bardzo nisko...

Wysoko twoja chwała polata, szeroko, daleko wieje. A chwale twojej końca nie ma. Idź, woju mocny, do stoku, co haw ze ziemi bije, nachyl się nisko, nisko nad wodą. I patrz. A skoro samego siebie zobaczysz, przypatrz się, woju, dobrze, żebyś – widzisz – samego siebie poznał po czasach...

## IV

Śmieje się w głos z bredni dziadowej.

Pędzi w cwał.

W konie! W stronę tynieckiego zamczyska, ku słońcu! Za nim dwaj towarzysze. Wydrzyoko i Nosal. Miecze trzaskają w strzemiona, parska biegun wypoczęty.

W piersi Walgierza serce radośnie łomocze. Tęskno mu do Wisły-wody, do widoku gór o świtanie, gór, co daleko we mgłach błękitnieją. Obcą mu każda puszcza, długą mu każda droga, a ziemia zda się wielka nad świat. Kiedy niekiedy przemknie się w dreszczach cielesnych myśl urocza jak widok łąk wiślańskich w pod-wiośnie:

„W cisowej komorze czeka, w cisowej Cudna żona śni. W podziemiu jęczy koniaźdz żupy wiślickiej, Wiślimierz...”

I przyjdzie wnet do ucha, nie czekany w końskim tętnie, słabego szept wietrzyka:

„Uczyń mu dobrze, woju wysoki... Puść mu winę z dobrowoli, a karę zakłątą skróć. Odmknij kluczem ciemnicę. Zajrzyj w mrok, wejdz. Straszny jest mrok ciemnicy. Wyrwij słabego z kuny żelaznej. Weźże go, weź w ramiona... Ugość go chlebem, napój go miodem. Zawrzyj z nim pobratymstwo na życie i śmierć przeciwko polskiemu i przeciwko czeskiemu królowi. Puść go, puść na koniu bogato siodłanym w Wiślicę, w starą ojczyznę...”

Serce rycerza drży. Oczy się śmieją ku niebu. A myśl jak zapach kwiatowy dymi się w duszy:

„Takem zaiste postanowił. Tak mu uczynię. Przez twą przyczynę, Cudna żono...”

Jakby w nagrodę za ową myśl, jakby w przedziwnym powinowactwie z postanowieniem – rozchyła się het-het lasy szerokie. Wiślańskie łęgi! Widać z wyżyny kwieciste, nieogarnione oczyma. Wierzby tam po nadwodziu rosochate, wikle się srebrzą w porannej mgle. Daleko dumają kępy sokorów, daleko w błękitach toną białe brzozy. W brzegach rozkosznych płynie połyskliwa Wisła-woda. Toczy się popod wzgórze okrągłe i chlupie w gliny żółte osypisk, toczy się popod skały wapienne i wstęgą błękitu ich białe stopy otacza. Wraca się w łąki i zanurza się w lasy... A nad nią krzyk wiosenny czajek. Na skale białej, na skale wysokiej zamek drewniany basztami w niebo strzela.

– Tyniec widać... – szeptą druhowie.

Weprą rycerze żelężca w boki biegunów i sadzą w skok łąkami kwietnymi. Wpław płyną przez Wisłę-rzekę. Skoro zaś bystry koń strząśnie ze siebie wodę na brzegu, uderzy Walgierz w róg. Uderzy raz, uderzy drugi, w hejnał radosny, w dźwięk rodowy.

Padła z łoskotem brona nad rowem. Rozwarły się cisowe podwoje...

Cudna w nich żona!

Stoi we słońcu. Słońce w jej włosach jasnobiałych nurza się jakby w sobie samym.

Jakże jest piękna!

Promień słońca wiecznego, gdy spadł z niebios na ziemię, gdy ziemię czarną nawiedził i spoił się z nią uściskiem – zaprawdę w nią się przemienił.

Nie wierzy oczom swym Walgierz Udały. Nie wierzy uszom swym. Uśmiecha się do wdziała sennego, do duszy swej, do wieszczycy na jawie stojącej.

„Tyś to jest zaprawdę dusza moja...” – szeptą samemu sobie.

Szybkimi kroki przypadła do strzemienia rycerza.

Ręce do jego żelaznych ramion wyciąga...

Dźwięczą bale lipowe, w prastarej puszczy ciosane, pod ciężarem stopy żelaznej zadumanego, kiedy szepcząc, nie widząc w komnaty zamkowe idzie. Szumią nad jego szyszakiem drzewa zamkowe. Pachną ku niemu z dziecięcych lat znajome trawniki. Chwieją się w jego stronę pławiny domowych krzewów.

Nie widzi nic, nie słyszy nic...

Och, szepty teraz ciche...

Tęsknota już skończona, już ukojone westchnienia i uschłe łzy. Już się oczy w oczach zamknęły niby obłoki żeglujące od krańców świata – w głębinach jezior. Słowa nurzają się w słowa, usta nurzają się w usta. A każde słowo jest jako dym kadzidła, każde westchnienie pada do kolan żony, do stóp się schyla, na twarz upada we czci, ślad jej całuje. Nazwy nieznane, pogwary cudze, rzekomo z zaziemskiego języka, spływają z warg. Wciąga rycerz oczyma rozkosz widoku sprzętów i szat żoninych, a ręką drżącą od zachwytu, od szczęsnej trwogi, głaska długą, głaska jedwabną, rozpuszczoną burzę włosów.

Westchnął po cichu ze szczęścia.

Zakrył oczy, stanął i duma.

Duma o tym, że niewiadome moce dały mu oto taką chwilę. Duma o tym, że nie na próżno uszedł z obozu i polskiego zdradził króla, bo oto ziścił się sen, spełniła tęskna żądza. Dobrze uczynił... Duma o włosach żoninych pieszcząc je ręką chciwą i sen śni o jej oczach zaćmionych marzeniami patrząc się w nie bez końca. Stał się bezsilny, dobry, szczęśliwy jak ptaszek leśny, co na gałązce kalinowej śpiewa w boru. Stał się łaskawy jak kwiat na błoni od wiatru kołysany.

Wiedzie go żona cicho, cicho...

Wiedzie go żona sennymi kroki. W tajne idą sienie, w alkierze, w bokowe świetlice. Do baszty, do baszty, gdzie z dawien dawna ulubiona izba ich otworem stoi...

Odparował konia po drodze i rzucił na ziemię ciężki miecz. Zwalił z ramienia puklerz olbrzymi. Szybko pozdzierał rękawice żelazne, co lubej dłonie uwierają. Rozpręga prędko sprzączki blachownie pancerza. Rzuca za siebie szłom, żeby nanośna stał pocałunkowi jasnych oczu nie wadziła. Już twarda przyłbica nie stoi między bezsilnymi czołami...

Aż oto próg miłosnej świetlicy.

Pozdrowia Walgierz oczyma rozkosznice-ściany i uśmiech szczęścia posyła ciemnej bizantyńskiej kotarze.

Wstrzymał się u proga – w modłach duszy jakoby w gęstym obłoku.

W owej to chwili rzuci niewidzialna ręka rzemienny stryk na jego szyję.

Zdusi pętlica gardziel rycerza.

Mrok w oczach!

Strach!

Płaty krwi, zielone krzyże, koła ogniste. Huk w głowie!

Runął olbrzymi Walgierz na wznak. Ciemno mu w oczach. Tchu nie ma!

Błysk myśli:

„Śmierć nagła moja...”

Chichot nad nim żonin – i jeszcze czyjś. Przez bogi! – i jeszcze czyjś... Cienki puinał przeobrażenia z wolna, na wskroś, idzie przez serce:

„Wiślimierz!”

Pochwycił rycerz Walgierz dech w piersi. Straszliwy gniew szarpie się w sercu. Pierwszą myśl siepie z pochwy móżgu jak miecz:

„Jeszcze się wydrę!”

Ale nim oczy rozewrzeć, sto rąk skrepuje mu ramiona i lędźwie rzemiennymi pętami, sto kolan przydusi piersi. Włoką go za bujne włosy. Wykręcili z jabłek ramiennych ręce obie i

spoili łokcie rzemieniem! Spętali nogi w kostkach i kolanach, a w usta wbili z pakuł tłok skręcony. Ciągną go dysząc – tam – ku ścianie. Mamrot tłuszczy. Prędkie a krótkie rozkazy.

A w ścianę wbity żelazny słup.

Kuny przy nim zamczyste na ręce i na nogi, okrągłe skoblące na gardziel i pod pachy. Sprawnie zamknęli nieudźwignione kajdany żelaznymi kluczami. Młoty ciężkimi zakuli na żywym, zdyszonym ciele sztaby zagięte.

Zaklepali. Na wieki wieczne zaklepali. Na wieki wieczne zaklepali.

## V

Dnie, noce, miesiące, lata...

Długie są dni Walgierzowe, a noce są nieprzemierzone.

Zstępuje noc. Idzie mrok. Jak wilk zapadłoboki, wychylający się z lasu na łup, na żer, czai się mrok... Ciemność pracowicie zatyka wąskie szpary między prętami okiennych krat. Strach pełza po nagich ścianach, zgryzota się wałęsa z kąta w kąt, a bosa noga zmory, noga z mgły, stąpa w ciszy.

Rozsunęła się niespodziewanie wielka zasłona, którą był Walgierz Udały onego czasu na carogrodzkich kupcach zdobył. Blask ognia uderza w oczy – i widok.

Tam w głębi!

W głębi, na skórkach niedźwiedziach, w boju na puszczy ręką Walgierza zabitych... Tam w głębi Cudna żona w ramionach leży zwycięzcy. Śmieją się w głos obydwójce pośród pieszczoty. Odwraca głowę Cudna żona i mówi w ciemność:

– Więźniu! Więźniu, czy jeszcze śpisz? Kochanek dorzucił z krzykiem:

– Więźniu, czy śpisz? Zbudź się, ospalcze, i patrz! Ów milczy, do żelaznego słupa podobien, na którym wisi z dawien dawna. Powieki się raz na zawsze zawarły i oczy patrzą w głębinę nieszczęścia, w jaskinię wewnętrznej ciemności. Wówczas Cudna żona rozepnie pagwicę, zwlecze z ramion oświk, szatę zwierzchnią, a gźło rozchyli. Nagim ramieniem otoczy szyć zwycięzcy. Śpiewa mu w czerwone usta miłosną pioszeczkę, którą była mężowi dawniej śpiewała. A piosenka jest cicha, cicha, padwanek półszepcany, półnucony o leśnym ptaszku, o słowiczku i o gałązce nad wodą kaliny. Słucha Walgierz piosenki małej, w której jakoby w kropli rosy mieści się wszystek świat. A po każdym nawrocie padwanka, a po każdym pocałunku słyszy w ciemnicę swą zlatujące pytanie:

– Więźniu, czy śpisz? Och, śpi. Zamknięte ma oczy na tryby tak twarde, jak twarde są ogniwa kajdanów. Głowa na piersi zwalona. Palce rąk twarde łańcuch objęły...

Wezmą wtedy oboje szczęśliwi lampę i zstąpią ku niemu z wysoka. Świecą mu płomieniem w oczodoły. Palcami mu dźwigają powieki mocno zawarte. A czynią tak dopóty, aż je otworzy i patrzy w nich ranami śmiesznymi źrenic, plugawym wstydem oczu. Wtedy z nadmiaru uciechy chichocą oboje. Wiedzą dobrze, szczęśliwi, że skoro się te oczy rozewrą, już ich zawrzcć niesposób. Wiedzą, że będą bezsilnie na rozkosz ich patrzyły, póki nie posną od szczęścia znużeni.

A gdy oni posną wysoko, jego leżącego tak nisko otoczą widma bezsenne i zmory wiecznie żyjące. Chodzi dookoła głowy zabitej widmo ciche, zmora-mgła, a nóż ma w ręce ostry, szeroki. Nie masz miejsca w duszy, którego by nie zraniło, nie masz chwili dawnej ani chwili przyszej, której by nie pokazało w lustrze ostrego noża. I tak długo, tak długo, póki się ranek nie włamie między kraty okienne i świt jaśnie litosnymi oczyma nie wejrzy w norę więzienną.

Gdy ranek śpiących w rozkoszy obudzi, siada Wiślimierz na posłaniu i ciska do stóp więźnia wzgardliwą kość jałmużny, kęs pożywienia z wczorajszego stołu. Mocny jest głód.

Bardzo jest mocny głód. Schyla się dumny rycerz i zre łaknącą zuchwą.

Pan pyta:

– Widziałeś szczęście moje? Wrosły w łańcuchy me mówi nic. I słysząc jeszcze pańskie słowo:



– Skoro me szczęście uznasz dobrowolnie za prawe, uszanuję twoją sromotę.

Wówczas Walgierz Udały mamroce:

– Nie szanuj mojej sromoty, nie szanuj...

– Czemu, rycerzu?

– Albowiem – rzecze – jestem w kajdanach.

Lecz mówiąc słowa te Walgierz drży w duchu i nieugiętą dłoń trwogi czuje na gardzieli. Smaga się batami słów dawnych, słów dumnych, słów rycerskich, byleby nie dojrzano, jak żebra drżą pod łachmanem. Maca w sobie wzrokiem ducha, ranę, źródłisko wieczne, i krew brocząca nieustannie trwożnymi dłońmi osłania.

Wie, co go czeka.

Cudna śmieje się ku porankowi.

Wieniec z kwiatów nadwiślańskich kładzie na jasne włosy. Blisko, blisko podejdzie.

Wyciągnie ku niemu rękę małą i dłoń na czole schylonym położy. Zanurzy palce we włosy, rzekomo ku pieścocie. Weźmie na usta dawny uśmiech, podobnie jak bierze na ramiona szatę tkaną, a wieniec kwiatów nowych na bardzo piękne włosy. Łagodnym szeptem przedrżniać będzie imioniska pieścotliwe, słowa-całunki i słowa-pogłaskania, które mu niegdyś w usta szeptała.

Wiślimierz wdzieje szatę wspaniałą, z bezcenną futra opuchą, szatę, co ją był Walgierz nosił za dni szczęśliwych. Otworzył Wiślimierz skarbiec naddziadów i świętości rodowe Udałego przegląda. Jedne sobie zatrzymał, a inne rozdaje sługom.

Zeszli się słudzy, których był Walgierz w lochu trzymał bezprawnie, nogą popychał dla swej uciechy, psami szczuł z zemsty, pędzał kiścieniem do pracy jako bydło robocze. Teraz go oni potracają szyderstw, smagają batem drwiny, kasażą zelżywym słowem i szarpiają nikczemną ręką. Najśmielszy będzie go posiepywał za brodę, targał za uszy, szczypał w policzki. Najpodlejszy plunie z wysoka na jego spuszczone powieki.

A wtedy słyhać z wierzchnicy książęcej śmiech Cudnej żony.

Więc oszaleje na nowo, po raz stokrotny, po raz tysięczny głowa Walgierza. Wydarł się z piersi po raz stokrotny, po raz tysięczny wewnętrzny głos, głos, co warg nie porusza, co na podobieństwo krwi żywej płynie z rany włócznią zadanej:

„Przyleć w huku płomiennym, Świstu-Poświstu! Boże-rycerzu! Uderz w zhańbione oczy moje piorunem miecza i rozwał gromem czoło plugawe!

Wypal żagwią ognistą nędzną siłę widzenia! Niech już oczy moje nie widzą! Zagłusz nikczemne uszy gromem wojennym! Niech już ogłuchnę na wieki!

Zatop krynicę niewolniczych łez górnymi wodami, Lelu-Polelu! Niech już na wieki ustana...”

Nie przyjdą ku pomocy bogowie.

Jasny jest błękit niebios – trwa cisza – a Pogoda udziela łaski swej Wiślimierzowi.

Tedy Walgierz przeklnie bogi i straszliwą zniewagę ciśnie w niebiosą. Zatrzasło się jego serce i zawarło – mózg się wyrócił. Ciało, skręcone w kłęb, popadło w bydłęcy sen, w sen niedźwiedzia poszarpanego od stada psów.

Tak miną dnie, tak miną noce.

W godzinach zniewag, o każdej porze dnia, w każdym momencie wieczora Walgierz o jednym śni. O jednym śni.

Pociąga ramieniem łańcuch, pociąga łańcuch... A od pracy długotrwałej, niestrudzonej stały się ogniwa łańcucha czujące tak samo jak stawy, ścięgna i więzy ramienia. Wydłużyły się kości, rozciągnęły się żyły i przeszły w skręty żelaza. Dłoń czuje żyłami i zna kośćmi każdy ruch ogniwa, wie do cna siłę haków. Jest łańcuch niby wydłużona, bolesna ręka. Myśl pod maską snu i pod figurą upadku ciała śledzi wciąż jedno. Tam, w górze, macica śrubna wkręcona w żelazny słup... Nie widzą jej oczy, nie dotyka jej ręka, lecz zna ją myśl. Wciąż niestrudzone, bezsenne, obłąkane badanie okrąża ją dzień i noc. Mutra zdaje się spać jako i on.

Nieruchoma jest jako i on, ślepa i głucha jako i on. Lecz pod nią śruba, wkręcona w słupek, już się od targania porusza. Już się porusza...

Tak miną dnie, tak miną noce.

Aż o wyśnionym północy, gdy zamieć bije skrzydłami w czuby zamczyska, gdy Poświst łamie lasy i rozjuszony błąka się w puszczech – natężył Walgierz ramiona, porwał dech w piersi, zestrzelił siły, postawił wszystkę moc kości przeciwko wszystkiej mocy żelaza – i wyrwał śrubę ze słupca.

Skrwawiona dłoń błądzi w powietrzu! A u niej łańcuch zwisa. A u łańcucha śruba jak sztylet zwisa. Nogi w dybach, lewa dłoń w zamku, młoty zaklepana, pod pachami obręcz, ale prawica rycerska swobodnym łańcuchem włada.

Śmiech radości!

Porwał się ze snu Wiślimierz. Krzykiem zbudził zamkowe sługi. Strach błady leci w komnaty. Wrzask przerażenia oddaje echo.

Cudna żona w kucki na łożu przypadła. Drży. Wielkimi oczyma patrzy w więźniowy kąt.

Walgierz pieśni śpiewa. Ciemnej nocy i hukowi burzy dziękuje za chwilę. Woła ku sobie wroga, wzywa go na bliski bój. Ścierwo zniewag rzuca mu w oczy. Idą ku niemu siepacze chyłkiem, kupą wilczymi skoki, ze wszech stron. Pan ich słowem i obietnicą nagrody podjuddza. Rzucają się wraz.

Straszliwe ciosy więźniowej prawicy poczęły rozsiewać śmierć. Łańcuch się zmienił w rozszalałą włócznię, a śruba w koncerz sieczysty i w zdradziecki puinał.

Leci na zbirów z wysoka, pada z boku, kołem się wije, z dołu godzi. Pękają czerepy od ciosów wielkiego gniewu, zapadają się piersi, zwisają złamane ręce.

Lecz krótka jest chwila szczęśliwej walki – i przeminęła. Nastąpiła inna. Ręka zboczona przykuta dziesięćkroć, stokroć.

Pan policzkuje zwyciężonego.

## VI

Milczenie, co się otwiera, a nie zamyka nigdy... Milczenie, które wstaje i idzie w czarną dal... Głos słycać w ciszy.

Poszum li to wiatru żalony, żalony?... Świst-Poświst li to wzdycha u krat czy jeno serca strudzonego jęk w pustej piersi?

Z głębin wychodzi zmora cicha. Oczy jej kaprawe jak u mysznieńskiego biskupa, a piersi pełne szlochu. Staną owe oczy, zawalone bryłami łez, naprzeciwko oczu Walgierza, a usta wieszczka płaczącego naprzeciwko ust. Głos kusiciel, głos tajemniczej mądrości przepływa wśród nocy. Słyszy go Walgierz w głębinie duszy swej jakoby głos własnego sumienia.

A gdzie na duszę padnie ciężka łza wieszczego głosu, tam wyrasta subtelnie piękny kwiat rozczarowania, szerzą się nikle, urocze barwy zwątpienia. Wokół wyrasta jasna łąka, wirydarz chwiejny, wysoki. Zdaje się oczom w ciemność patrzącym, że widzą wieszczce zioła w podwórzu świętej kontyny, zaczarowane kwiaty u źródlisk bijących z ziemi.

Ułudne badyle i mniemane kielichy wykwitłe z krwi, co uszła z żył świętych jeleni i w żyły się wtoczyła kwiatowe, wylewają zapach wieczysty.

Szept wokół senny.

– Rycerzu, rycerzu...

Czyliżeś kiedy był za drzwiami jęku, azaliś wstępował kiedy do ciemnicy serca, co bije ostatni raz?

Gdzieżeś był, noszony przez konie sławy we wichrach, kiedy zegnał oczyma zorzę niebiosów pobity mieczem twoim? Czyliżeś słycał stękanie i trzask stancy złamanej a szloch i łomot upadającej chorągwi?

Rycerzu, rycerzu... Wysłuchaj teraz, jak brzmi tętent odlatujący konia zwycięzcy, a jak szcękają podkowy w błonach ucha tego, co został na krwawym polu i cicho leży sam jeden.

Bądź pozdrowiony, samotny!

Bądź pozdrowiony, samotny, od nas, które rośniemy za wrotyma wieczności, a pamiętamy o wszystkim. Niech się twe serce strudzone uciszy. Niech dusza spocznie w sobie samej. Spójrz, samotny, strudzony, w źródło wody wiecznie wytryskającej i twarz swoją rozeznaj...

## VII

Rzecz pan:

– Azali jeszcze knujesz zemstę?

– Knuję zemstę.

– Oto ci mówię miłościwe słowo. Zważ je w sumieniu, mocno ujmij rozumem. Z włostów odwiecznych idziesz rodu jako i ja. Aleś upadł z ręki mojej i zwalon jesteś na wieki. Nie będziesz już nigdy księciem na Tyńcu, nad Wisłą białą i nad szumiącymi lasami. Czy mię rozumiesz?

Odpowie więzień:

– Nie.

– Czemuż nie rozumiesz sprawy tak oczywistej?

– Jakże, będąc włostem z krwi pradziadów, mogę zarazem włosiem nie być?

– Dlatego nim nie jesteś, że ja jestem tobą.

– Czymże ja się stałem, jeśli ty jesteś mną?

– Jesteś niczym, ponieważ jesteś w kajdanach.

– Czyli się tylko nie mylisz?

– Nie myślę się. Któż by mógł koniądza zabić bez kary? Nikt. Ja zaś mógłbym cię zabić bez kary, a teje chwili mógłbym rozkazać trupa twojego wywlec za próg i rzucić w zgniłą fosę. Jakież twe życie? Skinę i być przestaniesz.

– Skiń!

– Zechcę, ażebyś żył w moich oczach wielmożnych, i musisz żyć. Taka ma wola. Tak musisz żyć, jak ja zechcę. Myśl długo nad głębokością mej łaski. Mogę cię zabić i trupa twojego rzucić w fosę, a ja cię życiem daruję i bratem zowie.

– Jakże to mam uczynić, żeby zaprzestać być sobą? Daj mi radę, o bracie.

– Daję ci radę: zapomnij!

– A jakże się to czyni, żeby zapomnieć, ty, który wszystko wiesz?...

– Odwróć oczy od rzeczywistości i patrz w złudzenie. Patrz w złudzenie swego majestatu. W złudzeniu jest siła życia. Rycerską wolę, rycerską moc, wszystką rycerską duszę zarygluj w pieśń, podobnie jak ja ciebie zamknąłem w dyby. Pieśń sobie wyśpiewaj o swej wielkości...

Śmieje się pan.

Więzień zamilkł. Popadł w zadumy, w sny.

Oczy ma w ziemię wbite, plecy zgięte, ręce rude i żelazne jak zardzewiałe żelazo skoblicy.

Wlecze się jego senna myśl.

„Stolek mój wyniosły uczynił Wiślimierza mądrym, potężnym. Miejsce moje wysokie uczyniło go wielkodusznym. Mógłby mię Wiślimierz zabić bez kary, a dał mi życie. Jest Wiślimierz potężny, mądry i dobry. Jest jakoby ojciec mój rodzony, bo mi życie darował.

Cóżem ja jest, zapomniany? Cóżem ja jest, zaiste? Któż mi odpowie? Możem jest zaprawdę nie rycerz i nie woj, możem jest zaprawdę jeno siepacz i sługa?...”

Śmieje się kajdaniarz do myśli swej. Podnosi ją ku światłu nędznemu i patrzy w nią krwawymi oczyma.

A w głuchą noc, w ciemną noc posłyszają ludzie, że śpiewa samemu sobie:

– Sławo! Sławo!

Nad szyszakiem moim ze stali lustrzanej latałaś, nad piórami zaramiennych skrzydeł były twe drogi. W mieczu-zbójcy, gdym go z pochwy wydzieriał, lubiłaś oglądać oblicze.

Sławo! Sławo!

Tętent kopyt po zeschlým stepie kochałaś duszą, a krzyk mój w wielkim boru nosiły twoje skrzydła promieniste ku odległym plemionom.

Sławo! Sławo!

Dzisiaj wydartą mam pawęż i szłom, i pas. Zakuty jestem w okowy i na ziemi waruję. Podlejszy jestem od psa, co pod cudzym zdycha progiem, bo pod własnym leżę progiem, a nikczemniejszy jestem od lisa, bom w żelazach.

Zapomniała o mnie ziemia rozkwitła i zapomniały śniegi zimowe, woda rzeczna, tonie jeziorzysk i leśna cichość.

Zapomniały o mnie kości mogilnym próchnem zasypane.

Jestem sam jeden, gdyż opuściła mię dusza moja.

A gdybym podniósł głos tak wysoko, jak lata łamignat orzeł, co się w niebie z lotem oczu ściga, a gdybym rozszerzył głos głęboko, aż ku popieliskom przedwiecznym, nikt wołania nie usłyszy, tylko je słyszę ja, sam jeden.

Wróci się pod serce cielesne moje, skąd wyszło, jak gdyby hak z żelaza.

Spojrzyścież, oczy moje, w rzeczy ziemskie nieustraszonym wejrzaniem, a nie przelęknijcie się niczego, cokolwiek byście ujrzały!

Idę odważny do wrót zawartych nieszczęścia mego i pięścią nieustraszoną zakołając, jakom do wrót starej kontyny kołatał.

„Zła moja doła!” – rzekł mi wróż.

Wyjdźże z ciemnej bożnicy, moja zła doło!

Pokaż się, doło!

Niechaj cię ujrzą źrenice moje!

Niechaj się tobą nasyci moja zgłodniała myśl. Niechaj cię ujmie dłoń moja chciwa, jakom ujmował zabójczy puinał.

Lecz już się umknął od dłoni mojej rycerski miecz, od

boku mego urwał się nocny towarzysz, puinał. Zła moja doło!

Ujmę w dłoń młot najemnego nędzarza. Na długim łańcuchu leż a w wiadrze beznadziei spuszcze się, górnik samotny, w sztolnię czarną, w rozwartą szyb przepaści. Pójdę korytarzami w kamieniu niedoli kutymi.

U boku broni żadnej. Na głowie szyszak pogardy. Zza ramion skrzydła pośmiewiska szeszczą. Na kościach nic, jeno strzępy poszarpanych łachmanów przepychu ducha.

Nic, jeno w ręce młot, a w oczach płomień.

Nic, jeno w piersiach – samotnego serca łoskot głuchy.

Pójdę, zła moja doło, do końca.

Zajrzę w komorę tajemną.

Porwę w dłoń wyschlą, w dłoń oszalałą stylisko młota i będę w czarną ścianę tajemnej komory dzień i noc kuł.

Albowiem w czarnej ścianie ja sam, zła moja doło, wrośnięty w kamień leżę.

Będę bił niestrudzenie, aż rozwarte oczy wykuję, aż obuchem zwalę w puste piersi kamienne.

Uderzę samego siebie oczyma w martwe oczy i konającą dłonią pochwycę puste kamienne piersi.

## VIII

Słyszysz nad sobą znajomy głos:

– Udały...

Zadrżał w sobie rzekomo ziemia, kiedy ma ogień z głębin wyrzucić, zakipiał jako morze od wichru. Głos... Podniesie oczy.

Nad nim Mściw z puszczy. Twarz Mściwa mądra, zimna, posępna. Rzecze:

– Przychodzę cię nawiedzić, Udały Walgierzu.

– Witaj, gościu, co godność moją pamiętasz.

– Bogowie z tobą!

– Iz tobą, gościu.

– W złą cię nawiedzam doli.

– W istocie, jestem ubogi, gdyż odwróciły się losy moje. Ale siądź, gościu, i spocznij w dziedzinie mojej.

– Nie twoja to już, bracie, dziedzina.

– Czyjaż, o bracie?

– Mojego i twego pana, Wiślimierzowa. Zapadł w milczenie Walgierz Udały. Pochylił głowę, zamknął powieki. Zda się gościowi, że więzień śpi. Czas mija.

Rzecze Mściw:

– Nadaremnie, nadaremnie trwasz w uporze.

– Trwam.

– Jakież tve życie!

– Żyję.

– Zapomnij, przyjacielu, o tym, co nigdy już, przenigdy nie wróci.

– Jużem, przyjacielu, o tobie zapomniał i twoje imię już nigdy, przenigdy na wargi moje nie wróci.

– Harda twa mowa.

– Harda jest mowa kajdaniarzy.

– Ta to hardość bezrozumna mocno cię trzyma w skoblach i klubach.

– Ciebie by pęta czterokrotnie mocniejsze nie utrzymały, giermku Wiślimierzowy.

– Słuchaj mię! Potężny jest Wiślimierz. Naszedł przez sługi swe i włodarze dziedzictwo moje w borach. Otoczył tyn mój tynem straszliwym zbroić. Ile w tynie słupów, tyle chłopów przepotężnych wokoło postawił. A w jednej ręce sprawca ich miał kajdany z żelaza, w drugiej dary ze złota, twójego, bracie, skarbu ozdoby. Więc mi rozum męski nakazał przyjąć dary, uchylić czoła. Cóżem miał czynić, powiedz sam?

– Jużes, zdrajco, powiedział.

Odszedł Mściw.

Snuje samotnik własną myśl, tkanę pajęczą. Spływa na myśli swej w jaskinię wewnętrznej ciemności jak pajak na nici swej:

„Ach, cóż jest czyn?

Jakże nędzny jest czyn!

Czyn jest nikczemny, czyn jest dostępny dla draba i zbira, któremu sprawca drogę i cel wskazuje.

Król polski niewyciężony, którego cesarz udusić w żelaznych rękach nie może, zląkł się boga biskupa. A biskup słaby był jak gąsienica w lipcu, jak mucha na jesieni.

Czegóż się zląkł przepotężny? Chudej ręki bezsilnej, gdy się dźwignęła, oczu łzami zasłanionych, gdy wejrzały...”

Snuje więzień wątpliwość swoją:

„Straszny jest widok cierpienia. Niewyciężoną jest zemsta krwi przelanej. Łamie krzywdą miecz i trzaska w drzazgi puklerz. Boi się Wiślimierz moich bezsilnych rąk, lęka się mojego jęku nocnego, drży, kiedy wzdygam.”

## IX

Wolno z wysokości wierzchnicy zstępuje Cudna. Sama jedna po stopniach idzie. Skierowała ciche kroki w więzienny kąt. Senne, jedwabne słysząc stąpanie, łagodne jak szelest pajęczej, szkarłatnej pawłoki, co ciało jej królewskie przesłania. Oczy żony wyniosłe, brwi zwiedzione, na ustach nie masz uśmiechu. Spojrzała w oczy nędzarza. Słowo słysząc:

– Łaskę przynoszę.

A gdy ów milczy, groźne pada ostrzeżenie:

– Jeśli będziesz milczał, odejdę. A odejdę na zawsze. Proś mię, a może łaskę uproszoną zleję na czoło twoje.

Dusi się rycerz błotem słów, szlocha w sobie, tarza się w barłogu hańby. Aż, przewyciężony od długiej nędzy, wymówi:

– Łaski!

– Masz zniżyć głowę do stóp. Na znak.

– Zniżę głowę.

– Wyrzeczysz się przeminionej sławy i snu o sławie. Spojrzał w nią Walgierz krwawymi oczyma. We wzroku jego na nowo kiścienie ze źmij, w zimnym uśmiechu strzała zatruta ciemierem.

– Cóż mi dasz – pyta – za przeminioną sławę moją? Za co kupisz mój ostatni o niej sen?

– Będiesz spuszczonej z łańcucha.

– Będę spuszczonej...

– Rozwidnią się nad tobą dni szczęśliwe: pójdziesz za kute drzwi bez straży w ogród wewnętrzny.

Pójdziesz sam jeden w przechadzki chłodne, obrosłe krzewem kaliny, któreś rękoma dla mnie sadił. Wspomnisz tam dzieje naszej miłości... Spojrzysz w ogromne niebo świętej Pogody, w puste, szerokie, usłane chmurami, zobaczysz, jak się na krajach ziemi opiera. Będą nad tobą korony drzew... Posłyszysz, jak szeleszczą dostaje trawy w samotni twego ogrodu, gdy go nawiedza cichy wiatr i ciepły deszcz... —

Chichocze Walgierz, śmieje się głucho:

– Posłyszę, jak szeleszczą...

– Straż cię w okowach powiedzie na basztę zamku. Z przeziorów między belkami i z wdzierów dachowych ujrzysz głuche, zadumane bory po górach, święte buki po szczytach i szare daleko grzebienie skalnych osypisk. Spojrzysz we Wisłę kochaną, jak spomiędzy lasów, srebrnobiała, kręgiem, półkolem wypływa, jak się u skał falisto zatacza i cicho w puszczy ginie zielonej...

– Cóż ci mam dać za jej widok?

– Oddasz mi, władczyni swej, i Wiślimierzowi, panu swojemu, pokłon powinny. Gdy każemy, pójdziesz jak wierny sługa i jako włodarz w orszaku. Będiesz u stołu pańskiego obficie jadł i będziesz tęgie wino pił, ile wola...

Duma Walgierz głęboko. Chwieje się jego głowa tam i sam.

– Przysięgę złożysz na wieczny czas za siebie i za syna, gdybyś go miał z poddanki naszej. A będziesz w poczcie sług jeden z najpierwszych. Przed Mściwem z puszczy staniesz i krok trzymać będziesz w orszaku. Ścisła Walgierz głowę swą żelazem oków. – Proporzec pański



poniesiesz i miecz potrzy masz. Strzemię podasz wsiadającemu na koń. I zstąpi na cię łaska pańska. Niejeden dar cię spotka. Złożysz skarb z darów i z pracy swej, z łupów na wojnie uciulasz mienie. Puści ci wtedy pan osiedle w boru. Będziesz granicy jego strzegł na wzór Mściwa. Jam to dla ciebie uczyniła, ja, Cudna, którą kochałeś i jeszcze w skrytości kochasz. Spojrzyj na mnie dawnymi oczyma, którem ongi miłowała. Walgierzu, Walgierzu!

Dla ciebie to uczyniłam, przez pamięć twojej miłości. Wypełnij wszystko, com rozkazała.

Czy spełnisz wszystko pod przysięgą? – Przytakuje Walgierz głową strzaskaną od nie-szczęścia, a startą i zdeptaną od niedoli.

Mamroce, sepleni, śmieje się, jąka. Szlocha:

– O duszo moja, duszo moja... Spełnię wszystko, coś rozkazała. Wszystko spełnię pod przysięgą...

## X

Przyszła Mściw z puszczy dla odebrania od poddanego ślubu pokory. A gdy się zniżył i zagiął obcęg pod spoidła śrub i gdy miał pierwsze rozłamać ogniwa, ujrzał, że oczy Walgie-rza nie widzą, a z gardła bucha szyderczy śmiech. Ciało leżało nieruchomo, wyciągnięte w żelazach, jak gdyby na miękkim łożu. A z warg się zrywał śmiech niegodziwy, śmiech bez-silny.

Zawołał Mściw:

– Wstawaj z barłogu.

– Nie wstanę, sługo!

– Pójdiesz ze mną w ogród zamkowy.

– Nie pójdę, sługo!

– Szalony, cóż zamierzasz?

– Jeszcze, sługo, nie przyszła godzina moja.

– Zgnijesz w barłogu!

– Jeszcze nie przyszła godzina twoja. Jeszczem się, widzisz, siłami straszliwymi nie podkopał pod samego siebie i jeszczem samego siebie z moich kamiennych ramion, z ramion nieżywych i bardzo zgarbionych, nie zwałił.

– Cóż myślisz czynić, obłąkany!

– Będę, sługo, płakał krwawymi łzami dopóty, aż łzy moje z martwego kamienia wykapią ducha wiecznego.

– A więc – przepadnij!

Cisnął Mściw na zuchwalca gniewny błysk oka i gniewnym znakiem ręki skazał go na zapomnienie.

Więc zapomnieli o nim na śmierć ludzie ziemi. Zapomniał o nim potężny pan – i Cudna żona.

Wzgardzili jego imieniem wygasłym włodarze, męże wojenni, czeladź, żołnierze.

Zapomniało o nim sumienie gminnego ludu i zapomniała skrzydlata pieśń rycerzy po ostrych zamkach – i zmowa nocna – i wieść szeptana w zaułkach wsi – podanie ślepe a głuche – i baśń daleka, baśń ostatnia, baśń wędrownica, kurzem zasuta dróg...

## XI

Wlecze się długość nocy.

Trwa cisza. Świerszcz jeno, towarzysz jedyny przeklętej doli, niewidzialny świadek bezsennych nocy, skrzypieniem mierzy czas.

Płyną przez ciemność myśli leniwe, ogłuchłe, z wygnitymi oczami. Ponad jeziorem wiecznego rozczarowania wloką się długim orszakiem. Spływa z warg nadaremne westchnienie. Toczy się jęk w dół bez dna.

Obmierzło już szyderstwo, wstręt budzą łyzy.

Ostatek wielebnego męstwa, ostatek pracy...

Kruszy się i sypie w proch kamień ducha.

A za kratami głucha noc.

A za kratami wzdycha wiatr.

Świst-Poświst do krat przyleciał... Westchnął... Przeszumiał...

– Świstu-Poświstu... – wzywa ku niemu Walgierz Udały... – Och, wietrze, wietrze!...

Och, wietrze wiosenny, wonny!

Już na mnie przyszedł czas. Zanieś, wietrze swobodny, królowi polskiemu żegnanie moje. Powiej mu w twarz rozgorzałą. Na skrzydła weź żegnanie moje i na stanicę rzuć... Niechaj zaszumi wielka chorągiew nad dumającą głową królową... —

Słyszy Walgierz w nocnym milczeniu szelest kroku. Gniew nim pomiata, że mu ostatni pogwar duszy roztrąca zbir.

Patrzą w mrok z nienawiścią kocie więźnia źrenice, oczy skąpe i podejrzliwe. Badawcze ucho chwyta

szept:

– Walgierzu...

Gnuśnie milczy niewolnik. Śmieje się w duszy z szeptu nocnego, czyjkolwiek jest.

– Rycerzu... – pozywa głos.

Milczy kajdaniarz. Przebiegła jego mądrość jak niewidzialny szpieg obchodzi wkoło szept, a opasuje go nićmi obojętnego badania.

– Książę!

Ocknął się w piersiach szloch dawny-przedawny.

– Wodzu!

Omdlałe serce wzdycha w nocy:

– A choćbyś była złudzeniem ciemności, witaj, maro, co mię pozdrawiasz...

– Piękny!

– Ktoś jest?

– Poprzysiąż mi wiarę wieczną, miłość wieczną, a ja w zamian kuny twoje rozłamię.

Szeptane, zimne, przemądrzałe słowo:

– Rozerwij kuny, bym ci uwierzył.

– Dam ci w rękę twój własny miecz.

– Ktośkolwiek jest – daj koncerz!

– Poprzysiąż mi wiarę wieczną, miłość wieczną.

– Ktośkolwiek jest, poprzysięgam ci wiarę wieczną,  
jeno mię puść.

– Twarz moja jest potworna, a ciało krzywe.

– Gdybyś była potworna stokroć bardziej, niż jesteś, przysięgam ci wiarę wieczną, miłość  
wieczną – jeno  
mię puść.

– Jestem straszna i bardzo stara.

– Pokocham cię, jeno mię puść.

– Jam to jest Wiślimierzowa rodzona siostrzyca. Imię me Zdrada.

– Piękne jest imię twoje, kochanko Zdrado. Obejmę cię uściskiem – jeno mię puść.

– Jeśli mię weźmiesz za żonę, tym oto dłutem i obcęgami, które Mściw piastuje, odkręcę  
śruby, rozłamię ogniwa kuny.

– Żono ma wieczna, odkręc śruby zardzewiałe. Oto me ręce pragnące uścisku...

– Przysięgaj na miecz rycerski, na pawęż...

– Przysięgam na miecz rycerski, na pawęż i na pas, że cię na wieki poślubię, o Zdrado, je-  
dyna, coś mnie w ciemnicy nie zapomniała...

Wtedy odemknie siostra Zdrada kluczem ze skarbcza wykradzionym zamki klubów, a za-  
rdzewiałe mutry odkręci, spojenia zaklepane rozłamie.

Ręka Walgierza w przestworzu błądzi...

Popręg żelazny spod ramion spadł jak pas niciany. Z gardzieli kuna odeszła jak miękki  
kołnierz. Z nóg się zsuwają żelaza...

Namacał rycerz w ciemności kurczem miłosnym głowicę wielkiego miecza, co go ze skar-  
bu wykrał kochanka Zdrada.

Na głowę wdziewa swój własny, olbrzymi szłom. Okrywa w nocy pośpieszną dłonią piersi  
blachami. Goleń opasze plechą. Wdział rękawice żelazne. Wstał z ziemi. Westchnął.

W barach się olbrzymich przeciągnął. Szeptem ku niemu miłosne słowa kochanka. Pochwy-  
cił rycerz prawicą gardziel siostrzycy Wiślimierzowej, Zdrady.

Zduślił ją na śmierć, zanim krzyk wydała, zanim wydała dech. Rzucił targaną od kurców  
śmiertelnych w swe legowisko, w łożę boleści wysiedziane w kamieniu – z chichotem twar-  
dym zwycięzcy.

Już stąd odejdzie!

Krok jego dźwięczy i trzaska, kiedy w milczeniu idzie, olbrzymi, przez mrok w łożnicę  
małżonki swojej.

Rozdarł kotarę.

Zerwał lampę ze ściany i w oczy śpiącym przyświeca.

Krzyk jego lwi:

– Ocknij się, Cudna, duszo moja! Porwą się śpiący. Szept białych warg... Dygocą bezsilne  
ręce. Patrzą w przybysza skostniałe oczy.

– Cóż byś powiedział, władco na Tyńcu, gdyby cię koniądz Walgierz ze snu twardego  
przyszedł budzić? Wrócił już Udały Walgierz z wyprawy dalekiej. Obszedł już kroki praco-  
witymi świat. Był daleko – och, daleko! Był głęboko – och, głęboko! Widział już oczyma  
własnymi wszystko, na własne uszy wszystko słyszał.

Wstań, bracie! —

Uniósł znad czoła ciężkie szłomu żelaza i straszne jamy oczu odsłonił.

Śmiech jego – ryk tygrysa.

Podźwignął miecz i od strasznego zamachu rozdarł, rozszarpał drgające ciała.

Jak strzelenie piorunu rozlega się jego krzyk po wnętrzach zamku, leci w sale, krużganki.  
Ciosy miecza budzą zdrajców na chwilę, by im śmierci błyskanie pokazać.

Pada przed nim gawiedź na twarz.

A inni rozewrą na ścieżaj drzwi, a inni cześć mu wyją, a inni za nim kroczą jako radosny hufiec poddanych.

Idzie Walgierz wielkimi kroki przed siebie.

Spadł aż do drzwi podziemia.

Wyrwał je z zawias.

Tam oto, w lochu mogilnym, brat Wydrzyoko gnije. Oczy jego jak próchno w ciemności świecą.

Rozerwał Walgierz mieczem więzy. Chwycił współbrata w ramiona.

Szepcą, szlochają...

Wstępują dwaj po stopniach zalanych krwią Idą w krużganki zasłane trupami, w dziedzińce wiślańskiego zamczyska, w sienie, w bramy, przez mosty w świat...

## XII

Na wzgórzu, skąd widać zgliszcza tynieckiego zamczyska, stał Walgierz Udały. Mocny, bojowy koń spienioną żuchwą gryzł wędzidło, a ziemię pod sobą kopytem niecierpliwie bił.

Wiatr wzdymał i szarpał zwisła grzywę rumaka i wielobarwne pióra rozwiewał bujnie na przyłbicy książęcej. Tuż przy koniędzu siedział w siodle Wydrzyoko. Za nim orszak bojowników zatoczył półkole.

Milczą rycerze, szanują wodza dumanie głębokie.

Głęboko duma Walgierz patrząc w dymy skłębione,  
w słupy iskier dalekie.

– Pójdziemy teraz, wiciądzu – powiada Wydrzyoko – na nowy bój, na żywot nowy. Nowe w puszczy na wysokościach wyrąbiem toporem polany. Nowe osiedla założym. Nowe gniazda dla ludu gminnego. Nowe zamki strzeliste wzniesiemy ponad cyplami stromych skał.

– Tak, bracie, nowe zamki!

– Uderzymy w ziemię nieżywą, w ziemię jałową, w ziemię płoną ostrzem narzędzi z żelaza i dobędziemy z jej łona śpiew rozkochanych niewiast, gwar dzieci i wielki hymn mężów schylonych nad zagonami złotej pszenicy i żyta, co się srebrzy pod niebem. Od naszych czynów, wodzu, poczną się nowe dzieje! Z naszych ramion zstąpi na ziemię pokolenie potężne i piękne. A ono będzie twórcą pokoleń, których pochod nieskończony iść będzie w wieczność pod niebem świętej Pogody.

– Tak, bracie mój!

– A tyś to sprawił. Wielki zamach twojego miecza czcić będą w pieśni nigdy nie umierającej pokolenia szczęśliwe, kiedy się po pracy zejda na polanach wiecowych. Jesteś wielki jako ta nieobeszła ziemia, wysoki jak Tatry-góry.

Cicho, cicho ku zgliszczom zaśmiał się Walgierz Udały. Jego ręka żelazna szarpnęła wodze konia. Miecz w strzemieniu trzasnął.

Zadumane oczy przebodły dymy i zduszone płomienie. Wyciągnął dłoń:

– Tam moja wielkość... – wyrzeczę spomiędzy głębokiego śmiechu. – Do słupa moja wielkość przykuta. Nowe zamki, jakoby gniazda orłowe, wydzwignę na szczyty gór, nowe sioła rozsądę po puszczy jak ule pszczół, pszeniczne i żytnie ziarno rozsieję po stokach, gdzie rośnie jałowiec, po nizinach, kędy kwitną kaliny...

Lecz już wielkości nie zaznam.

Wielkość moja do słupa żelaznego przykuta, w tamtych się dymach ogniem przepala. —

– Pójdziemy, wiciądzu, polskiego szukać króla!

– W jakiej też stronie, w którym też boru, z jakimi wrogami wojuje wielki król? Gdzie słyhać krzyk skrwawionych pułków, pieśń bojową, wielki wrzask trąb? Z której też strony nadleci echo?

Pójdziemy, bracie, w ciemną głąsę świętej góry i bogi krzykiem zwołamy.

Nad przyszłością pokoleń ich wieczną osadzimy stolicę. Tam to w kontynie wieszczowej, starej, pod cieniem buków, nadleci ku nam Poświst-wiatr. Nadleci ku nam z końca świata, echo przyniesie, kędy w lasach polski król...

Powiem królowi prawdę głęboką, prawdę, co się tam oto w ogniu pali.

Otworzę królowi oczy jasne... Pokażę królowi duszę kamienną...



## DUMA O HETMANIE

Synowi swemu Adamowi  
przypisuje ten utwór  
autor

### PROLOG

W śniadym dymie i w chmurach ponad morzem wyrosłych jesienne słońce połyska.  
W gęstej kurzawie, wyrzuconej ze stepu stratowanego przez kopyta tatarskich koni, mdłe światło gore.  
Niezliczona ćma kruków, lecąca niby skrzydła czarnego anioła, nappełniła szerokość niebieską i nad dzikim krąży polem.  
Głuchy tętent oddaje ziemia sucha.  
Daleki zgiełk niosą wiatry.  
Prawica najjaśniejszego, najwielmożniejszego Osmana, Mekki i Medyny cesarza, siedem monarchii i cztery kąty świata trzymająca, podniosła chorągiew w stronach dalekich.  
Wrzask trąby zagrział nad morzem, między ładami. Ciemnonlice, posepnookie ludy rzuciły Eufrates, Nil, Dunaj. Nad Archipelagu zielone morze, między Tracją i Azji wybrzeżem, ponad Cyklady, Sporady, Salaminę, Eubeę i Samotrace padło hasło.  
Z Kandii, Lemnos, Samos, Chios i Rodos uderzyli we wiosła galer greccy żeglarze, ku Bosforu dążąc cieśninie.  
Z czarnej Kenii, znad kwiecistych grzęd Egiptu wyruszył Murzyn, fellach i Kopt.  
Ze epickiej, skalistej pustyni, z suchych wąwozów puszczy libijskiej ciemny Arab pomyka.  
Zza nagich gór, z łożysk wichru, spod bezchmurnego nieba, z okręgów suszy wiecznie płonącej wybiegł Beduin, szeroko-białym osłoniony burnusem.  
Ze stron, których deszcz nie nawiedza, brnie pod barwistym ciężarem garbaty wielbłąd, porożysty bawół i pracowity muł.  
Seciny wołów ciągną szczękającą armatę.  
Niedościgły rumak pustyni, co cienia drzew nie widuje, depce pachnący mrok w bukowych lasach serbskiej płaniny, pławi się w zimnych nurtach Dunaju, rozwiera nozdrza, wciągając jesienny wiatr zza Dniestru, i w miękkich łęgach Prutu lękliwe stawia kopyto.  
Lśni nad pochodem plemion pyłem okrytych połysk złotego proporca.  
Równymi korpusy dążą upierzone odzagi janczarów. Błyska grot włóczni Persa, Kurda i Ormianina.  
Albańczyk, Bułgar, Bośniak i Serb ściska w mściwej dłoni rusznicę, wecuje po nocy jatan, handżar gotuje do ciosu.



Szeptać modlitwę ku czci Allacha, zaprzysięga ku większej jego chwale przesywać strzałą serca dzieci, z dymem puszczać ruskie i polskie wsie i do podwalin wyłamywać zamki po górach.

Sto kilkadziesiąt tysięcy cięciw czeka na strzałę.

Pożąda krwi zakrzywiona szabla, dzeryd-spisa, wielka włócznia i hak.

W pustce nocnej zanosi się daleko melodia dzika.

Śmieje się w dal surma – kotły takt biją – żądę mordu podjudza tołumbas, brzękadło, żele i flet.

Nastąpił dzień, gdy zsiadły się zgęstniałe chmury. Na paśmie gór, co od północy, zachodu i południa okrążają błonia cecorskie, zadymił się obóz turecki. Po prawej stronie mogiły odwiecznej stanął buńczuk wezyra Iskiender-paszy, rządcy Sylistrii i serdara Mołdawii.

Przednią strażą jazdy sułtańskiej dowodzi Chyzyr-pasza stary, Sarimsak, łakomca na czo-snek.

Na prawym skrzydle zatknął znak Jussuf-pasza, Rumelii bejlerbej – Hussein-pasza – Muhammed, zwany Teriaki, opiumożerca, władca sandżaku Nikopolisu.

Na lewym skrzydle, po zboczach gór panujących nad Dęli doliną, zawisła sześćdziesiąt-tysięczna nawałnica rwaczów tatarskich, której rozkaz wydaje chan Krymu, Dżanibeg-Giraj.

Brat przy nim Kałgaj-sułtan, namiestnik chański. Diwlet-Giraj, potomek szczepu Dżyngis-chana – książę przy nim Nebrie-Giraj z plemienia Mansurogli i – straszliwy Kantemir-mirza, Krwawe Żelazo, do słonia wściekłego przyrównywany.

Dwa olbrzymie ramiona we sto kilkadziesiąt tysięcy żołnierza popod złowieszczymi skrzydłami kruków rozwarły się do uścisku.

Przeciw nim polskiego rycerstwa niespełna siedem tysięcy.

W zaszczytce dawnych, tak dwudziestopięcioletnich szańców i przekopów Zamoyskiego hetmana zaczajone błyszczą chorągwie.

Stanisław Koniecpolski, hetman polny, czyni w obozie rząd dzienny i dysponuje szyk w polu.

On ma pod sobą skrzydło prawe.

Na czele wszystkiej siły skrzydła lewego trzyma dowództwa buzdygan Samuel książę Koreckie, Pogoń odwieczną na tarczy noszący – w sercu niezgasłą żądę tronu, Heremia Mohiły, gospodarów multańskich zięć. Panie nieustraszone – ów, co bez Rzeczypospolitej zezwolenia własną swą, korecką wojnę ottomańskiej potędze wydawał – nie polskim, lecz Michała Wiszniowieckim, Stefana Potockim, Jana Przerębskim hufcom hetmanił – dziesiątkami tysięcy trupa muzułmańskiego we dwudziestu bataliach zaścielał wołoskie pola – hospodara Aleksandrzyka, Domny Halzbiety Mohiłowej wdowy synaczka, sadzał na tron – pojmany w boju konał nieustraszenie w lochu stambulskim – junacko uchodził przez Raguzę, Sycylię, Neapol, Rzym...

Zakuty w żelazo, olbrzymi – czarne dziwowisko – piorun turecki – wywlekał znowu miecz na półksiężyc.

Nad kornetami niemieckiej rajtarii przewodzi Herman Denhof młodociany.

Roty piesze cudzoziemskie sprawia dziki, niesforny inflancki krzczot-białozor, Wolmar Farensbach, wielkiego Jerzego, puszkarczów syn.

Wyszły na odwagę wojenną siły królewiał.

Stefan Chmielecki – postrach tatarski – z synami:

Adamem i Łukaszem prowadził ukraińnych pancernego znaku osiemset towarzysza.

Walenty Aleksander Kalinowski, kamieniecki starosta, wiódł cztery pełne chorągwie.

Mikołaj z Komarowa Struś halicki – Moskwy najezdnic i krwiożerca – stanął we trzysta kopij.

Mądry w radzie, mężny w boju, wytrwały w niedoli Marcin Kazanowski, podolski wojewoda, cztery husarskie chorągwie sprawia.

W obleczeniu gorąco złożonych blach harcuje przed swoimi wojewodzie braclawski, Mikołaj Potocki młody.

Janusz ze Sniatyna Tyszkiewicz czterysta szabel ma pod sobą.

Staną w strzemionach sławni rotmistrze. Jest Andrzej Karwicki i Jan Wąsowicz, Mikołaj Sienieński i Mikołaj Maliński – ponury, milczący, zły Odrzywolski Jan – siłacz nadobny Aleksander Morsztyn, Aleksander Cetner i Jan Malecki.

Z prawej ręki, daleko za wałami ponad rzeką Żyżyją i błotnymi szuwarek położył się obozowiskiem, a straż na prawo i na lewo wysunął Walenty Rogawski z trzynastoma stokonnymi rotami lisowskich strażników.

Żelaza na nich nie ujrzyć, chyba pod końskimi kopytami, u lewego boku i na ramieniu. Wysokie z ich łbów golonych zwisają czapki, płaszcze opięte z szerokim kołnierzem chronią od dżdżu.

Ciasne na nich, wielobarwne, na ziemiach dalekich wdziewane ubiory, juchtowe, mocno podkute buty.

Pokładając się na krótkim siodle puszczają w jaskółczy harc zwinne, lotne i ręce swe konie. A gdy raz czwalać poczną, ocieka krwią krzywa szabla, dzwoni ciężka łuka, dymi się długa rusznica.

Twarze ich zgorzałe od wichru, co je chłostał między Lodowatym i Kaspijskim Morzem, między uralskimi i alpejskimi lodami zwałami w tysiącu bojów prochem odymione, wychudłe w pochodach przez Węgry, Czechy, Niemce, Lotaryngię, Szampanię, aż po Paryż.

W tyle obozu nad rzeką stoją kosze kozackie wolontariuszów zaporoskich młodego Chmielniczenki Bohdana. A Bohdan Chmielniczenko patrzy dala, zadumany, w panów polskich zbroje, w ciurów obóz zgiełkliwy... Połyskują jego mołojców arkabuzy, guldynki i toruńskie muszkiety, janczarki w polach nadmorskich zdobyte, bandolety i nośne samopały. Dzwonią w jego obozie śpiewne bałabajki. Tęsknią do lotu strzały w sajdaku. Równie z czołem pancernego szyku z prawej i lewej strony czyhają zasłony armaty złożonej z falkonetów, z hakownic, śmigownic i wozów.

Miała iść w bój z taborami wszystka armata. W każdym taborze pięćdziesiąt wozów we cztery rzędy. Między rzędami kapitana Trzebuchowskiego piechota po kilkaset żołnierza i draby pod kapitanem Almady. W czole każdego taboru, w tyle i z boków od pola po cztery działa. Cały regiment armaty dla strychowania pola boju miał pod sprawą zimny, sumienny a prawy Teofil Szemberg.

W głębi obozu tłoczyły się zbiorowiska ciurów, wielka liczba czeladzi, pachółków pańskich, hajductwa strzegącego luźnych i juczych kani, drabów od juków i kolas, służby husarskich chorągwi i włóczędów idących za wojną.

W środku wojska, między synem Janem, hrubieszowskim starostą, synowcem Łukaszem kałuskim a Aleksandrem Bałabanem winnickim, siostrzeńcem z żółkiewskiej krwi – orłem mogiłek, Rzeczypospolitej wojen i rada – Stefana króla żołnierz – hetman i kanclerz, sławy polskiej piastun, na oczu wszystkich w wysokiej cecorskiej krzepi... Kołpak na nim ciasny z czaplím pierzem, znacznie wydanym.

Wiatr pierze muska.

Lamparcia zwisa skóra z twardych karwaszów złocących ramiona. Nieruchoma buława – znak chwały polskiej, cnoty męskiej, przelanej od wieków krwi – na łęku siodła spoczywa.

Grzeje się koń i niepokoi pod kanafacowym czaprakiem, pod siodłem srebrnostrzemiennym, w złoto oprawnym, drogimi wysadzonym kamieniami.

Wyciąga gibką szyję hetmański koń, co po dziedzińcu kniazia Groźnego Iwana, po Łobnem miejscu Borysa, u wrót dwuramienną cerkwi Błażennego Wasyla srebrną dzwonił podkówną. Czujnymi chrapy wciąga wiatr z obozowisk Skinderbaszynyh lecący...

Dostojne czoło hetmańskie, ozdoba rasy, szedziwymi oplecione promieńmi, na załogę bezpieczeństwa ojczyzny z granic jej wyniesione, duma nad sprawą. Majestat i piękno twarzy tej, skryte w niej sumienie szlacheckiego Polski gminu – władza tłumem.

Uśmiech, żaloszna mądrość, szydzący i miłoshciwy na ustach siadł i nie schodzi.

Czujne oczu spojrzeńie w dal poleciało ku olbrzymiemu wrogowi – i nie wraca, jakoby ów podjazd szalony Odrzywolskiego Jana, co pocwałował orłoszumiający skrzydłami w paszczkę nieprzyjacielską – i nie wraca.

Powiał z dalekich koszów Gałgi, z czat Kantemira gwar, zgiełku echo, poryk bydła, rzenie koni.

Wzmógł się uśmiech od głębokiej hetmańskiej dumy.

Ściągnie się w przestrzeń biała dłoń.

Pomyka z oczu przymrużonych w dal wyzwanie:

„Nie ciebie się boję – nie ciebie się boję, o wrogu! Nie ciebie się boję, zewnętrzna potęgo, nawalności janczarska, co mię strasznyi chcesz ogarnąć skrzydłami – góry kamienne na piersi me dźwigasz i kraczesz nad sercem złowieszczycy wron chmurą. Nie wobec ciebie trwoży się serce moje, gdy zstępujesz nieprzejrzany obłokiem na tę garsteczkę szlacheckiej krwi – gdy błyskasz włócznią setek tysięcy i Goliata wywlekasz miecz.

Dawidzie mój!...”

Zwróciły się oczy hetmańskie na zastęp siedmiotysięczny i szły po chorągwiach kolejną, kolejną, kolejną. Patrzą w demeszkowane szyszaki pancernych Korony, na kopije lasem stojące z powiewnym jak welon proporcem i grotem błyszczącym – na pancerze ruskich województw srebrem nabijane i złotem – na litewskich petyhorców poczty przybrane w brzeszczotowe koszule i gięte koleczugi. Obejmują głowy misiurkami okryte, hartują miecze u boku szerokie i długie, utwierdzają drzewa kopii olbrzymiej, przywiązane do łokcia sznurem z jedwabiu.

W pośrodku między taborami, na czele troistym szykiem w półkole, we sto dwadzieścia koni każda, husarskie czatują chorągwie hetmanów.

Rozkosz oczu rycerskich, pociecha ducha twardego!

Tarcze z rodowymi lśnią znaki.

Rycerze i konie obleczeni w kirys. U boku ich – koncerze. Pod prawą nogą u siodła – rapier do ścinania wroga dziewięćłokciową zwałonego na ziemię kopiją. Na łęku młot sześciofuntowy do miażdżenia szyszaków albo Duma...

Berdysz dwubrody do płatania na poły pancerza. Skóry lampartów i lwów, czarnych albo białych niedźwiedzi i wilków na barach. Z przyłbic strzelają czaple kity, pióra żurawie, indyccze i bocianie. Zaramienne skrzydła w kunsztownej oprawie zrosły się w las, w puszcę młodą, po której strzelistych piórach sława szeleszcze. Długie, ze złotymi krzyżami, żółte i białe, czerwone i błękitne wieją proporce. Hetmański na czele znak, drzewo z wprawionym w nie skrzydłem rozpostartym orłowym.

Przed chorągwiami rotmistrze. Na czele – pułkownicy. Przy znakach pancernych trębacze z surmą przy ustach na sygnał czekają. W pogotowiu pałki trzyma bębenista.

Ponad nimi wszystkimi, jako żaloszny polski biały ptak, polata myśl hetmańska, wszystko nieulekłym rozsądząca baczeniem:

„Ciebie się nie tylko boję, lecz lękam, o wolna, o kresu nie znająca duszo polska!

Przed tobą drzę, ty niełacna, krnąbrna, sama siebie szaleństwem chłoshcząca, ty samej sobie nie znana i nikomu niewiadoma...

Widziałem cię w krwawych bitwach.

Gdyśmy się siekli w pałasze z Kozaki i wojewodą Michałem, pod Rewlem z Karolusem, pod Toropcem z Moskiewskiego Tatary, u bram niezłomnego Połocka, pod tynami płonącymi Wielkich Łuk, we trzydziestu nogajskich zagonach, w inflanckich i multańskich potrzebach, w kłuszyńskich opłotkach i na wielkiej moskiewskiej drodze, gdyśmy w dziesięć tysięcy szli na kraj świata po Monomacha czapkę szafirową dla królewskiego polskiej skroni dziecięcia...

Widziałem cię w byczyńskiej opresji, gdy w Diabła Łańcuckiego kudłaty łeb przyszło cisnąć siekierą – i pod Guzowem, gdy po ramię i po kolana trzeba się było ubroczyć w rodzonej krwi...

Och, polskiego wyuzdania ducha, wrosły w serce, ojcowski, własny – a obcy, rodzimy – a wrogi!

Nie przed najeżdźcą drży moje serce, lecz przed wami, o sobiepany!

Każdy z osobna wódz, każdy król. Pan Jerzy Mniszek – król sobie, Wiszniowiecki – sobie, Sapieha – sobie, Rożyński – sobie, Samuel Tyszkiewicz i Mohiłowi zięciowie. Każdy zależy tylko od Boga i od swej woli. Z kim chce, z tym zawiera przymierze, z kim chce – prowadzi wojnę, i gdzie chce – szuka ojczyzny. Diabeł Stadnicki i Ludwik Poniatowski zdobywają zamki i dwory, palą wsie i łupią miasta w ojczyźnie. Krzysztof Zborowski własne państwo zborowskie zakłada, przeciwko Polsce zmawia się z Moskiewskim i Rakuszaninem. Samuel banita praktykuje Kozaki przeciw ojczyźnie. Zebrzydowski zgromadzi stotysięczną armię przeciwko panującemu królowi. Lisowski w kilka tysięcy urwanego od szubienicy człowieka rozbije ogromne pułki jedynowładców Północy pod Zamkiem Bielozierskim, u Wielkiej Soli, pod błotnistym Suzdałem, zdobędzie niezmierną krainę dla impostora Dymitra i Maryny. Oleś Zborowski Samuelów oświadczy, że Polski za ojczyznę mieć nie chce, jeśli król Zygmunt w jego sprawy, w jego zamki na moskiewskim budowane lodzie zechce zaglądać. Książę Koreckie we dwudziestu bitwach pogromi stotysięczne hordy na tym wołoskim palenisku, wiecznie krwią polską gaszonym.

A jeśli swawolnicy zięciowie prowadząc teścia hospodara na multański tron podpał pod całą Rzeczpospolitą wznicią – skoro lisowczycy, wspierając cesarza w zapasach z Bethlenem Gaborem, rozjuszą sultana do tyła, że ogniem wielkiej wojny w Polskę wybuchnie – kiedy przyjdzie wszystkiego odżałować, nieprzyjaciela odepchnąć stos, gołe granice zastawić od nawały – wtedy nie lżą!

Ze wszystkiej, z Najjaśniejszej Rzeczypospolitej nie znajdziesz, nie wyściskasz z kolan, nie wystoisz u drzwi przemożnych, nie wypiszesz tysiącem listów, nie wyżebrzesz przez rumor uniwersałów – siedmiu tysięcy żołnierza!

Gdyby nie syn, nie siostrzeniec, nie bratanek – gdyby nie koligaci spod Karpat podnóza, co na słowo najświętsze zakłęci skupią kilka rot w nagłym czasie i dla sąsiedzkiej wyjdą przyjaźni – iluz by ze mną było?

Darmo w gnuśnej próżni, wśród ziewania ducha, wpośród mów a szumnych odpowiedzi, w zimnym kole skomleć, gdzie w pośmiewisko obracają uniwersał – żeby Warneńczykową strzałę woli na cięciwę Stefana króla zuchwałej rady położyć – nie zasłaniać dziś od nawały nagich ścian kraju, bo tu u węglów śmierć się wałęsa i w wywalonych czeka drzwiach, lecz w nieprzyjaciela ślepie iść, najeżdzać go w jego kraju, skoro z legowisk swoich wyszedł, żeby przyćmić Europy oświatę i na karku polskich ludzi wolnych postawić nogę.

Lecz któż w płytke serce ludzi wolnych tchnie, żeby w sobie jedno uczcili Prawo, nim się związali, zbudzili wolę, wzniosłość i zachwyty wielki?

Jeśli nie skoczyć z tym zastępem sam na dwudziestu nieprzyjaciela, zarzucą w tył zniewagi – idąc na swą pijatykę – me główne imię, z niedbałą sarmacką pychą, z niewdzięczną polską fantazją, jako wylot kontusza. A jeśli skoczyć i przegrać, ukamienują obłudnym szlochom mą pamięć, unurzają moje imię wojenne w błocie obmowisk i jawnego oszczerstwa, cisną je w pomietle pospólnego sądu, w śmiechu swym bezrozumnym zagrzebią i przypną mi nad wiecznym mym hełmem kitę przekleństwa”.

Daleko w polach wzbity się pyłów obłoki. Wrzawa odległa... Tatarski nagły krzyk. Podjazd niósł bitwę. Z cicha wyszeptał kanclerski syn głuchą radę:

– Macte!

Mgła zasłoniła ojcowskie źrenice.

Wzmógł się hetman głębokim westchnieniem:

„Zestąp się i zrośnij w jedno, o rozszarpany polski duchu!  
Stań się Moc!”

Twardym spojrzeniem poruszył buzdygany wodzów. Dźwignął nagle buławę. Wielkim zamachem dał znak. Zawrzały larmo trąby. Uderzył bęben. Szczękną natychmiast zasłony wozów wraz z „kobyłami” armaty. Zadzwońią łańcuchy.

Drgnęły usarskie chorągwie kołem na czele stojące. Zakołysał się pancernych szyk za szykiem. Nim z łuku strzelić – olbrzymi nieprzyjaciół obłok wywinie się zza kurhanu, pędząc za ciasną polską kolumną podjazdu.

Tatarski wrzask rozjuszony kędyś na tyłach obozu zagłuszył strzały armaty Szemberga.

Runie z pędem niezłomnym w środkową nawałę turecką Chyzyra-paszy, z drzewem pod pachą, jasna broń kanclerzowej chorągwi. Wparł żeleźca w boki biegunów husarski polnego hetmana szyk. Kłęby dymiącej kurzawy zasłoniły pole. Wszystka nawałnica wielotysięcznego gminu nieprzyjaciół pędem uderzyła w pierś lecących z kopyta. Śmiga w bój, pałac z rusznic, lisowski pułk. Pokładli się jeźdźcy lisowscy na koniach, szable w ich ręku błyszczą. Srogi ich krzyk przeszył powietrze.

W dali, poza obozem, idą w śmiertelne z Tatarami zapasy kurzenie kozackie.

Z dzikim stękanem, rżąc boleśnie, runęły na się piersiami – lecące, rozhukane konie. Spięły się na zadach, stanęły dęba i wzajem się pyskami kąsają.

Nie masz w cieśni tej miejsca na złożenie gładką kopiją.

Bielma ślepiów w bielma zajrzały jakoby w otchłań śmierci. Wpiera się kolano w kolano. Brzeczot wprost w brzeczot strzela, kord praska w kord. Obuch gruchota przyłbice – jata-gan spodnim sztychem brzuch rozdziera – koncerz płata, jako szwy sukienne, stalone nity kolczugi, a żelazna rękawica wyrywa z olstra wrogiego pistolet albo dosięgnąwszy gardzieli wydusza z niej potężnym uściskiem ostatni dech.

Śmiga w nieulekłe twarze czarnych strzał zawieja.

Staje w sprawie i w bój idzie ruchoma grobla prawego taboru Drogonia, Lewikowskiego, Ochyja.

Grzmocą w twarz turecką spiżowe cielska Szemberga, pokotem trupów zaścielając cecorskie pole. Nieulekłym krokiem, pałac raz w raz z gwintowanych guldynek, z rusznic tarczowych i nośnych samopałów, postępują saboty kapitana Almady.

Opóźnił krok tabor lewy armatni.

Odsłonił czoło i bok wojska. Wstrzymał tylne szeregi.

Nie mają placu wolnego następujące chorągwie pancerne. Poczną, skokiem pole mijając, uderzać w tyły lewego taboru – odpychać go dalej a dalej...

Tak się lewe skrzydło bojowego rzędu odsłoni i zmiesza.

Uderza w tę lukę wróg.

Trzymają na piersiach nawalność usarscy rotmistrze.

Skręca się w miejscu jazda, wirem ogromnym zatacza, i wielkie koło włączniane obraca się w powodzi wroga.

Postrzegli zamieszanie wodzowie.

Samuel ksiązę Koreckie na czele swoich chorągwi posiłcznym hufcem przedrze się ku wojowisku.

Paruje do sprawy zgniecione szeregi. Dysponuje szyk stały.

Ujrzeli wrogowie i swojacy kadłub jego olbrzymi na koniu zakutym w stal, gdy w prawo i w lewo miotać się począł od ciosów wielkiego koncerza.

Nanośna stal przyłbicy, jak skrzywiony a rozwarto dziób sępa, zda się jadowicie kiwać truchło padające.

Oburącz wojen rąbie z ramienia. Sztychem błyskawicowym na wskroś przebija. Dzikie oczy w szczelinach maski gorejące gaszą pierwej żywoty, nim straszliwe ramię śmierć zada. Pot krwawy sączy się szparami żelaznych rękawic i ściska spod szyszaka. Głuche stękanie

rwie się z piersi okutej – ni to robotny pomruk drwała, co ścina pień odwiecznego buka, niepołoma dla halnych wichrów w tatrzańskie puszczy. Zmydlony koń, złotem od bezcennego rzędu migający, skacze susami w puste ulice ludzkiego przerażenia, rzy dziko, wykręcając się wokół na zadzie tanem bojowym w okrągłych porębach śmierci.

W prawym szyku Herman Denhof jak strzała wbił się w skrzydła janczarskie. W zagon spahisów się worał. Dwie chorągwie rajtarii, w łosie kurty zaszyte, wciosały się pod jego rozkazem i utkwily w czele wroga jak czekan nieugiętą ciśnięty prawicą. Z nie wyrwanymi z piersi strzałami, biały od uszłej krwi, a z obliczem, które już śmierć całuje i ramieniem otacza, idzie na wytrwaną do mety swej pułkownik młody. Krzyk jego śmiertelny, śmiech jego donośny nad zgiełkiem bitwy lata, umierającym waleta, mężnym pozdrowienie:

– Za pokochaną ojczyznę! My, którzy nie uchodzim!

Każdy rajtar walczący u boku dowódcy bije się z dwudziestoma wrogami. Ilekroć wódz poza siebie okiem ciśnie, widzi dziury w rzędach, zdychające rumaki, siodła bez jeźdźców i grzywy samopas pędzące w przezroczystym polu. A po sześciu godzinach boju, gdy ze dwustu towarzysza piętnastu zostanie w strzemionach, wyniosą wierne ręce żołnierskie spod kopyt tatarskich koni stratowaną, szaloną wodza głowęnkę...

Wspomniał Marcin Kazanowski – nigdy nie zgasłe serce – toropieckie pola, nocne z Markiem Sobieskim, Samuelem-banitą i walecznym z Żółkwie rycerzem wycieczki w tatarski kosz. Zda mu się, jakoby króla wielkoduha namiot jeszcze miał za sobą w obozie. Śni się dawny sen... Uderza jego chorągiew w szeregi tureckie, stokroć za szeregami występujące, jak gdyby katapulty miedziana głowica w niezłomny mur.

Klękają i o ziemię się walą konie jataganem zarżnięte. Rycerze ważą się naprzód i w tył od dziesiątków pieszego żołnierza zmożeni. Zepchnięci z łęku w ciżbie janczarskiej – ojczyźnie z przebitego serca oddają krew.

Spada z natarczywej ręki Jana Wąsowicza niepochwytny dla oka cios miecza w chłopcy z puszczy i z nad morza. W nie zakryte brzuchy, w czaszki osłonione jeno zwojami kaszmiru rąbie rota Aleksandra Cetnera. Idą nań ławą, która żelaza pancernych przebić nie może, uciec nie ma gdzie przed ciosami, więc przez jedwabne kaftany i wzorzyste szyte koszule ścinana wylatuje ze strzemion i pomostem się ściele. Zwartą idąc gromadą bierze wroga na sztych, rozbija i targa jego szeregi Wolmara Farensbacha piechota, od krwi pod kurty spływającej przemokła. Jęk nie dobitych ze śliskiej tam woła ziemi, gdy się włamują w nieprzejrzaną gęstwę. Puste tam pojeżdżają siodła i luźne strzemiona na grzbiecie zbestwionych rumelijskich ogierów.

Zwalił Turczyn krótkim czekaniem w naczelnik Morsztynowego konia i krwawy odszczep łba wyłupał.

Padł na piersi koń bojowy. Wyrwał Aleksander Morsztyn nogi ze strzemion ł spieszony, w zbroi kwitnącej od krwi, poszedł między sępie skrzydła, kity i czuby ich wodzów, między połyski jataganów. Rwą pióro jego szyszaka strzały niechybne, dzwoni w jego piersi dziryty rzucony, ale umyka przed nim miecz. Na groblach trupów, zwalonych w tym miejscu armatą Szemberga, staje rycerz samotny, kurhan tam zakłada swój...

Raz w raz dookoła każdej szczypty rycerskiej zatacza się półksiężyc burnusów, usiłując róg swój z rogiem złączyć a walczących zawrzeć w śmierci kolisku.

Polacy wyrąbują dziury w ciżbie zrastającej się półksiężycami rogami, otwierają drogę odwodu i cofają się z wolna ku szancom, żeby nie utonąć w nawale.

Z armatniego dymu wynurzają się tam i sam sienieńczycy. Janusza Tyszkiewicza towarzystwo, Strusiów pokruszony odłam... Zginęli zarąbani od poturczeńców ludzie mężni: Wrzeszcz, Kowalkowski, Goślicki...

W chorągwi kanclerza, co całą wagę nieprzyjaciela na się wzięła i najwściekleszy jego cios w swe piersi skierowała, strzemię w strzemię walczą dwaj przyjaciele, bracia stryjeczni, Żółkiewscy – Łukasz i Jan. Strzały po nich skaczą chyże, od krat lica kryjących pryskają, od

yorkskiej odskakują kolczugi. Kule wokoło głów nucą. Łukasz Żółkiewski osłania brata ranego. Mieczem ociekłym koło niedostępne przed nim pisze, młotem toruje drogę.

Rzecz wśród trudu Jan:

– Jeżeli tu skonam, bracie, zanieś ojcu ostatnie moje odetchnienie. Tarczą go osłoń i mieczem szlachetnym. Radą go w chwili złej podeprzyj, gdy stara jego głowa upadnie w trudzie. Rzecz Łukasz:

– Jeżeli ja zginę, bracie, wody naczepnij w hełm i zawieź mu, gdyż za wojsko hetman czuwać musi, gdy wojsko pada.

Wbiją znowu ostrogi w boki końskie i skoczą w janczarskie gęstwiny. Groty spis wokoło nich nachylone.

Straszne oczy spoglądają. Tysiąc ramion naciąga łuk. Świst strzał. Przez tłok wroga osaczeni, wyrąbują się samowtór.

Cofa się z nastaniem wieczora do połowy wyrąbana kanclerska chorągiew, samego ze sobą unosząc z pola.

Czterykroć przebiegał Koniecpolski – polny – przed potłuczonymi kupami żołnierza, rząd w nim czyniąc i serce. Gdy własny jego zastęp schodził z placu skrwawionego, stał polny w szeregu, dodawał ramienia i potężnymi ciosami nacisk odtrącał.

Napływ wciąż nowych szeregów prawy tabor ogarnął. Ze wszech stron ogarnięci, krzykiem gminu nieprzeliczonego ogłuszeni, w terrorze panicznym wyprzęgli ciurowie konie od armat. Jedni póki pora uciekali z placu, inni, pod kolasy schowani, konali od razów dziryta. Wozy wgniecione na działa zatamowały porządek odwrotu.

Wycięta niemal do nogi Almadyego piechota. On sam, strzelając się w osaczeniu, trzaskiem muszkietów otoczony, z ciężkimi ranami, we dwudziestu człowieka przedarł się do okopu. Uszły zaledwie trzy hakownice, dwa lekkie falkonety i wozów kilka. Rzucił się żołnierz turecki na kolasy z chciwością, rozumiejąc, że klejnoty w nich znajdzie. Lecz znalazł tylko koński gnój...

Pada słońce zachodu na połamane skrzydła, poszarpane zbroje, rude od krwi – na pałasze w dłoniach pęknięte – na wykrzywione od rozpaczki lica i oczy ślepe z wściekłości. Rżą i stękają z trwogi konie, gdy zbywszy jeźdźców wbiegają w okop hetmański.

W zmiążdżonym do cna szyku, w hufiach posiekanych, w klątwach, wzdychaniu, jękach, groźbach, w obłąkanym śmiechu i złowrogim pomruku – płynie ścierpła od męczeńskiego zachwytu hetmana twarz. Jakoby światło miesięczne, uniesienie na niej zastygło. Uśmiech zgubiony nie schodzi z warg. Żelazny spokój i mężna cierpliwość, zawarte w oczach daleko patrzących, zatapiają się nie w bieżącą, lecz w następną chwilę. Oczy zgasłe mierzą nie dokonany już nieszczęścia akt, lecz to, co jest w nieszczęściu najgorsze, drugi, jeszcze nie widoczny jego w mroku stopień śliski, jutrzejszego tajemnicę dnia...

Zaledwie zdławione szeregi, wbite na się i pełne ran, same sobie zaszczytem być przestały, w obozie się znalazłszy poza osłoną ziemnego wału, rozprysł się skalisty ich opór. Niesprawa padła w nie jak gdyby tajna pokusa szatana.

Nowo zaciężni i osiwiali świadkowie wypraw gdańskich, inflanckich, moskiewskich i włoskich – szlachta konna i pospolite piesze żołnierstwo wybrańców – rodowici ziomkowie i cudzoziemscy żołdacy – rozkazodawcy i ciurów zbiorowisko – nade wszystko zaś lekka obozowa hałastra, pachoty, służba, podjezdki – wszyscy – dali się ogarnąć szaleństwu rozpaczki i trwodze. Jęk powszechny: uciekać! – wionął w szepcie warg odrętwiałych, zapalił się w błyskaniu żrenic i pędził bezładne gromady z krańca w kraniec obozowiska. Ludzie nie poznawali twarzy najbardziej znajomych, brnęli to naprzód, to w tył z krzykiem szalonym i groźbą. Strudzona prawica oręż wyrywała co chwila i co prędzej podnosiła do ciosu, zanim człowiek obaczył, kogo porazi.

Przejeżdża przez obóz Kalinowski Walenty, skupia swe rotę, ustawia, a w tłum głośnie, okrutne miota zniewagi na starą hetmana głowę.

Rzucił w ciżbę radę szeptaną Gracjan gospodar, żeby przez mętny Prut zaraz uchodzić, a potem jemu tylko znanymi przesmyki, Bukowiną, Pokuckim kątem. Każde jego słowo skupia orszak. Rada tworzy rotę. Brną za nim w noc.

Pędzi na koniu kanclerz stary.

Zagroził drogę.

Zaklina, żeby obozu nie rzucać. Stał u wylotu obozowiska. Chwyta w ramiona gadających bezładnie, szepce zapewnienia – przysięga. Szablę wyrwał i zastawia drogę umykającym cichaczem. Skoro staną, oświadcza, że odprowadzi wsze wojsko do dniestrowego brzegu na Mohylów, byleby sworność zachować. Obiecuje struchlałym natychmiast rozpocząć z wezyrem traktaty o zawieszenie napaści. Wtem upadł w tłum z czyichś ust poszept inny:

– Zamyślają hetmani wojsko wrogowi na rozsiekanie zostawić, ze Skienderem paktować, w rzeczy tajemnie uciekać.

Głuchą pogłoskę między zatrzymanymi kupami poniosła w obóz rozpacz skostniała. Zastawił hetman strażami wyjście obozu. Lecz o ciemnej nocy uciekł z obozu Gracjan gospodar.

Uciekł z obozu Walenty Kalinowski, starosta, uprowadzając ze sobą tysiąc pięćset podjudzonego żołnierza. Uciekł mężny Jan Odrzywolski z chorągwią. Uciekł Stefan Chmielecki z chorągwią. Uciekł w noc ciemną piorun na Turki, Samuel książę Koreckie.

Uciekł Janusz Tyszkiewicz ze swoimi. Uciekł Moskwy najezdnik i krwiożerca Mikołaj z Komarowa Struś halicki.

Jedni uszli zdrowo i w cwał dopadli domowego proga. A inni zginęli w drodze niesławnej, napadnięci od ordy zaczajonej na tamtym brzegu prutowym. Wyskakując z wody, nie mogli rozpoznać nieprzyjaciół, szli tedy pod miecz albo w łyka.

Pochwycił Prut jak lewiatan kamienieckiego starostę w swe kłęby, w skręty, w przeguby. Wyrwał go ze strzemion i poniósł w dół. Rzuca go nurt po jamach, poi wodą w głębi swej, przewraca, ostrogami stawia w górę, a nieskazitelnym pióropuszem zaramiennych skrzydeł, co sławę żołnierzom szumiały, zamiata piach niskiego dna.

Jak zdechłą rybę, brzuchem ku niebu ciemnemu, wyrzuca Prut ze siebie trupa i huśta go na chichocie fali. Opił się Walenty Kalinowski rzeczno odmetu i popłynął, popłynął z rozkrzyżowanymi rękami, z rozdziawioną od krzyku gębą w daleką drogę, ku czarnemu Hellepontu morzu. W głębokich błotach limanu trupa swego zagrzebie. Zaryje w ił ostrogi rycerskie i wszczepi rękawice. Raki morskie wyklują mu oczy, wyssą serce wodne żmije. Pancierz jego splamiony, niesławny hełm szlam napelni zgniły, a muł na wieki zalepi.

Skoczyli w nurty prutowe Korecki, Tyszkiewicz, Struś, lecz na tamten skalisty brzeg jego nie mogąc wychynać, wrócili. Ociekający wodą, z zakrytymi kratą przyłbic twarzami stanęli znowu w obozie, wrzaskowisku polskim.

A w obozie polskim już żołnierz namioty podpalał. Z latającym jak płomień pochodni pomrukiem motłoch rozdziela zasłony namiotów, które opuścili rotmistrze i pułkownicy. Oczy ma szalejącymi z wściekłości bada wnętrze każdego namiotu. A skoro próżnię ujrzy, jak gdyby grób ujrzał otwarty, jak gdyby wywaloną trumnę. Ciżba wydaje krzyk złowrogi. Ogląda stanowiska wydeptane od Chmieleckiego koni, puste grodzę po pół łokcia na koń, gdzie Odrzywolskiego bytowała chorągiew, maca płomieniem pochodni i gorejącymi oczyma ziemię stratowaną śladami ku Prutowi – i jako wilk wyje.

Czeladź w kupę strachem i żądzą złączona, broń przez rannych porzuconą chwytając, obchodzi po wtóre puste namioty i zabiera na własność, co znajdzie. A obszedłszy puste namioty, pocznie zaglądać do każdego z kolei. Gdzie leży ciężko ranny, cichaczem skróci mu bóle dla łatwiejszego rabunku. Namiot hetmana polnego, namiot Kazanowskiego Marcina, Farensbachów, Szemberga

i innych, co krwią ociekając bronią obozu bezsennie na szańcach – rozniesiono na strzępy. Szatrę wielkiego hetmana, który u obozowego odwodu drogę uciekającym zagradzał, zrabo-



wano do nitki, że zostało jeno płótno szerniałe od deszczu i ziemia goła. Skarbne wozy rozbito.

Chwyta sługa konie pańskie samopas puszczone i w ciemną noc kalinowskim tropem umyka. Nareszcie pocznie zuchwałość zbijać z koni znużonych rycerzy, oręż z ręki osłabłej wyrwać, zdzierać zbroje i szaty.

Nieswora, swawola, gwałt buchnął jak pożar wśród tłuszczy. Tumult i wielki krzyk głuszą słowa.

Śmiech słyhać okrutny, pogroźkę straszną dla ucha, złowieszczy śpiew...

Daleko zawiewa z nocy pean starodawny broniących obozu na wałach.

Oto przez rabującą hałastę, która pali tabory i własne swe wozy naładowuje łupami, przedziera się na koniu Jan Żółkiewski. Głowa jego odkryta. Włos skudłany. Czoło związane szmatą. Krew z twarzy ciecze.

Niesie dla starca wodę w szyszaku, której był ze strumienia ku Prutu dążącego zaczerpnął, żeby spalone ojcowskie wargi oświeżyć. Przez zagon tatarski wichrem leciał, brzuchem końskim ziemię zamiótł w pustkowiu, przez obóz polski upiorem przepędził, wpadając z grubej ciemności.

Szept się w rosącym tumultcie o jego widok zahaczy. Ruszą wszyscy na miejsce naczelne patrzeć, czy też i kanclerz już uszedł. Stają w tłumie rotmistrze, namiestnicy, żołnierze. Zwartym kołem obskoczyli po wtóre ciemny, głuchy, odarty namiot hetmański.

Krzyk napastniczy, znieważający żąda:

– Sam tu, mości hetmanie!

W ciemnym, głuchym namiocie na ziemi hetman leżał omdlały. Syn przy nim jedynak.

Zdyszani, strudzeni, ramiony się na moment objęli.

Głowami do się przypadli.

Strzały kończyste tatarskie wielokroć przebodły ciało synowskie w tej bitwie. W rany głębokie żeleźca twarz porały. Krew zastygła na licu i w twarde gruzły się zsiadła.

Nie od ciosu pierzastej strzały janczara jęknął tak głucho hetmański syn, lecz zatrząsł się wszystek od polskiej strzały nieomyślnej, co serce przeszyla boleścią.

Zniewaga czcigodnej głowy ojcowskiej aż do śmierci go poraziła. Powiódł hetman drżącymi palcami po twarzy młodej. W ciemności przebolał dłońmi grube guzy i rany rozdarte, jeszcze krew mokrą sączące. Pocałunkiem miłosnym, pochwałą wodza je uczył.

Starą głowę znużoną na męża młodego czole z cichym wsparł szlochem.

Słyhać strzały janczarek tureckich bijące w okop cecorski.

Słyhać krzyk przeraźliwy pędzących dokądś Tatarów.

Słyhać wrzask wzrastający koła szaleńców za namiotem.

Kłapiąc w pochwy szablami, wołają:

– Pewnikiem uszedł...

– Uciekli inni, czemużby i hetman?...

– Uszedł hetman!

– Zdrada hetmańska!

– Do Niestru go syn uprowadzi!...

– Oto przez obóz na koniu starosta hrubieszowski przeleciał.

– Skinder-baszy na mięsne jatki nas przędą!.

– Dla Boga! Ze wszech stron nieprzyjacieli!

– Odsiecz nie czekaj!

– Nagrody żadnej za męstwo!

– Za wierną służbę miłej ojczyźnie śmierć czeka!

– Bez strawy my od godzin tyłu...

– Wepchał złoto w kaletę i na koń ze synem samowtór.

– Powiadają: do Skindera list pisał...

- Do Skinder-baszy list woził synaczek!
- Bierzcie ostatek – dla Boga – panowie bracia, z namiotów.
- Za trzy pacierze wróg te miejsca osiedzie.
- Ma-li to niewierny Turczyn odzierać?
- Ma-li dziki Tatarzyn polskie skarby unosić?
- Do broni!
- Uchodźmy drogą pokucką!
- Hańba wodzowi!
- Hańba hetmanom opuszczającym rycerstwo! Spływa ciche słowo Janowe w namiocie na obraz krwi świeżej z rany:
  - Okrutne jest plemię polskie! Jak wilk rozwścieczony, jak źmija wyhodowana na piersi – niewdzięczny jest ten świat. Żaden mu inny na ziemi w niewdzięczności nie sprostą.
  - Kocha się, synu, człowiek nasz nade wszystko w widowisku strącenia wielkości z jej stolicy. Nie znosi człowiek nasz dla wielkości zachwyty. Lecz nic to, nic! Im okrutniejsze jest plemię, tym głębiej wrzynaj się w nie miłość twoja! Własne to, nasze hetmańskie zadanie.
  - Pogardź, ojczu, tą zgrają!
  - Do podłego kruszczu pogardy lada dorobkiewicz i prędko dokopać się zdoła, lecz do złota wyborowego, którym za zniewagi my płacimy, jeno przez głębokie, twarde, skałą zamurwane wnętrzości ziemi ryc się trzeba. Głęboko leży polski skarb, o dobry synu! Bardzo to ciężki trud przez całe życie samemu, bez wezgłowia spać w dzikich polach, a słyszeć wciąż, jak głuchą ziemią leci nad głową z ojczyzny taki oto sąd jak tej tłuszczu - o wszystkim – lub jeszcze gorszy od tego sądu – oszustów śmiech...
- Każet hetman synowi zapalić smolną pochodnię.
- Ujmie sam skrzydło orłowe, w drzewce włóczni wprawione.
- Wyjdą obadwaj przed namiot.
- Stanęli wobec rycerstwa, wobec żołnierstwa i ciurów.
- Samuel książę Koreckie wśród tłuszczu. Woła:
  - Wielki hetmanie – oto tłuszczu zbestwiona! Władzy żadnej! Splądrowane namioty... Roztargane w obozie trupy rycerstwa...
- Rzecz hetman:
  - Ze mnie woda nie ciecze. Komu innemu się skarż! Krzyk rozjuszony dokoła:
  - Z drogi się wrócił!
  - Ułakł się Prutu wody spienionej!
  - Ciepłej spać pod namiotem, niżli się w Prucie pławić po nocy.
  - Hańba tchórzowi!
  - Za Kalinowskim, za Chmieleckim, za Strusiem! Znak hetmański syn podniósł z rozkazem milczenia. Daremnie. Krzyk wzrasta:
    - Ten to nas tu przywiódł!
    - Tak samo z garścią w Ruś chodził!
    - Tak samo nie wskórał nic!
    - Niechaj na Ewangelią przysięga, że z obozu nie ujdzie!
    - Złóż wasza miłość przysięgę, że z obozu nie ujdiesz tajemnie – inaczej ust nie otwieraj!
    - My krew za sprawę wylali, którzy tu stoim, a hetman nasz zajęcym skokiem pomyka.
    - Gdzież prawo?
    - Niechaj przed nami, mężnym rycerstwem, przysięga.
    - Nie puścić!
    - Otoczyć kołem!
    - Ramiony zastawić!
    - Wymówić posłuch!
    - Nie słuchać bez przysięgi!

- Bez przysięgi nie słuchać!
- Nie słuchać!
- Nie słuchać!

Księgę znaleziono, podano.

Jęknął syn. Łamie ręce przed ojcem i błaga, żeby mu pozwolił nieskalany miecz wyrwać i rozsiekać zniewagę.

Płoną z trzaskiem pochodnie.

Zdjął hetman kołpak.

Powiódł dłonią po martwym licu. W tłum patrzy.

Twarzą w twarz stanął syn ojcu. Łka głucho. Oczy jego płoną z rozpacz, gdy szepce:

– Nie przeżyję tej hańby! Nie zniosę poniżenia. To imię Zółkiewskie nie tylko jest twoje, lecz jest moje. Na miecz się w oczach twych rzucę!

– Zejdź z drogi! Własną moją rzecz sprawuję. Muszę się schylić, muszę się zgiąć na wzór obręczy. Pokorą moją muszę opasać ich szaleństwo! Przypatrz się, co jest polskie szaleństwo! Rozpadną się i rozsypią jak klepki, jeśli im się równy w podłości nie wydam. A gdy się tak zegnę i spoję w sobie, większy się stanę niż oni wszyscy razem. Utrzymam, synu, w obręczy zachwyt ich dla siebie samych, czyli polską całość. Syn u nóg na kolana runął. W dłonie drgające od bólu księgę mu kładą. W głuchym milczeniu słycać, jak serce łomocze. Surowa twarz kanclerzowa od grozy skostniała. Siwe włosy rozpacz z jeżyła. W oczach się iskrzy mróz śmierci. Ściągnął rękę. Palce na księdze położył.

Uśmieszek cichej pokory klamrą mu usta okował. Mówi głośno, wyraźnie:

– Na tę księgę przysięgam przed wami, jakom nie zamyślał o ujściu. Przysięgam, jako nie ujdę.

Wnet się rankor i niepomyślny animusz – polskim obyczajem – z gruntu odmieni i w łaskawość rozczuli.

Krzyczą pocziwie:

- Niech żyje hetman!
- By nas i zabić miał na tym placu, jego się trzymaj, kto żyw!
- Nasz hetman!
- Tryumf przecie odprawował...
- Cary przywiódł...
- Z nim nama żyć i umierać.

Kołem go ciasnym opasali. Łzy w ich oczach. Uśmiechy.

Wyciągają dłonie.

Tedy czapkę naciśnie. Pierze sprostował. Znak każe podnieść. Buławę, żelazo wojenne w dłoń porwie.

Straszliwe z ust jego padają zniewagi. Z obuszkim się porwie na tłum.

Rozkaz grzmiący:

– Na wały! Tchórze nikczemne, łotry!... Pod rozkaz hetmana polnego. Do broni! Kogo teraz na rabunku dopadnę – na pal!

Po dziewięciu dniach walki upartej z wrogiem stokilkadziesiąttysięcznym i każdgodzinnej rozprawy, namowy, układów z szaleństwem garści zamkniętej w obozie, o nieszpornej godzinie dnia wywiódł hetman cichaczem pięciotysięczne wojsko z Cecory.

Zamknął je w ciągu tych dni jak gdyby w fortalicji – w zamku ruchomym. Rozkazał ciasno, jedna przy drugiej zestawić kolasy wojenne w czworobok ze wszech stron zamknięty. Powtórzył zaś czworobok coraz mniejszy siedemkroć. Dniem i nocą skuwali kowale osie kolasy jednej z drugą grubymi na krzyż łańcuchy.

Głucho pod okiem hetmańskim zaklepano łańcuchy od pola na osiach. Od strony wewnętrznej związano kolasy wielokroć postronkami. W przód taboru wprawiono jedyne pozostałe działo. Boki i narożniki uzbrojono w śmigownice o kuli pięcio- i ośmioletowej.

W drugim rzędzie szły wozy prochowe. Rannych, obozowe zawady i konie siodłane umieszczono we środku, skąd można się było wydostać na zewnątrz obozu jeno labiryntem sześciokrotnym uliczek.

W cieśniach między jedną linią wozów a drugą spieszeni postępowali żołnierze z muszkietami w rękę, wszyscy pod znaki właściwymi i w szyku.

Samuel książę Koreckie i Wolmar Farensbach dowodzili na przedzie. Marcin Kazanowski rozkazywał we środku taboru, Teofil Szemberg miał pod komendą odwodową lekką armatę. Dwaj hetmani sprawowali bezsenną władzę nad wszystkim.

Cały tabor mógł iść w bezwzględnej wozów ścisłości – tylko razem. Jeżeli jeden wóz stawał, stawać musiał obóz wszystek zamknięty.

Dziesiątki tysięcy wrogów obskoczyły ruchomy czworogran. Kiedy orda tatarska co pary w koniu nań pędzi, Farensbach i Szemberg, oparłszy muszkiet na wozach wstrzymanych, spokojnie mierząc i celnie, skryci za parapetem skórzanych pudeł wozowych, trupami zasłaniają pole.

Ciemną nocą jesienną brnął obóz przez Dęli dolinę. Wśród bezmiernego trudu, zasypywany strzałami, mijał w bród błotnistą jej rzeczkę. Kiedy skute wozy z osiami zarzynały się w mułach, a na głucho wprężone konie, zarabiając się po pachwiny, tonęły w bajorze, odcinał żołnierz utopione, wkładał się w szlę i jak koń ciągnął przy dyszlu. Ze wszęgo ducha pracując i ze wszystkich sił, wybrnął tabor z topieli.

O dwie mile wołoskie dalej przyszedł na Prutu wybrzeże. Rzucił się nieprzyjaciel wszystką potęgą, usiłując wozy rozerwać. Blisko do pierwszych wozów wśród bitwy przypadłszy, obuchami młotów kruszył łańcuchy, berdyszami ciął sznurów spoidła. Lecz jak te wozy łańcuchem, tak skuła żelazna wola starego hetmana siedemkroć posłuszeństwem i odwagą dusze. Uniesienie zaciekle czynem się stało zaciekłym.

W krwawej bitwie strzelanej odbiegli janczarowie wzniesienia, gdzie byli, i dział, które tam wciągnęli. Trupem ich pole zakwitło.

Tu było pierwsze miejsce wytchnienia taboru.

Następnego poranka, wciąż bitwę zwodząc wytrwała, brocząc krwią i rozlewając krew wroga, wstąpił obóz w rozległą Derle dolinę. Staw tam był szeroki – nadzieją wytchnienia. Lecz z nowo ściągnionymi hufcami uderzył tam właśnie sułtan Kałgaj w ściany kołas. Działa ustawił za stawem, konnicę wokół rozciągnął. Z gwałtem bił z armat w obóz i rzucał wciąż nowe jezdne ataki. Wyszła piechota z obozu polskiego i uderzyła z szaleństwem w armatę sułtana. Pierzchły przed natarciem szeregi i dwa działa tureckie zostały zdobyte.

Przysłał Gałga pod obóz jeźdźca z chustą białą i z listem. Udawał w liście, że pragnie zawarcia pokoju. Żądał przysłania pośrednika świadomego mowy tureckiej. Wiedział hetman, że idzie o zwłokę. Wysłał Krzysztofa Druźbica, lecz przewidując podejście, do boju lud swój sposobił.

W jedności niedoli, w zakonie posłuszeństwa stali jego ludzie bezsenni, zgłodniiali, przemokli, cierpliwie czekając.

Wielkiego trudu obrazem kupili wodzowie niełacne dusze rycerskie. Z godziny na godzinę trud olbrzymiał, zwiększał się ciężar poświęcenia i przybywało ucisku.

Z godziny na godzinę rósł jedności cud.

Tu było drugie miejsce wytchnienia taboru.

Nie wrócił Druźbie z poselstwa. O świcie napadł Gałga na obóz i aż do południa szturmował.

Szarpiąc się w bitwie zacieklej, wywiódł hetman z krętych swoich uliczek zastęp jazdy i rzucił go znięcka. Wpadli w mnóstwo tatarskie jak pocisk, wnet zdobyli działą i dwie zielone chorągwie.

Po południu otoczony chmurami jezdnej tatarszczyzny odszedł krępy tabor w swoją drogę daleką. Nie spoczął przez odwieczny, wieczór i noc całą. Wokoło miał pożary wsi, stodół,

żeby nigdzie pożywienia nie znalazł. A kiedy świt zajaśniał, ujrzeni ludzie polscy przed sobą wzgórze wyniosłe, wojskami okryte.

Strzelbą wróg obsadził wyniosłość, pułkami pieszymi zagroził padoły. Janczarowie bili z rusznic w odwód taboru, Tatarzy nań z boków wpadali, działa tłukły w ścianę przednią. Po-  
czął Szemberg bić w mogiłę wysoką ze śmigownic siekańcami i śrutami nabitych, zlał ją  
krwią i drogę oczyścił.

Lecz gdy się naprzód hetman pomknąć zamierzył, sam Iskiender wezyr szlak mu zaparł. Gęstymi z dział strzałami zamknął na nowo drogi cieśnię ognistą, ze wszech stron skierował na obóz piesze kolumny janczarów. Na rozkaz wodza polskiego ciurowie oręż przypasali, wdziali hełm po zmarłych rycerzach, dosiedli rumaków. Niska służba pacholów uszykowała się w hufiec i nagle wyszła z zawarcia. Szablą wsparła nieprzyjaciela daleko, rzuciła się ku armacie, zdobyła chorągiew i zepchnęła janczarów z wysokiej ich góry.

Poszedł hetman przed siebie przez padoły otwarte.

Dookoła taboru ze wszech stron nieprzyjaciół korona.

Ze strzał, z dymu i z ognia, z wrzasku śmierć wieszczącego – tej korony pałaki, zęby jej i promienie świecące.

Wróg zakwitł w oczach Polski idącej, jakoby chmur lotne zwały, z których pioruny strzelają i grom złata.

Skoro katabasis, aż do śmierci strudzone w lasy wkroczy – wróg lasy podpala, a wichry głównie w obóz miota. Skoro na pola wstąpi puste – wróg wokół pali chaszcze, trzciny, kępy na łąkach, ścierniska, resztki zbóż, szopy na puszczy, sterty i stogi. Dym się gęsty wlecze zwojami nad ziemią okrutną. Promień słońca przebić go nie może, wiatr go rozpędzić nie zdoła. Jeżeli wojsko zobaczy dalekich chat białe ściany – wnet chaty płoną, a wielkie płomień miga się, rozdyma, trzepie, przysiada, skacze w górę i rozdziera przestworze, ni to śmiech na świat cały z polskiej sławy. Wielkie tam cudnokształtne drzewa dymu kwitną spokojnie w niebiosach nad ludzkimi krzykami. Jeżeli popod dymem błysnie strumienia woda radosna, wnet w nią orda dziesiątki tysięcy wdepce koni i w bagno strumień zamienia. Wszystkie mosty na drodze pochodu zerwane, a groble zniszczone. Zdradzieckie tam wyłobiono kanały, wilcze doły poryto i niezgruntowane zapadnie. Wichry jesienny zewsząd niesie dym rudy, oczy nekający i duszę.

Pali ogień pragnienia. Zagłada w oczy głód. Choroba w wozach skowyczy. Padają mieczem porażone konie. Lecz kiedy ogień wokoło tańczy na kresach widzialni i kiedy oddech zatłumiają dymy, nie masz drzewa na ogień i nie ma kiedy mięsa piec końskiego. W oczach z niespania widziadło się snuje. Strudzony żołnierz w szeregu maszerując śpi. Omdlały upada w bruzdę i zostaje na wieczny sen pod zgrzytającymi kołami, gdyż tabor przez jego tułów przejeżdża w swą drogę do strasznego polskiego celu, do niedosiętej ojczyzny. Ciała od ran i pracy niezmierzone] zniszczone – krukowi zostają na żer. Człowiek woli żelaznej i pięści potężnej zdobywa pierwszy wóz z brzęga, wali się weń i śpi twardo, a miejsce jego puste w szuku walecznym.

Cichy, pokorny bohater za wszystkich czuwa. Krwawym idzie tropem bezsenny, spragniony, głodny, głodem-pragnieniem męstwo swoje jak kosturem podpiera – z bronią gotową bnie przez bajora, w deszcz, w wichry, w dym, w tatarskie strzały.

Przez noc i ranek wśród harców nieustających wydzwignął się hetman z padołów i o mil wielkich trzy dalej opodal rzeki Reut przystanął. Tu było trzecie miejsce wytchnienia taboru.

Ruszono stamtąd w pola płaskie, nieogarnięte oczyma, suche, w pustki żalodne. Powietrze nad polami od pożarów gorące, pełne lotnej perzyny. Kurzawy tatarskie wszędy stronami. Na niebie wieko dymu czarne. A trawa tych spiekłych pól na poły od szarańczy pożarta. Śmiertelny całun szarańczy, nieznośna dla oczu makata powlokła grunt. Kopyta koni i pęciny toną w szarawym robactwie. Koń schyla łeb szukając trawy i miasto trawy wargami chciwymi

owad chwyta złowrogi. Prycha koń, parska z odrazą, skacze w miejscu i z trwogi w pustkę daleką rzy...

Zgniata ramiona coraz cięższy młyński kamień niedoli.

Do rzeki przeciął dostęp wróg. O wargach uschłych, o języku jak drzazga, w bezludnej dziczy milczący człowiek brnie. Nozdrzami wciąga wiotką perzynę, którą wiatr lekki niesie.

Rozum się w tłumie mąci.

Tabor męczarni dokoła głów i przed oczyma siedemkroć hańby skuty łańcuchem. Zgorzało oczy szukają w polach pełgających ogniami jasnej wody kresowej.

– Dniestrze! Dniestrze! jasna wodo! – szepcą w pustyni wargi spalone.

Rzemień butów od tygodnia nie zzutych w nogi się werznał i w spuchnięte golenie wrósł. Żelazo pancerzów i kolczug przeżarło skórę i do zapiekłych ran, do nie mytych postrzałów przywiera. Kirys odparzony grzbiet orze. Szyszak się w czaszkę wgniata i spracowany uciska mózg.

Pióra złamane żurawie, pióra strusie i orle ponad szyszakami z chichotem dziwnym łopocą. Jakowyś przyspiewek śmiechu nad przyłbicami w stepowym leci wietrze.

Lica w ramach misiurek i hełmów z żelaza długie się stały, wychudłe, czarne i śmiech wzbudzające.

Tłuką się w szyku złamanym rycerze, idąc piechotą

w milczeniu – przed siebie. Konie, nie popasane i nie j... pojone, kwiczą.

Z potłuczoną bronią, zeschłych ran pieczęciami dostojne, kroczy kwarcianego towarzystwa dwieście człowieka.

Zbitą, obszarpaną, wielobarwną gromadą w ścisłości wozów kołace się spieszony zastęp lisowski, na poły jataganem wygubion.

W twardym milczeniu ławą sunie Litwa.

Patrzy się w milczącą klęskę synów szlacheckich sępimi oczyma kozacki setnik Chmielnicko.

Pośrodku wojska orzeł mogilnik.

Sam na siodle.

Nasycony widokiem swych dni – w dumaniu jedzie.

Ciężko pod nim stęka koń i z głodu, wędzidło jeno żując, wzdycha. Boki jego od tygodnia nie rozsiedlane, w oparzeliskach, zapadły jak u zgłodniałej wilczycy. A pod popręgiem krwawa piana.

Och, koniu...

Koniu hetmański!

Nosiłeś, niedościgły biegunie, pańską sławę po ziemi wolnej i po ziemi cudzej. Chodziłeś pod kapy złotolitymi w tryumfie, a sub clypeo i pod buławą w pośrodek bitwy. Wolnym szlachcicom ze wszech ziem, jak długie i jak szerokie, na placu starożytnych swobód ojczystych ukazywałeś pana jasną postać, niosąc ją ku miejscu przenajwyższemu.

Któż spamięta, ilekroć z sejmu za trzecimi wiciami w złote twe strzemie nogę kładł?

Niewielu żywych pamięta, ilekroć szedł od miedz domowych przeciw obcemu gwałtowi kord przypasywać, wdziewać przyłbicę i bić się po nocy w polach, by spała pod wyciągniętym ramieniem Rzeczypospolita jako dziecię w kołysce.

Och, koniu!

Czyli zanieziesz o strzaskanym puklerzu do ojczystego proga powieść wyniosłą? Czyli na twoje, koniu, rzenie ocknie się tygrysi gniew, wzmoże do walki serce lwie? Czyli plemienny krzyk rozedrze upartą ciszę nad gnuśnymi miastami, nad zamki, groźną zwadę knującymi samowtór, i nad dworzyszczem pełnym twardej pijatyki?

Idąc wciąż przez spiekło od gorąca pola szarańczy całą noc i połowę dnia, dosięgło katabasis rzeki Kobełty.

Minął ją hetman i brzegiem ciągnął dalej mil trzy. Na drugim brzegu wszystka bisurmańska potęga biła weń z dział, janczarek i luków. Za sobą miał wilki tatarskie. Odbili nacisk niejedni lisowczycy, walczyła do upadłego piechota niemiecka. Kiedy wszystkim nacierali mnóstwem Tatarzy, strzelał w nich Szemberg ostatkiem naboju i wielkie w nawale wybijał ulice.

Po ośmiu dniach pochodu, niespania, pragnienia, bez stawy – omdlał lud. Strapieni głodem szaleli. Krzykiem lżyli hetmanów. Wody pragnący nie chcieli iść i na ziemię z rozpaczą padali. Wyszedł już proch i kule. Konie klękały strudzone...

Napotkaną wieś Serwirnię zapalił wróg. A o czterdzieści staj, o dwie mile wołoskie, świeciły już Dniestru jasne wody.

Nie dał żołnierstwu hetman chwili spoczynku. Naglił do marszu. Co prędzej chciał Dniestru łągów, rokicin i stogów dosięgnąć, tam się okopać, dostać widnych z dala stogów siana dla koni, wysłać komunika do Mohilowa po żywność, czekać posiłków i stoczyć śmiertelny ostatni bój.

Ujrawszy z dala wody Dniestrowe, powściągnął się nieprzyjaciół, zawahał, cofnął. Tatarskie gromady z daleka krążyły. Stanął tabor bezsilny. Nie chciał, gdyż nie mógł iść.

Tu było czwarte miejsce jego wytchnienia.

## WIDZIADŁA SNU

Skoro tabor przystanął i, wbrew buławie, nie chciał dalej podążać, rozbiły ręce synowskie i ręce krewniaków namiot dla wodza.

Odpięli z ramion rycerze skóry lamparcie i skóry lwie, niedźwiedzie i tygrysie. Rzucili je na ziemię i z nich łoże wodzowi usłali.

Siodło pod głowę złożyli.

Odeszli.

Już od dziesiątka dni bezsenna, spracowana głowa na wezglowie upadła. Lecz do spoczynku daleko. Serce w piersiach szamotać się jęło, jakby nowy – trzeci – wewnętrzny wróg: to biec w szalonym polocie, to nad jakowąś bezdenną otchłanią stawać i w zgrozie zacichać. I Przygasła siła widzenia.

Niesen bardzo dziwny, na pół zapomniali, jak gdyby wieniec z tarniny okrążył kółcami spracowane czoło. Podła i mściwa siła rozpaczy na piersiach usiadła.

Chmurami kędyś w nocy pędzą dokoła taboru zgraje nieprzyjaciół – męczeńska Polski korona.

Chmurami mkną purpurowymi – nachylą się i w ciemność odlecą – wiotkie sny.

Zdało się w jakowejś chwili, że od dzikiego w nocy zawycia pędzących Tatarów wolno i lekko wydeła się falisto i zawahała, a później w górę podniosła zasłona namiotu – w tym miejscu, przez które wyszedł był syn. Ktoś w przejściu stanął ciemnym.

Blask od pochodni w obozie płonącej padł na ramiona widziadła. Młodzieniec na poły nagi...

Ciało jego ciemne, wysmukłe, ściągłe. Twarz sucha. Na piersiach, na żebrach i na biodrach jego lekka kolczuga, niby koszula z jedwabiu. Nie zakrywa mu szyi, ramion i rąk, a ledwie osłania brzuch. Nagie, wysmukłe nogi tylko na gołeniach pokryte są brązowymi plechy, które w pół łydki obramia rzeźbiona w metalu korona. Nie zasłoniętą głowę owiewa długi włos kędzierzawy.

Po barwie skóry, po oczach i kształcie lic znać, że z puszczy wschodniej przybył. Na biodrach jego pas rzeźbiony w kwiat róży dzikiej. Muskulary rąk i nóg jeszcze się prężą od zwinnych w biegu skoków, Żyły prawicy, chudej jak u dziewczyny, niby sznur tęgi biegną ku dłoni i zdają się oplatać krótki miecz, co w uściśnieniu palców nierozzerwalnym kurzy się jeszcze od krwi dopiero przelanej.

Krótki to miecz, nie dłuższy nad italską dagę.

Lewa ręka w bok wsparta.

A zebra tego boku, widoczne wskroś przeguby kolczugi, dyszą z gwałtem. Twarz niewymownego uroku w uśmiechnieniu zastygła.

Szczyście zwycięstwa, uniesienie, co już wyżej podlecieć nie zdoła i na wysokościach stoi w zawstyżeniu, widać na ustach jak u dziecka niewinnych – choć przez nie leciał przed chwilą krzyk sępa, upatrzoną zadający śmierć. Nieustraszona myśl strzelała przesywając z tych oczu. Namietna czułość drży w ciele kipącym od ukropu krwi. Zdało się, że młodzian ten jeszcze słucha krzyku tłumów, które w nim swego pozdrawiają ducha, żądzą swej cnoty, zwycięzcę – wzywają go na siodło wodza – a on uśmiecha się nie do krzyku tego, lecz do



krótkich westchnień bojaźni pełnych, co się jeszcze nie spaliły do cna w głębokiej duszy przed walką.

Tam nieruchomo stojąc u kotary płóciennej namiotu,  
zawołał z dala:

- Hetmanie! Hetmanie! Jęknij hetman:
- Gończe – ktośkolwiek jest – cóż przynosisz?
- Echo szczęśliwe.
- Nie masz dla mnie szczęśliwej wieści w okręgu ziemi...
- Podnieś się, serce hetmańskie!
- O wieczna walko! o walko! o walko! O wieczne czuwanie!
- Rozewrzyjcie się oczy na światło!
- Cóż bym jeszcze mógł ujrzeć?
- Spójrz!
- Czy nie zginął mój syn?
- Przypomnij, to przypomnij!

Strumień po ostrych, po rumianych i siwych pluszcze kamykach. Sepleniąc między korzeniami, w dół leci z tęgororu, z pachnącej smołami góry.

Słońce w przezroczystym nurcie migota. Kąpie się w zimnej wodzie i bryzgi złotolite otrząsa.

Muszki polotne, miody łądyg wysysając, bawią się na liściach żółto zakwitającej krzewiny. Przecinają skrzydłami wiatru jasność i chłód – wiatru, co wzdyma się, przelata i zacicha – dzwonią skrzydłami o słońca struny nawiązane.

Wonna poziomka czerwieni się pod liśćmi ostro strzyżonymi, na wysmukłej ciężąc odnóżce. Zgina się badył różowej centurii pod ciężarem tchórzliwego trzmiela, co kosmate swe ciało w gorąco-wonna, w gorzką smołę zatapia. Złotem, lazurem i barwą zorzy wschodzącej pisane skrzydła motyla to się łączą ze sobą, jak gdyby w lęku o kruchość tajni nadobnego pisma, to się rozwierają bezczelnie przed słońcem, ni to obłąkana młodości żądza niebezpieczeństw. Skinienia tych skrzydeł odmykają i zawierają głębokie drzwi władzy dumania, dumania pierwotnego, własnego, które zamknięte jest wewnątrz i nisko, w kole ścisłym, w kręgu niedostępnym, z dala od jakichkolwiek, w okrutnych walkach zdobytych trofeów ludzkiej mądrości.

Lilia leśna, złotogłów, stoi wysoko na brzegu, ponad czystym strumieniem. Stopki jej cebulaste ziębną w chłodzie urwiska, korzeń szczerozłotem odziany pije z głębin mocny trunek żywota. Kwiaty nad żywą wodą zwieszono jej jednej – wodzie żywej – dają oglądać wewnętrzne sromy szkarłatem wysłanych kielichów. Głęboko, jasno i długo, jak gdyby nienasycone własnej piękności doskonałym czynem, jak gdyby usiłując same siebie drugi raz utworzyć, kształt swój powtarzają i kolor.

Gdy stopy brodzą po korzeniach lilij, kosaćców, a pięta lgnie w wilgotnych kępach niezapominajek, gdy oczy toną w falach powabnych, w pręgach i liniach kielichów, a czarowne skrzydła motyle po powietrzu je noszą, wśród niebieskich obłoków kołysa się myśl:

„Któż jest człowiek?

Jakie jest jego miejsce wśród suszy i wody, wśród zwierząt, motylów i kwiatów?

Jakiż być powinien czyn jego?

Czyli człowiek powinien w ciszy ducha bytować i w niezawodnym szczęściu pokory na obraz baranka w dolinie – na obraz lilii cnotliwej, co ziemski sok pije – czyli powinien jak ona otwierać kielich posłuszny swej duszy ku słońcu, a zamykać uwiedły i upuszczać go w nicość, gdy nadejdzie przeznaczona pora?

Czyli ma człowiek otworzyć tajną serca ciemnię, gdzie wieczny niezgasłego pragnienia jęk czuwa – czyli ma wyzwolić zaczajoną żądzę swej istoty, żeby wychynęła po władzę nad światem?

Czyli ma człowiek w cichości pożywać owoc ziemi rodzącej i uwielbić ją sercem niewinnym?

Czyli ma uciskiem dłoni żelaznych ugniatać ze wszystkiego kształt nowy na obraz tajemniczej chimery myśli swej – a wolę niezwyciężoną, swoją własną, tworzącą w krwawym cierpieniu i wśród krzyków boju węć tchnąć?

Dajcie odpowiedź, o wielobarwne skrzydła motyle, co się, jak dłonie kapłańskie, za nas rozwieracie i składacie nabożnie przed słonecznym promieniem!

Dajcie odpowiedź, kwiaty, które barwy czerpicie z łona chmurek porannych, a z nędznych w gnoju korzeni ziemskich wydzieracie się ku śniadym i rumianym obłokom, a nad obłoki górujecie czarodziejstwem zapachu!

Daj odpowiedź, ty wodo, wydająca przez wieki wieków dźwięk swój, zawsze jednak tajemny...

Dajcie odpowiedź, wędrownie chmury niebieskie, które co dnia oglądacie wszystko z wysoka, co jest na lądzie i na morzu...”

W czystym lazurze szybuje ptak drapieżny i złowrogi swój cień wlecze po kwiatach, po ziołach wypijających wodę z brzegów ruczaju. I trwoży się przed nadciągnięciem ptasiego cienia czerwony, żółty i błękitny kwiat. Już serce rozerwie błogoziszczony sen, koła zamknięte, gdzie się w ciszy ducha kołysało, jakoby zielony pęd latorośli w rozgrzanym wiosny powiewie. Na dnie jego drgnął jęk.

Nieulekła, drapieżna myśl, jak gdyby jastrzęb ciemnopióry, w niebo szybuje.

Procę masz w dłoni, tajstrę na nagim ramieniu, a w niej płaskich krzemieni pięć, któreś w strumyku pożądliwą dłonią wynalazł. Nasadzisz w procę kamień gładki, okrećisz ją potężnym ramieniem dookoła głowy i puścisz procy koniec jeden.

Kogo ugodzi śmiertelny twój cios?

W kogo mierzysz, procarzu młody?

Milczenie – twoja odpowiedź.

W duszy twej rozlega się psalm ziemi kwitnącej, pracy swobodnej, siły niezłomnej, miłości wiecznej.

W psalmie twym – ofierze całodusznej wszystkiego uczuwania – dźwięk się przytula do dźwięku, rym się przymierza do rymu, niby jedno do drugiego skrzydło motyla, niby lilia-złotogłów do swego w strumieniu odbicia, niby pochylenie do pochylenia pędu latorośli. Słabość tam wstępuje pod żylaste barki mocy i przymierze z nimi zawiera, a barki mocy rozciągają się od zachodu na wschód. Siła przeistacza się w radość, a z radości, jakoby kwiat z korzenia, wystrzela miłowanie.

O, miłowanie młodzieńczej duszy!

Nie popuści złemu ani piędzi świata tego, który w serce się wcielił i w psalmie świętym zamieszkał!

Wychodź, ktokolwiek macić zamierzasz psalm ducha.

Ty, co zamącasz psalm ducha – zamącasz święty świata porządek.

Wychodź, nieprzyjacielu!

Gotowy jest duch na twe spotkanie, na potrzebę z tobą i na odparcie twojej mocy.

W głębi psalmu, jakoby z pochwy, wybłysnął miecz.

To pierwotny gniew za złe.

Zwodzą się brwi jak mściwego łuku cięciwa i bolesna strzała samotnej myśli drży czekając na ciosu upuszczenie.

W imię Pańskie wychodzi procarz samotny.

W imię Pańskie nasadził płaski krzemień w gązwę procy rzemienną. Wiara niechybna złączyła sznury oba w dłoni, zawarła palce, milczeniem okuła usta.

Cokolwiek bitwa przyniesie – zwycięstwo – czyli zgon – siła, radość i umiłowanie jak płuca w duchu dyszą.

Patrz, hetmanie!

(Dłonią, co na biodrze była wsparta, młodzieniec uniósł wysoko i daleko zarzucił zasłonę).

Spojrzy hetman...

Olbrzymia widzialnia...

Po prawej ręce zręby i wyrwy, schody i korytarze, sklepienie łuki i szczeliny tajne, wyniosłości i zawaliska na palatyńskiej górze. Ujęte w zwoje cyprysów i dębów wieczyście zielonych, uwieńczone laurem i bukszpanem, uśmiechają się z gajów kamelij – jak gdyby czaszka opleciona wieńcem weselnym róż.

W słońcu tam leży sen o geniuszu, o gwałcie żądz, o potędze miecza i o bezdennej nędzy człowieka.

Gniazdo orłowe, gdzie wśród nocnej rozpusty leży się zamysły podboju wolnych narodów – kunszt stwarzania niewolników – gdzie młodym orłom lotki rosły i wydłużały się pióra do śmigania po okręgu ziemi, zataczając kształt pętlicy postronka nad pasterzami i łowcami niewiadomego języka i obyczaju – gdzie się hodowała tajemniczo-mądra umiejętność narzucania dybów i duszenia w nich plemion w zgodzie z ich wolną wolą – nauka morderstw, pogwałceń umowy, burzenia miast, niweczenia prastarych kultur, zadeptywania odwiecznych cywilizacji, krycia ich pod piaskami pustyni – i sztukmistrzostwo budowania świątyń świata wieczyście nowych, niezniszczalnych sal rady, cudnych terminów, domów ludu, radosnych cyrków, jak sama myśl o sławie pięknych łuków tryumfu – w jednym na ziemi ukochanym mieście...

Szeleszczę niewymownie stopa sunąc po płaskich kamieniach – i po marzeniu tyłu pokoleń, co się tuli w złomach ruiny.

Żalobnie rozlega się krok w przejściu Septimusa Sewerowym. Oblata echo trzy kolumny świątyni Jowisza miotającego pioruny... Budzi się tęskny czar uspiony między zadumanyimi Castora i Polluxa słupami i pada znów w zakłęte milczenie u stóp samotnej kolumny Phocasa, w której przez wieki trwa koryncki kształt...

Ze wzruszeniem rozgarnia dłoń rdesty porastające osypiska u źródła świątyni Vesty i tajne pokoje służebnic bogini...

Z cicha, nabożnie przyczajona stopa mija Tytusa Wespazjanowego Łuk. Coś swego składają wargi, gdy oko się wałęsa po rytych w marmurze kronikach tryumfu, po rzeźbionych dziejach zburzenia świątyni, wydarcia z niej wieloramienego świecznika, świętych ksiąg i złotego stołu – po koniach ciągnących wóz chwały, po figurach milczących likierów, po postaci bogini zwycięstwa, wieniec wkładającej na skronie tryumfatora, po symbolach potęgi i dumy – z których deszcz wypłakał sławę i które wysmiał, wyświstał wiatr lecący przez wieczność czasu.

O, wietrze, przynoszący tym wejściem na pole ruin stulecia za stuleciami! Potęgo, która tyranii i bezprawiu pomnik zbudowałaś, nie przeczuwając, że budujesz niezniszczalny sylogizm, doskonałego piękna i wymowy pełen, o nicości człowieczej tyranii i o omyślności bezprawia!

Dumanie w Łuku Tytusa – któż cię wysłowi?

Po lewej ręce chram Konstantyna, którego sklepienia, zamknięte w kasetonów urok, szatańska zuchwałość artysty w drzazgi targała, ażeby osiąść tajemnicę przedwiecznej budowy i nowe, nie widziane na ziemi sklepienie rzucić pod niebo...

Znowu po płaskich kamieniach dźwięczy pożądlivy krok.

Murawa wiosenna płonie od rumieńca koniczyn. Indyjski mirt, bukszpan ościsty i szare drzeweczko oliwne na zrębach czerwonych pokruszonej teguli...

Circus Flavius!

Olbrzymie jamy okien, przez które widać obłoki w dal żeglujące... Wokoło murów postrącane równościennie pilastry i szczytne kapitele. Głazy te zbuntowały się przeciwko geniuszowi, marzeniu i sile człowieka, omyliły jego czujność i niby chytne zwierzęta, przemocą, wbrew ich naturze wytresowane, lecą ku ziemi z podniebieskich stanowisk, z podobłocznych

czatownie, żeby się w dawne, naturze swej właściwe rozpadać kształty, kryć pod murawę od koniczyn rumianą, pod wszędzie dopielający chwast zapomnienia, wrastać znowu w błoto i zgrzytać szyderstwem z dawnej swojej postaci pod nogami przechodzącego barbarzyńcy.

Ponachylały się tam i sam korynckie kolumny.

Pożarł czas jońskie głowice drugiego rzędu.

Wrosły w mur głuchy złupione przez najezdnicze zgraje żołdatów słupy doryckie pierwszego piętra.

Wnętrze!

Potwornej wielkości głazy, wyważone z gór i wśród razów bata, potu i łez, bez tchu przywleczone pylnymi drogami na bidze skrzypiącej – skrzesane w ukos i wszczepione między głazy w ukos rozwarte, siłą swą własną tworzą niewzruszone sklepień zwornice. Gdziekolwiek wysoko pękła arkada, tworzy się podobizna szczelin w albańskich skałach. Wiatr tam kołysze drzewko mirtowe, przelatując wskroś wyłomów i szpar, wiejąc po galeriach porośniętych szalejem, po lochowiskach, sklepionych kanałach w głębokiej ziemi – po świętych, czarnych schodach w rozpacz jaskiń przedgonną wiodących.

Głowa przychodnia dźwiga się, wznosi i porywa ku widzeniu pospolitości tego, czym jest śmierć.

Oczy się nateżają do rozpatrzenia jej bez trwogi, bez nienawiści, bez pochopnej żądzy, bez jakiegokolwiek podniety, bez wzruszenia.

Aż oto nagły łoskot po wszystkich rozłogach duszy, w przepaściach jej i na szczytach, jak gdyby wrzask trąby wojennej w nocnym milczeniu.

Zstępuje z górnych galerii po olbrzymich kamiennych skrzyżalach widmo młodzieńca w cienkiej kolczudze. Nagie, wysmukłe jego nogi tylko na gołeniach pokryte są brązowymi plechy, które w pół łydki obramia rzeźbiona w metalu koronka. W rękę jego krótki miecz, nie dłuższy nad italską dagę.

Nie zechciał być widzem.

Chce być Aktorem.

Idzie Zwiastun, Zwycięzca, Waleczny, Dawid.

Na ustach jego uśmiech radosny.

Burza włosów na skroni, jak powiewny porporzec od wielkich kroków – gdy zmierza w dół.

Na odgłos jego kroków – w podziemiach, w lochach, w grobowiskach rozpacz, w pieczarach Colosseum – krzyk – jeden – drugi – trzeci!

Wielka rota ludzkości woła weń – Wodza!

Wielka rota ludzkości czekała w ciemnym lochu stuleci tyle! Wielka rota ludzkości czyhała bezsennie na moment swój, żeby nareszcie wyrwać z pochwy miecz, gdy da skinienie wódz.

Wielka kohorta bohaterów, męczenników, proroków, wieszczów i mędrców...

Wyjdzie nareszcie na arenę wielka kohorta w pancerzach z płomienia po schodach świętych.

Trębacz naczelný zadmie w hejnał przedjutrzniany na wschód, na zachód, na północ i południe.

I rodzaj ludzki ocknie się o samym poranku...

Lecz oto kiedy Dawid na arenie stopę postawił, z ciemnego otworu wysunie się nie porporzec wielkiej kohorty ludzkości, lecz stadem chyżym wybiegną lamparty żółtawe.

Idą nań po jasnym piasku cichymi, miękkimi kroki. Przysiadły na ziemi świętej i wlepiają jaskinie ślepiów w srebrną kolczugę młodzieńca. Młodzieniec przelotnie wejrzał na lampartów stado. Szedł ku nim w światłości uniesienia, ścisnąwszy mocniej w prawicy miecz – z oczyma utkwionymi w obłoczku białoróżowym. Gdyż właśnie chmurka wszystkowidząca żeglowała po niebie znad tej areny w stronę samotnej, srebrnej w lazurach góry Soracte – ku

puszczom morza, gdzie biała, złośliwa wełna błyska w ciemnej toni jak zęby śnieżne w złowieszczo śmiejących się ustach, ku rumianym drzewkom gorzkiego migdału, co zakwitły na skałach czarnych, dalekich wysp w spienionym morzu...

Ustał zniecka i wniwecz się rozwiął sen o młodzieńcu. Przebudził się hetman. Westchnął za snem.

A nim westchnienie w słowie zgorzało, zawrą się na glucho powieki. Nowe widzenie, do kąd chce, niesie duszę. Przedziwna roztacza się zmiana.

Dawne, minione, zapomniane przeżycie...

Patrzą w nie oczy z czułością...

Rynek krakowski...

Mariackie wieże, Zborowskich szare gniazdo, dom Montelupich, dom Bonerów i książęcy dom Pod Barany, i Bernata Maciejowskiego Spiski Pałac...

Wszystkie w rynku okna i ganki pełne głów.

Uroczę twarze dziewczęce i niewieście – lilie i róże – we framugach i wnękach. Po dachach kamienic, po murowanych attykach, w zazębieniach gotyckich, na kominach, na wieżach – żaki, paupry, czeladź.

Zwisają ze wszystkich okien po surowych ciosach murów, po skarpach i narożnikach, po obramieniach okien i wygarach drzwi wielkie adziamskie kobierce, cudnie wielobarwne deki, haftowane kilimy, lity złotogłów, gruby, wzorzysty adamaszek, szkarłatne, złotem upstrzone, w bitwach zdobyte dywdyki, jedwabna kamcha turecka i ruska parcza rubinowa.

A w Szpiglerowskiej kamienicy na krążanku Jego Mość sam Stefan król z królową Anną zasiądzie. Jedwabna, złotolita lama z orłem po niej cudnie dzianym z okna tam patrycjuszowskiego Bethmanów aż do samej ziemi zwisa.

W drugim oknie nowożeniec, Jan Zamoyski, z Gryzeldą cudnej urody, królewską synowicą.

Jeszcze raz, jeszcze raz ogląda hetman łzami oczu strzały wież, mury ratusza i sukiennic, rojne, zgiełkliwe ulice... Słyszy jeszcze bicie dzwonów, dźwięk radosny porywającej muzyki i gwar wesół szelestnej, szumnej, bogatej ojczyściej mowy.

Złotym piaskiem wiślanym grubo wysypany rynek od domu Pod Barany po Szpiglerowską Bethmanów kamienicę. Plac przed królewskim siedziskiem ogrodą mocną, parkanem ostrokołu otoczony.

Tuż za szrankami stanęli murem potrójnym rycerze spod Gdańska, spod Wielkich Łuk, spod Pskowa i niezłomnego Połocka. Błyskają na słońcu czerwcowym tarcze i dziiryty. Stu ciężkich kopijników siedzi na koniach okutych w stal. Na ramieniu ich długie rusznice. U boku przykrótsze miecze. A buzdygan nad nimi trzyma Stanisław grabią z Górki.

Po drugiej stronie szranków piechota w pancierzach, z siekierami do ciskania łatwymi, z dziirytem i pałaszem. Pod oknem króla jego piesza gwardia w fioletowym ubraniu, z hajduków, Węgrów i Czerkasów zebrana. Rusznice ich długie, zakrzywione szable, w ręku czekany.

W dali huk strzałów i w kotły bicie.

Przygasa gwar – przygasa.

Samotny odgłos trąby.

Cisza.

Król w oknie.

Postać jego zwięzła, urodziwa, czerstwa. Widać w nim wielką siłę i zdrowie. Twarz przystojna, rycerska, pociągła, rumiano-czarna. Krucze włosy krótko strzyżone okalają te lica żywe. Nos zakrzywiony, z jakim zazwyczaj Attylę malują – usta nie uśmiechnięte – oczy surowe i zimne.

Ledwie król siadł, otworzą się szerokie szranków wrota i środkiem ulicy przez heroldów wśród tłumu wyżłobionej jadą na koło rycerze. Przed nimi biegnie orszak mnogi pieszych dworzan i giermków.

Dudarze karpaccy na kobzach grają.

Przed magnatami w szranki jadącymi niosą trefnisie i karły pułkownikowskie, rotmistrzowskie, porucznikowskie buzdygany ze stali demeszkowanej na wielkołučkih i toropieckich polach żelaznymi prawicami wypiastowane.

Sędziowie turnieju miejsca zajęli.

Surmaczów zagrzmiały trąby.

Wyjeżdżają na jasne koło zapaśnicy do kolan okryci stałą, w hełmach zawartych i w opuszczonych kratkach. Konie ich dywdykami powłóczą, siodła sadzone kamieniem, srebrem nabijane i złotem. Na każdym rycerzu starożytnie, przednie i zadnie polerowane plechy pancerzów, szorce, karwasze, nagolenice i nakolanki. Wielobarwne strusie pióra wieją na szczycie szyszaków i na łbach koni, stałą naczelników okrytych.

Każdy z rycerzy pod pachą ma drzewo, u boku miecz i tasak, czyli kord.

Z wolna we dwu krańcach placu staje naprzeciwko siebie czternastu wojenników.

Widzi ich znowu hetman...

Podorecki Bylina, Andrzej Grudziecki, Paweł Junosza Piaskowski, Krzysztof Tarnawa Broniowski, Mikołaj Rogoziński z domu Habdanków, Bronisław Nałęcz Orchowski, Jan Dobek Gryf...

We dwa hufce się dzielą.

Każdy ma chorągiew hetmańską z nowożeńca cyfrą.

Na jednej widnieje napis: Cemit et audet.

Na drugiej: Utraque civis.

Zsiadłszy z koni współzawodnicy przepraszają się społem – jeśliby który za przypadkiem obnażon był i zabit, żeby zabójcy odpuścił...

Skłonili się wzajem.

Wstąpili w strzemię.

Dosiedli rumaków.

Kopije wraz jak jeden przycisnęli ramiony do żeber.

Stopy wparli w strzemiona.

Wrzask surmy.

Spięły się na zadach żgnięte ostrogami konie. Runą na siebie.

Trzeszczą pękające drzewca. Dzwoni i zgrzyta miecz. Iskry się sypią spod korda. Rzy koń. Gdy Grudzieckiemu kopija przez rękę przebiegła – gdy ze strzaskanym ramieniem Kazimierski Biberstein, wysadzony z siodła, runął na wznak, gdy idzie zwycięzca po złoty wieniec ku oknu Anny królowej i ku czarodziejskim uśmiechom na licu Gryzeldy – wzrusza się dziko wielki tłum. W wolne powietrze uderza zły wrzask trąby, a pod tęgimi dłońmi widzów szczeka z rozkoszy broń.

Ledwie giermkowie unieść zdołali rannych z boiska, rozsunie się żelazne koło rycerskie i wydłuży w lśniąca pancerną ulicę.

Wyjechał z bramy domu Pod Barany Mikołaj Wolski, miecznik koronny, na słoniu, za Etiopa przebrany. Siedzi w wieży ozdobnej, z której raz w raz kule świetliste tryskają.

Za słoniem zdąża Mikołaj Zebrzydowski na wozie, który ciągną białe i czarne godziny dnia – jako Saturnus wiek złoty wiodący za sobą. Wóz Saturna pogania Czas, otoczony przez symbole słońca i gwiazd.

W ślady Saturna wstępuje wnet Jowisz, którego wyobraża Stanisław Miński herbu Prus. Gromowładca siedzi na wozie ciągnionym przez trzy orły czarne – a trzyma w rękę gniazdo, z którego biały orzeł wlatuje.

Skoro minęły koło i zeszyły z oczu tamte obrazy, ze Szpiglerowskiej wysuwa się bramy, z wolna kołysze i ku zgiełkliwej radości wielkiego tłumu w rynek sunie brama tryumfalna.

Przed nią kroczy zastęp pieszy w kilkadziesiąt człowieka. Za nią trębacze, chorągiew, jazda.

Przed jazdą, w odstępach, rotmistrze.

Przed każdym rotmistrem giermek kosztownie odziany.

Dźwięczy w uchu hetmańskim piechoty krok, połyskującej krótkimi na ramieniu szefelami o złożonych grotach trójgrannych starorzymskim wzorem. Okrągłe, rzymskie tarcze ze skóry o żelaznej pośrodku osłonie ścianę ruchomą stworzyły. Krótkie miecze w brązowej oprawie, z cyzelowanymi głowniami, w linię ich wiążą.

Za wojskiem na wozach wspaniałych płyną pomiędzy cizbę – podobieństwa spraw wojny, dokonanych pod Wielkimi Łukami, pod Połockiem, pod Sokolską twierdzą i pod Pskowem. Obraz Inflant zdobytych, wizerunki miast ogarniętych pletnicą zamków – Krasne, Grodek, Sitno, Newel, Ostrów, Zawołocz, Toropiec, ogniem zbitych – przesieczny w lasach, którymi otworzyła drogę na Ruś siekiera węgierskiej piechoty – widoki oblężenia murów i sposobów ich dobywania.

Na innych wozach zwalono pancerze, „szlemy”, „szczyty”, „łaty”, zbroje rycerzy moskiewskich, oszczepy, miecze, drzewca i broń. Za tymi wozy szli ludzie tameczni jakoby więźniowie i wielka zdobycz.

A na samym końcu posuwał się najwyższy wóz, we cztery konie białej maści ciągniony. Za tym zaś wozem przywiązany szedł człowiek, jakoby Wielki Groźny Książ, co syna rodzonnego – według gminnej powieści – nie wahał się w pierś pchnąć kosturem i zamordować za to, że polskiego pochwalił króla.

Za tym zaś aktorem szli inni, jakoby hetmani walecznych Rusi wojsk, wojewodowie zamków wytrwałych, rycerze, tłuszcza ludu posłuszna z żonami, z dziećmi...

A wokół nich podskakując pomykał się, przysiadł błazen ucieszny, który się dziwnie wesoło naśmiewał z porażonej dumy Groźnego Kniazia Wszej Rusi – który go w ucho palcami bił, za dołmę ciągnął, w tył łbem jak baran trykał...

Grzmot śmiechu na widok figłów jego i drwin po gankach, oknach, drzwiach, po attykach, dachach, wieżach...

Ciesz się w mocy swojej polski lud...

Klaszcze w dłoń i chichoce do woli.

Obok wozów tryumfu kroczą niewieście postacie w wiotkim atłasie, z woniejącymi lampami.

Wśród nich cudna muzyka.

A wszyscy w kwiatach, w wieńcach...

Wzniósł się sen jak gdyby wyżej.

Przestał być jeno widokiem.

Weszło weń samo życie i głębokie aż do skrytego dna uczuwanie.

Postrzega hetman w martwych mgłach snu, w ciemnych głębiach uśpienia – samego siebie i staje się sobą do cna...

Lekkim, żywym krokiem z ciemnej ulicy wynurza się w rynek krakowski.

Nie jest sobą, rycerzem polskim, lecz jest boginią Dianą. Na ciele nagim ma jeno lekką szatę zieloną.

Szata u kolan klamrą spięta.

Na stopach cizmy kreteńskie.

Kołczan pełnostrzały u ramion, w ręku srebrny łuk, którego pocisków świst wrywa z powietrza skrzydła orłowe i sępie, przecina bicie serca dzika, niedźwiedzia, żubra i lotnego jelenia.

Wzburzone włosy spięte gałązką tarniny oświeca półksiężyc diadem.

Powab twarzy, zarys klasyczny czoła, nosa i ust, piękno oczu, kształt głowy Apollina Citareda przypominający – nadał się jak żaden inny do ukazania oczom ludzkim siostry słonecznego bożyca.

Jak dziewicze piersi jej wyzute są z pełni niewieściej, a biodra i ramiona wychudły, stały się twarde, muskularne, ściągłe i wysmukłe na podobieństwo młodzieńczych, od wiecznych pościgów, łowów, od nieustającego biegu i skoków, wskutek przebywania w pławach rzek, przez ciągłe gry, zmagania, walki, wysiłek i ćwiczenie – tak znowu tęgie młodzieńcze łądźwie, kształtne ramiona, w wojennym trudzie rozwinięta pierś jak u nie rozkwitłej dziewicy – upodobniły rycerza do córki Latony.

Czternaście najczarowniejszych nimf Polski otacza go ze wszech stron. Półnagie ciała dziewczycy, dzikich, błędnych nimf ze wstydu drżą pod oczyma żelaznych rycerzy. Tuli się do bogini Diany ich panieństwo, gdy zza krat przyłbic patrzą w nie gorejące oczy.

W popłochu, wśród szczekania, skomlenia i wycia wiodą nimfy na smyczach mnóstwo chartów, sfory naszczekujących ogarów i kundłów, przeznaczonych do stanowienia dzika w ostępie.

Środkiem tej zgrai prowadzi bogini na złotych wodzach dwa cudne rozłożystorogie jelenie.

Niezgłębiona i niewymowna tajnia głuchych głosów młodości, która w tamtej chwili pamiętnej serce przejęła – rola bóstwa pięknego wówczas zagrana – jeszcze raz z całą mocą ozwała się w tym czarującym śnie. Oto stał się po wtóre samotny nad ziemię wzlot – junackie włamanie się w świat półbogów – złudny, krótkotrwały byt w ich kolisku – zrazu odległy, później coraz donioślejszy z bóstwem Diany zespół w jedno – przeistoczenie się w nią – w jedne niestrzymaną potęgę i w jedne postać zwarcie się dwu płci.

Siła męska tak nieposkromiona, drapieżna, bezwstydną i nie do zniesienia, że pod jej spojrzaniem zwierzę

drży, a spazmem bolesnym kurczy się kobiece łono – i nieskalana dziewiczość, cnota czulej litości i dobroć najsubtelniejsza spoiły się w obrazie widma bogini krocącym przez krakowski ciemny rynek.

Niesie rycerz przez milczące koło wojowników w ponadziemskim uśmiechu sen o tej mocy nie znanej nikomu z nich, która się zawarła w pocałunku złożonym przez bóstwo na ustach Endymiona śpiącego, a zarazem o tej, z którą bóstwo patrzyło w swej bezlitosnej ponadboleści na Hipolita skon.

Chyże jak błyskawica i jak ono przerażające, najdziwniejsze z uczuć jeszcze raz sercem wstrząsnęło.

Zalśniło i przemknęło górujące.

Stronami kędyś przewiało znikając – ni to w nocy niewidzialne skrzydła husarskie, gdy dokądś pędzą nad nędznym w ziemi gniciem w kopyt rącznych tętentem...

Śni się precz, śni się dalej, że to nie tylko przez ulice Krakowa ciągnie zgiełkliwy orszak i sfera, lecz od karpackich pędzi gór do szumnie-piennego morza i od Byczyny po Psków.

Stopami zorany od granitów i piargu orłowych turni polecą nimfy po osypiskach kwarcu, po jałowcowych pustkach, wśród skwierku stad kwiczoła i świergolenia jemioluchy – po jodłowych borach, gdzie ćmiaka w bagnie pysk wieprza dzikiego – po suchych sośniakach i brzozowych mazowszach liliowo-wrzosych, skąd złota sarna pomyka – po bajorach obrosłych rokitą, osędzią od leniwej mgły – aż do puszczy wielkodrzewów, gdzie ponuro chrząka żubr.

Na szyi i na ramionach chłód rosy rannej, oddech lasów drzemiących z prawieka po stokach tatrzańskich gór, zimno szerniałego śniegu, bryzgi wodospadów i ostre smaganie wichru.

W nogach skostniałość, jak gdyby stopy brodziły po wodą przesiąkniętym mchu puszczy osędzią, żywicą pachnących, pod Pskowem i w słonych pianach fal, co chłoszczą piaski kaszubskie.



W rękę zaiste boska siła, jak gdyby siła śniąca przez wieki we wszystkich lasach Polski, Litwy i Rusi, leżąca w polach puszczonej odłogiem w wieczystą dzierzawę dziewannie i wrzosowi – w górach porośniętych jałowcem i kosodrzewem, gdzie przez stulecia tajemnica samotności przebywa i nieskalane bytują żywioły.

Dłoń ścisła złote wodze strzymujące skoki jeleni. Lecz to nie skoki dzikich jeleni strzymuje dłoń, lecz niepokromiony pęd, jelenie skoki, leśną, górską, w rozłogach zrodzoną moc własnego ducha – żądzę, potęgę i samomiłość niepokromioną swego plemienia.

Moc zadawania śmierci w tych wodzach – i moc patrzenia w grot strzały, której bełt na cięciwie śmierci.

Mętnieje sen...

We mgłach widać konie skrzydlate, wiozące Venus w złotogłów otuloną. Widać Parysa, związanego łańcuchem.

Podaje Venus uroczą złote jabłko cudnej królewskiej synowicy.

Podparty na rękę patrzy Stefan król w rynek krakowski pełen ludu polskiego. Uśmiech, rzadki gość, na twarzy posepnego króla.

Muzyka.

Uderza w powietrze odgłos trąb.

Miotają komornicy w tłum srebrne talary, na których twarz królewska wyryta.

Cieszy się lud.

Pieni się zachwyt w jego sercu jak mocne wino w pucharze przez cudzoziemca rzeźbionym.

Sławę swą trzyma lud w dłoni.

Patrzy w nią, opija się i pieści jej wizerunkiem.

Samotna Diana, uchodząc z rynku w ciemną ulicę, przymknęła oczy.

Wzdycha.

Ciężki kamień na piersi jej spadł...

Jakże dziwny widziała lud!

Wszystko w nim nie samoswoje, nie własne.

Głucha w nim tylko, pierzchająca na wsze strony siła...

Zuchwała w nim tylko dzikość, jak w morzu, w lesie tatrzańskim i w szczerym polu...

Serca-li to bicie tak głośne, tak mocne, tak twarde? Nie serca to bicie, lecz końskich kopyt tętent i szczęk. Zasłona się szeroko rozdarła i wysoko podniosła, czyniąc wejście przestronne jakoby wrota fortalicji.

Słychać wciąż bliżej, coraz donośniej potężny łoskot podków wielkiego rumaka po bryłach bruku, gdy grube jego kopyta kują w głazy, idąc pod wielkim jeźdźcą ciężarem.

Łeb konia w naczelniku stalowym. Ślepie juchą zalane. Spomiędzy zębów głodących wędzidło chlapie piana. Kłębki okryte rzędem z brązu. Grzywa trefiona, między uszema czub sowity, a ogon w węzeł spleciony.

Jeździec na głowie ma szłom olbrzymi – na sobie pancierz jak mur gruby. Siedzi z wyężonymi nogami w ciasnej kulbace. Przy okutych jego kolanach skrzydła rzeźbione. U pięt dwie ostrodze, zwierające siłę rumaka bodźcami jak sztylety długimi.

Usta rycerza w dół skrzywione. Oczy głuche. Na szyi widnej spod żelaza żyły się prężą. Twarz jego brązowa mieni się od uśmiechu mądrości. Zdarł wodzami łeb ogiera i pysk jego nagiął aż do kolan. Wstrzymał się u samego posłania. W dół patrzy.

To co najbardziej dzikiego zawiera się w pogardzie zwycięzcy, zatapia się w oczy hetmańskie.

Rozewrą się po bardzo długim milczeniu dumą wydęte jeźdźca usta. Spytał:

– Pomniszli mię?

– Pomnę, rycerzu.

– Marzyłeś u ostróg moich o sztychu mocy i o żelaznym zamachu wielkości?

– Marzyłem, żelazny wodzu.  
– Lecz nie pojąłeś treści mojej nauki.  
– Pojąłem twoją całą naukę i odtrąciłem treść.  
– Niewolniku!  
– Najemny Coleonie!  
– Ażaliżes i ty nie najemnik, mocny hetmanie? Za buławę, za urok władzy nad rodzonym ludem, za moc ścinania głów, za pokłony i trwogę cudzego motłochu, za rozległość dóbr, za roztruchan wina u stołu szczodrego króla, za pieniądź zasług – parobczański podejmujesz, najemny trud!

Rzecz hetman:

– Skłamałeś! Brałem bogactwa ziemi, żeby z nich, jak garncarz z jałowej gliny, wyciskać cenne naczynia, żeby budować obronne zamki, siedliska zachodniej oświaty, po krańcach ojczystej strony. Rozkosz to była moja budować Polskę nową na fundamentach z granitu!

### KRZYK W OBOZIE DALEKI – DALEKI

Rozkosz to była twoja budować Polskę nową na wsiąklej od wieków w ziemię ruskiego ludu krwi, na krzywdzie, na głodzie, na chłodzie, i na ciemnym zabobonie!

### HETMAN

Uderzałem nogą w glinę ziemi ruskiej i dźwigałem polskim ramieniem między kurnymi chatami, kiedy tego nie czynił nikt, zamki grube jakoby rzymski kasztel Anioła, strzeliste jakoby tatrzańskie skały, żeby pierś ludu tego bezpancerna w zamurzu kryć się mogła od pocisku, gdy runie z Azji wróg. Brałem clavam belli i nie drżała pod ciężarem wojennego żelaza ręka moja. Szedłem przez życie Rzeczypospolitej granicami, tratując walecznych ludzi cudzych śmiertelne mogiły, bom Europę pchał w ukraińskie dzikie. Nocą moją bezgwiezdną cwałowałem przez pola dalekie, gdzie trupy rozmięcione przeze mnie dziobie ptak.

Warneńczykowym szlakiem wpływ przebywałem rzeki krwawe, którymi nie woda zafarbowana, lecz nieśmiertelna chwała wojenna mego plemienia się toczy. Była to moja własność jedyna: szczęście polskie zasłaniać, wolność naszą nieść daleko, a znak zdrowia Ojczyzny, buławę wojenną, pokazywać ku czci obcym plemionom. Jam wiedział! Byłem z sejmu polskiego, ze stolicy sprawiedliwości i wolności od ludzi nieprzymuszonych posłaniec do ludów, które topór żelaznej pychy rąbie.

### GŁOS ZA ZASŁONĄ NAMIOTU

Śniłeś, że ziemię swoją, jak własnego ducha, wojennym opasujesz rzemieniem i że brzeszczot jej do lewego przytroczyłeś boku, jak sobie.

Chciałeś lędźwiom ziemi dać siłę skoków lwa, a prawicę jej wyciągnąć do świata – Marka Aureliusza z kapitołińskiej góry uprzejmym uściskiem...

### ODGŁOS ZA ZASŁONĄ NAMIOTU

Ziemi twojej, gdyś nocą bezgwiezdą cwałował i kupy nieprzyjaciela z jej granic uprzętał – ciężki wyrósł brzuch. Za kusy jest pas. Brzeszczot za nisko. Za krótka ręka, żeby do główki przez górę brzucha dosięgnąć...

COLEONI  
ze Śmiechem rzecz

Wszechświat zbudowany jest, wodzu, z tego samego tworzywa, z którego zbudowany jest ten oto twój sen. Pewny w nim i trwały jest tylko miecza stalowego, na brusie ostrzonego, cios.

Miałeś w prawicy jedlca miecza, a w ręce moc. Za sobą miałeś okrzyk ludzi wojennych, który na ziemi o wszystkim stanowi, gdy nim jak wydobytym sztyletem moc włada. Trzeba ci było dyktować graczom politycznym uniwersał twojej potęgi, tekst aktu twojej chwały.

HETMAN

Hetman polski jest sługą narodu.

COLEONI

Toteż cię naród potrafił, sługo, aż na to pole.

Czyliż nie widzisz, żeś tu exul i pośmiewisko?

Do nędznego skrawka ziemi łańcuchem się przykułeś. Ambicji cudzej służysz. Na tarczy wolnego rycerza wymalowałeś symbol czyjejś, nie własnej, potęgi i tym się chełpisz, niewolniku!

Należało ci się było ode mnie nauczyć grubo i twardo pogardzać niedolą i upadkiem tego, co biczując duszę własną uniesieniem – zowiesz ojczyzną. Ojczyzna – zespół szaleńczy wazjemnego wszystkich pochlebstwa!

Kto pochlebstwem gardzi i sam nie schlebia, ten tylko ze wspaniałą dumą i z rzeczywistą wielkością będzie mógł odtrącić od siebie tyranie, gwałt i podłość przemocy, którą niesie w swym berle ojczyzna zwycięska.

Rycerz wolny zamyka się w zamku swego ducha jak ja w moim kasztelu Malpaga. Stamtąd się bawi widokiem nędznej gawiedzi nizin. Stamtąd zawiera przymierze z mocarzami, jak ja z Wenecją albo z Piotrem Medyceuszem florenckim. Walczy, z kim chce, tam gdzie się jego duch o godną sztyletu przeciwność zahacza, i walczy, o co chce.

Dziś tedy w Neapolu ramię w ramię ze Sforzą i Braccio da Monte, a jutro, poznawszy wszystek sekret ich siły, przeciwko nim. Dziś w szeregach Wenecji przeciwko Filipowi Yisconti, a nazajutrz na czele pięciuset towarzystwa z księciem Mediolanu przeciw Wenecji i przeciw Sforzy, niedawnemu przyjacielowi. Gdy zechcę, biję księcia Orleanu w obronie Pospolitej Rzeczy Mediolańskiej, a gdy zechcę, ofiaruję Orleanowi przymierze. Aż przyjdzie do mego namiotu niedawny wróg, złotolity doża wenecki, i błagać mię będzie z pokorą, żebym ujął w dłoń naczelne dowództwo nad jego wszystką potęgą. Wtedy uczynię, co mi wysoka moja rozwaga i zimna moja wola poradzi. I wtedy także, patrząc na wylot przez subtelne przędze ich wszystkich, rozważywszy zabiegi krętackie niskich szalbierzów, uczynię to jedyne, co ja wiem sam, co mi mój przyjaciel, zimny miecz, w boju powiedział, a co ku szczęściu niewątpliwemu Italii zmierza.

HETMAN

Śmieje się gorzko

Znam tę śpiewkę, o cudzoziemcze! Śpiewano mi ją na dziewiczym moskiewskim polu i śpiewał mi ją pan Zborowski jeden, drugi i trzeci. Huczy ta pieśń po wieżach polskich zamków, w obozie pana Sapiehy... Jam ją prostacko strzałami falkonetów u nagich granic ojczy-

zny zagłuszał. Umiałem ja dawniej na te piosneczki zagadkę rzucać. A rzadko który zagadkę umiał rozwiązać. Kto nie rozsypał, przegrywał, za karę szedł pod mój buzdygan bić się z wrogami ojczyzny na śmierć.

Nigdyś, o cudzoziemcze, za żołnierza nie służył w wieczystych legiach polskich, zbieranych źle, niekarnych, nigdy nie zapłaconych, obdartych... Nie wiesz, co jeszcze nadto – ponad posłuszeństwo i rozkaz – może być w człowieczej duszy i jakie jeszcze, za widzialnym niebem, może być niebo nad skrawkiem jałowej ziemi.

Nie wiesz, jaką cenę ma w duszy ściana ubogiego domu, komin i barłóg nędzarza. W barłogu często rodzi się dusza wybrana. A jak człowiek nigdy tak mocno nie nienawidzi cudzoziemca, jak nienawidzi podłego rodaka, tak znowu cześć dla cichych a wielkich w Polsce dusz za wszystko na szerokości ziemskiej starczy.

W nich to mieszka ojczyzna. Bywa tu, w Polsce, zamurowana dozgonna wierność dla przegranej sprawy, nie znana nigdzie na świata obszarze, uniesienie prawego serca, które jedynie w wielkim czynie widać, nie splamiony honor, sam siebie niczym, głodem ducha karmiący w podziemnych lochach nędzy bytu.

Rzadko to, rzadko...

Jako w zamku rozpustnym trafia się skarb w martwej i głuchej ścianie zamurowany, tak samo jest z Polski cudnymi duszami. A skarb zamurowany, o cudzoziemcze, za wartość zamku częstokroć starczy...

#### KRZYK TŁUSZCZY CIURÓW

Rabuj namioty!

Skarbne wozy rozbijaj!

Bierz, kto żyw!

Jedyna to chwila, gdy wypadł kiścień z ich dłoni, a żelazna ich pięść w udrczeniu osłabła.

Jeżeli w tej minucie nie porwiemy kryjomo, jeśli ich do ostatka z siodeł bojowych nie strącimy, jeśli im gardzieli osłabłych garścią nie ściśniemy potężną, a masą nie przygnieciemy kałużbów – wytchną znowu w tej chwili, ockną się jeszcze, wrogów mieczami roztrąca i na nowo nam piersi kolanami przyduszą!

#### GŁOS ZA ZASŁONĄ NAMIOTU

Wdeptywałeś pokolenie za pokoleniem w bajoro bytu. Chwalili śmierć, że kończy ponure dni walki podłej o jadło. Kładli się w glinę z pociechą, że nareszcie zaznają spoczynku i nie będą na ciebie pracować.

#### ODGŁOS ZA ZASŁONĄ NAMIOTU

A w którym z nich duch się niebiański widomie objawił, uczyniłeś zeń sługę swego konia i nagrodziłeś zaszczytem podawania przemożnej twej stopie strzemienia srebrnego.

#### ZWOŁANIE PIERWSZE

Urodziła mnie matka pod wiekiem dymu nisko nawisłym. Złożyła mnie matuleńka na miękkiej pościółeczce z żółtej gliny. A otulała mnie – żebym ku pańskiej stracie nie uświerkł – łajnem bydląt. Grzał mi stopy przemarzłe nawóz koni rycerskich, a grzbiet schylony – basior podstarościego.

## ZWOŁANIE DRUGIE

Świecił się jasny miesięczek, kiedy mi ojca wbili na pal za to, że panu, wstawszy spod batorów, w ślepią plunął. Ojca mojego rozwarła gęba łykała światło miesięczne przez całą noc. A ja się patrzył, sierota, a ja się patrzył, da-dana!...

A ja się patrzył i wtedy, jak mu się światło w skostniałych wreszcie oczach odbiło.

W zamku wysokim grała w tę noc panu wielka na wiwat muzyka, wielka muzyka – da-dana!

## ZWOŁANIE TRZECIE

W żołnierze mię zwerbował kapitan z lochu, gdzie my z ojcami w smrodzie i zimnie zdychali.

Jakich ziem nie deptała ma stopa, jakich miast nie burzyła prawica, jakich siół ogniem wniwecz nie puszczałem w zagony! Perzyny za mną szły jak cień. Nie zestarzał się u żłobu mój wierny koń. Jednych ścinałem, drugich mordowałem powoli. Tego nie wiem, o com się bił i przeciw komu. Biłem się dzielnie i wypaliłem siedlisk niemało, żeby jegomość mojej roty kapitan więcej

mógł zedrzeć i złupić. Patrzyłem, jak w jasyr gonią ruskie i polskie wsie, jak chłopstwu zbuntowanemu nos i uszy, a kniaźskim pachółkom jeno uszy obrzynają... Hej, ludzie! Nie ma żołnierz ludzkiego serca. Kamienne serce włożyła dola w piersi żołnierza na wieki wieczne!

## ZWOŁANIE CZWARTE

Przez cały żywot kopała moja matka nieczulą ziemię.

Dlatego kopał ją ojciec, żeby pan owoc z niej jadł soczysty.

My zasię żuli łodygę i korzeń.

A jam roztropny nie kopał ziemi.

Jam się u pańskiej nogi skulił jak pies.

Skomlałem mu pochlebstwa. Wielbiłem wszelką chuć pana.

Oblazła mnie podłość udawania i przechadzałem się, jako w odzieniu, w wiecznej podłości.

Zgiął mi się grzbiet od nazbyt długiego pokłonu.

Teraz się odegnę.

Stanę się nareszcie prosty.

Spojrzę mu w oczy swymi własnymi oczami, gdy pokruszone są jego ostrogi, gdy zdjął z ran skrwawiony pancerz.

Pchnę go teraz nożem w struchlałe serce.

## ZWOŁANIE PIĄTE

Siostrę moją jednorodzoną, dziewczeczkę wielce nadobną, w siedemnaści leciech wypatrzyło bogobojne oko, jak kostki z nietoperza po kryjomu dobywa, kreta piastuje, a jaszczurkami płodność odejmującymi się zabawia.

Wnet – rata! – w całym pospółstwie w mieście a na przedmieściu. Siostrzyczkę moją, nowicjatkę szatanową, processiorcaliter przed pana wójta i rajców na ratusz wiodą. W loszku górnym, białogłowskim, ratuszowym, umiejętnie przez mistrza na tormentach ciągniona, zrazu strach błady i drzenie wielkie za szatańskim sukursem na mistrza i urzędniki jego przepuszczała – nadto milczenie sobie zatwardziała, na mękach srogich leżąc, sprawowała i umy-

sły przedziwną sztuką odmieniała sędziów. Aliści subtelnie, zwłaszcza szydełkiem, spraktykowana, kajając się szczerze, szatana, magisterka swego, odstępuje i dobrowolnie przy wszystkich jaszczurcze winy wyznaje. Pytana, czy prawda, szczerze a sumiennie przytwierdza, jako:

zwiedziona od latawca szkaradnością się z onym mazała;  
chmurę na sobie czarną wzdłuż ciała mieć lubiła, który obłok po sprawie ku górze na powietrze się wznosił;  
succuby z onym anulusem szpetne płodziła;  
na mietle po powietrzu hasała;  
miotłą kropiąc, deszcz na ziemię trzęsła;  
grady i powietrze szkodliwe z pioruny i błyskaniem poruszała;  
piorunami ludzkie cnotliwe razila;  
dziateczki nienarodzone w matek żywocie dotknięciem życia pozbawiała;  
igły w główki niemowiatek wtykała;  
małym dziecinom rączki urywała, szatanowi je ofiarowując;  
konie ogiery pod rycerzami wściekle czyniła i zabijała;  
w kota się tudzież w mysz przemieniała;  
z noża mleko doila;  
masło majowe z deszczowej wody kleciła;  
sprawy, których nie masz, przed oczy niewinnych młodzieniaszków, czarami usidlonych, jako sprawy, które są, stawiała, iż miłością ślepą ku onej zapaleni od rozumu swego odchodzili i nic innego jeno samą sposobem wieszczym widzieli;  
duchem swoim męża godne częstokroć kusiła, iż od ckliwości zwyciężeni ku onej z dala ciągnęli.

Którym jawnym przyznaniem sprawiedliwość się sądu ukontentowała i wszystka ludu ciżba.

Więc katedralnie siostrzyczka moja niecnotliwa, kłątwa opatrzona miłosierną ze świec połamaniem, mistrzowi jest w ręce oddana.

Tedy mistrz prawy, magisterka i wieszczego ducha ze statki swoimi adwersarz srogi, wywiedzie one, z szatek białogłowski wstyd chroniących zwleczoną, za miasta mury, któremu mistrzowi lud sprawiedliwością pałając słusznym urąganiem i śmiechem trafny, naigrawaniem, szydnością a zgrzytem na siostrzyczkę moją, szatańską oblubienicę, wielce pomaga.

W jamę mistrz głęboką, od drabów pilnie wykopaną, latawcową gamratkę, z powrozów statecznych rozwiązaną, pięścią strąci mocarną, a plugastwo jej ziemią nieszczędnie przywalać pocnie. Czemu pospólstwo cnotliwe ile sił, a wszakże wedle reguły od mistrza wskazanej, poratunek niesie, kamień na niecnotę i one skiby gliny pracowicie miotając. Próżno latawiec, jako to na oczy wielu widziało, nad jamą nietoperzem krąży, ziemię na fryjerce wstrząsa i glinę nad wypowiedzenie ciężką z niej dźwiga – to jej ku nozdrzom powietrza podsunie – to krzyk z niej żałościwy wypuści – powiek jej uniesie, rękę z błaganiem udźwignie ku ludziom...

## RYCERZE

Mocny hetmanie! Wstań;

Prawa dopilnuj! Czyś słyszał zgrai ten krzyk?

Skarbne wozy zakują, z siodeł strącają wojenników, co od męki konając stoją w nocy na czatach. Karzmy srogo zbuntowaną czerń!

Ścinajmy nikczemne łby bez litości, gdyż rozpleni się złe na motłoch cały, zgnoi nam lud! Wypełmy bunt, gdyż zginie od zegadeł ojczyzna!

## ZWOŁANIE SZÓSTE

Przeklinajmy ich pokolenia, żeby się przenigdy dusza ich odmienić nie mogła!  
Nienawidźmy ich, obozowi towarzysze!  
Nienawidźmy ich po nocy, za dnia, z wieczora i o poranku, kiedy chrapią po uczie!  
Czekajmy!  
Czyhajmy!  
Gotujmy w rękawie cios za matki nasze, skopane ich żelaznymi butami!  
Nadejdą na nich jeszcze gorsze chwile.  
Nadejdą chwile, gdy ich obskoczy i zmoże wróg.  
Nadejdą chwile, gdy ich nieprzyjaciel położy.  
Nieprzyjaciel ich – to nasz przyjaciel, sojusznik zemsty naszej.  
Ich sprawa – to sprawa nie nasza.  
Tylko cichaczem, tylko razem, tylko tłumem, obozowi towarzysze!

## RYCERZE

Mocny hetmanie! Ratuj sprawę!

## HETMAN

Ucisź się, obozie polski!  
Słyszałem był okrzyk rotę świętę w podziemiach Colosseum.  
Daj mi przypomnieć, szaleństwo polskie, tekst okrzyku świętego, gdyż roztrzaskana jest głowa moja, a myśl w niej płomieniem gore!  
Na twarz przed tobą upadam – szaleństwo polskie...  
188  
Daj, niech ucichnie w duszy mojej gniew. Ma złożyć dusza moja najtrudniejsze, przypowiednie  
słowo, ma ze siebie wydać uniwersał złoty do wielkiej polskiej legii...

## GŁOS W GŁĘBI NOCY

Nie waz się uroczym słowem podniecać człowieka przez ludzi podeptanego do bohaterstwa czynu. Sam umrzyj, jeśli wola. Pokaż przykład, jak bohater powinien umierać.

## ODGŁOS Z GŁĘBI NOCY

Jakże nędzne są dłonie spoczywające w bezpieczeństwie namiocie, gdy na odwagę idzie i śmierć ponosi bohater, któremu przyłbicę Aresa z czatującą chimera złoty uniwersał wdzieje na skroń!

## COLEONI

Hetmanie!  
Krzykiem nocnym pogardzaj.  
Kto buduje Malpagę, zamek wielkości, co pod gwiazdy wynosi wieże uniesienia człowieka, musi rzucać w mur bryły wyrwane z trzewiów gór.  
Nie bohatera otaczaj pieczę, lecz sprawę.

Przyda się zawždy ludzkości bohaterstwo, choć stokroć opryszek je skradnie i suknię sobie zań złotem tkaną kupi.

Korzystaj z bohaterów, jak ze złomów głazu leżących w górze ludzkości.

Jeśli ty skonasz w rzedzie lakonów, któż sprawę wykonaniem spełni? Rozpryśnie się sprawa wielkości w wydmy piaszczyste, rozpląszczy się w niziny zarosło trzcina.

Przez dziedziniec wawelski hetman w nocy przechodzi.

Nogi jego jakoby kosą podcięte.

Serce ustało.

W kościach czaszki myśli ogniem goreją.

Księżyc świeci na niebie.

Cisza w zamczysku.

Ruina wszędy.

Pustka głucha.

Echo przedrzeźnia każdy krok.

Każde westchnienie z kątów odrzuca i – wyśmiane – kamieniem w ucho ciska.

W podziemia na lewą rękę wziął się wódz, w krużganki wysokie wstąpił po schodach kamiennych.

Ciemnymi korytarzami, szlakiem młodości, drogą omacną idzie w mroku ociężale.

Na dół go wiedzie kamienny chodnik – w górę zmusza dźwigać stopy.

Wreszcie u ślepego końca – drzwi – w głuchym murze.

Uderza dłoń w okucia raz, drugi raz i trzeci.

Serce w piersiach kolące jako ta ręka w królewskie drzwi.

Nierychło szczęką zawory – zazgrzyta rygiel rdzawy.

Znowu sień głucha, której przesywający oddech pleśni wieje jak ze sklepów grobowych.

U końca sieni – nareszcie – owe zamczyste, znane, cedrowe podwoje.

Rozwarły się same przed gościem – cicho – wraz.

Sklepienia, głucha, wielka komnata.

W gotyckie okno księżyc świeci.

Na kamieniach posadzki smugi leżą świetliste.

Mdłe światło w srebrnym naczyniu połyska.

Pustka.

Cisza.

W głębi, pomiędzy dwoma filary z białego marmuru – na wieszaniu szkarłatnym – stolek...

Postać...

Światło miesięczne, z okna spływając, na czarnych, kędzierzawych, krótko strzyżonych włosach Lśni.

Płaszcz długi z jasnego atłasu grubymi fałdy spada na ziemię w blaskach łamanych.

Sandał czerwony przerywa świetlistą strunę poświaty.

Drzwi się zatrzasły.

Radość senna w sercu hetmańskim, radość głęboka, niewysłowiona, radość kresu.

Oto już przyszedł...

Patrzą weń nieruchome królewskie oczy. ' Spojrzenie ich żelazne, surowe, posepne.

Królewskie oczy widzą szmaty splekanych w boju łachmanów, podarty pas, rude od zaschłej krwi, kurzem przysute szczątki zbroi, rzemień, co w spuchło nogi wrósł – miecz u boku potrzaskany – odarte pierze kołpaka.

Od okrucieństwa zamigotały króla Stefana srogie oczy.

Martwa twarz krwi się powlekła rdzą.

Nielaska okuła usta.



Milczy.

Spod nawistych głucho powiek w ukos na ziemię spogląda.

Wybuchnął – HETMAN – w stówie:

Wodzu niezłomny!

Do ciebie gnał, do ciebie nocą, co koń skoczy. Daj twardy rozkaz.

Spracowana moja głowa ostatnio zgubiła myśl. Siła zetlała w rękę.

Któż przybrać zdoła munsztuka plemieniu temu? Kto strzyma na wędzidle tę wykielznaną samowolę? Wysiepał wszelkie wodze z rąk ten szalony panów lud. Na kiel wędzidło wziął i w przepaść poniósł bezdenną. Sądź mnie, wodzu! Karz mnie! Jam winien.

Jam taki sam jak wszyscy oni. Karz mnie, na co jeno twe serce stać! – Milczy król.

Oczu od kamiennych nie oderwał płyt. Nieruchoma, zawzięta jego twarz rmyśli skrytej nie wydaje.

O krok posunął się – HETMAN – W słowy:

Przyszedłem do ciebie na sąd.

Sądź, lecz daj radę.

Zanoszę skargę na wszystko, lecz za wszystkim się wstawiam.

Wszystko sądz, któryś jako orzeł karpacki z wysoka na nas spoglądał.

Pozwól, niech ci zdam sprawę.

Skinienie królewskiej głowy.

HETMAN

Służyłem ci wiernie, przysięgłe, ja, żołnierz stały. Dla ciebie – siebiem się zaparł. W tobiem zobaczył szczęście polskie, ojczyznę naszą.

Tak, jakoś rzekł, wierzyłem: – „Moja chwała – wasza chwała, a wasza chwała – moja chwała”.

O, wielki śnie, wielki śnie polskiego rodu!

Rado nasza!

Rozumie nasz!

Ramię spizowe, któreś nas miłością objęło i chciało dźwignąć na kapitolijną górę potęgi.

Jam już ostatni z rady twej sekretnej, do której z nas, Polaków, jeno czterech przypuściłeś.

Wniwecz poszły sekretne praktyki przez Andrzeja kardynała.

Sixtus Quintus Pontifex Maximus i król hiszpański Filip Wtóry, doża wenecki i wielkie książe tokańskie, a ty na czele trzydziestu tysięcy kopij, piętnastu tysięcy arkabuzów, pięćdziesięciu tysięcy pieszego żołnierza i wielkiej ćwiczonej strzelby.

Ty, wodzu, sprawiasz siły lądowe Europy, a książe Parmy rozkazuje morskiej armadzie i wszystkim morskim siłom płynącym na greckie piany.

Idziemy warneńskim tropem przez Wołochy, w ziemiach naddunajskich wrywamy zamki jako kły z paszczy tureckiej, w Serbach osadzamy w fortalicjach zbudzonych rycerzy Koso-wego Pola, którym słowiański przypasujem miecz.

Przechodzimy Dunaj mostami spięty i śnieżne kopy Bałkanu. Za nami plemię Serbów i plemię Bułgarów z martwych zbudzone – przed nami Grecji prastarej cheronejskie pola.

Szczęknąć tam miało polskiego konia kopyto, gdy idziemy grobowisko niewoli odwalać, a potomka Lakonów rozwiązać z łyka.

Wrzask trąby naszej zagrzmić miał nad wodami.

Nad Archipelagu zielonym morzem, między Tracją i Azji wybrzeżem, ponad Cyklady, Sporady, Salaminę, Eubeę i Samotrace paść miało nasze hasło.

Z Kandii, Lemnos, Samos, Chios i Rodos mieli uderzyć we wiosła galer greccy żeglarze, ku Bosforu dążąc cieśninie.

Tam sułtana ogrody chyżą stopą przebiega i zakratowane okna seraju herkulesową wylamią dłonią.

Mieliśmy tureckiego najezdnicę opugnować w jego siedlisku, gdzie się po skałach nad morzem cyprys kołysze – w sadach jego za wysokimi mury, gdzie pachną róże, fiołki i giętki kwiat hiacyntu.

Mieliśmy cześć powrócić świętym świata popiołom, a głos dać znowu greckiej mądrości, pieśni, legendzie.

Mieliśmy z Aji Sofii polskim szczerbcem ściąć półksiężyc, a z twego czoła, transylwański wojewodo, zmyć piętno hołdownicze...

Jam rady tej jak żywot długi na jedno nie zapomniał żrenicy mgnienie.

Hasło twoje i dziś hasło me: „We trzech dniach wojsko gotowe, a we trzynastu z wrogiem się ścina”.

Odemkną się – USTA KRÓLEWSKIE – i splywa głos:

Mów powieść o dobrej sławie swej.

HETMAN

Wszystka ma powieść – twej wielkiej pieśni odgłos powinny.

Gdy spod Połocka, gdy przez płomienie Wielkich Łuk posepnieś patrzył w bory dalekie i gdyś krótkie rzucał słowo, że na Carogród przez Moskwę wiedzie szlak wojenny – jam w duszy sepie twoje spojrzenie i twe skrzydlate, dziejowe słowo pod sercem chował.

Po nocach dumę snułem głęboką.

A każdą twoją sekretną myśl, czterem zwierzoną, do cna pamiętam.

Tyś dawno wiedział, że płaszcz Jadwigi królowej, w którego fałdach nasze dobro i Europy światłość leży, winien okryć zręby Rusi świętej, toporem Groźnego Iwana mocno ciosane – straszliwe rany jej i szeroko rozlaną kałużę krwi. Wodzu!

Otom był nareszcie rozkaz otrzymał. Pokulem konie, czeladź zwołałem ze wsi. Wozym naprawił i spod Smoleńska w mą drogę! Siedem tysięcy żołnierza było pode mną. Gorąca lipcowa noc.

Przez Carowo Zajmiszcze, Borysa cara groblą szeroką ruszyli moi rycerze.

Grobla carska szeroka: sto koni na czoło idących zmieści.

Na falkonetu strzał za stawiskiem grodek stał bukowy Wałujewa Hrehora.

Cna bitwa piesza wstrzyma mię dzień – gracka utarczka – po której na wielką mozajską drogę! Gródek Kozaki obsadzeń.

Przeciwno mnie książę Dymitr Szujski, Wasyla brat samego, okólną drogą, na Kłuszyn, groźnym ciągnął pochodem.

Wojsko z nim straszne, wszystka ruska siła. Karolusa Sudermańczyka przy nim rycerze, za srebrny rubel najemnicy: Jacobus Pontus, Krzysztof Szumm i Edward Horn.

Od Rżewa tamci na mnie szli.

Wilków i hien cudzoziemskich – Francuzów, Niemców, Anglików, Szkotów i Szwedów niemała pod ich buławą colluutes.

Więc padnie – oczywista – w szeregi moje szarańcza szeptu i szerzyć się pocznie sława, że świat mi zmierzi, skoro tę garstkę szlacheckiej krwi rozlać zamysłam pod kopytami tak przemożnego nieprzyjaciela.

Dawno – wodzu – gorzkim poznałem rozmysłem tę duszy polskiej cechę główną, że ją je-  
no eventus dobry przekonać zdoła o dobrej sprawie.

Więc miałem w sobie rzecz zawartą – z Moskiewskim szczęścia skusić.

A skupiał, skupiał roty swoje książ Dymitry.

Podeszło k'niemu francuskie wojsko Hornowe.

Podszedł agmen Pontusa.

Wszyscy wraz od Carowa Zamiszczu pociągnęli u Kłuszyna nocować.

Na godzin dwie przed słońca zachodem, bez uderzenia bębenisty ani nie trąbiąc, na piśmie  
do pułkowników rozkaz dzienny wysłałem.

Siedemset jazdy, królewską piechotę i zastęp kozacki, pohrebiszczanski do strzeżenia  
Wałujowego gródka zostawiam, a sam silenti agmine w ciemną noc!

Idziemy po rosach lasem kisańczym, głuchym ruskim ostępem mil wiele.

O ciemnej jutrzni strudzony hufiec mój stanął nad wojskiem nieprzyjaciela.

Śpiący był kilkadziesiątysięczny obóz Dymitrow.

Dwa falkonetki zawałyły naszą ciasną leśną drożynę.

A między puszcza naszą i wielkim ich obozem, gdzie spał Rusin, legły dwa sioła w po-  
przek, opłotkami powygradzane.

Musiałem naprzód płoty rozgrodzić a wioski spalić przed bitwą.

Gdy buchnął płomień, przecknie się wróg.

Stanął w sprawie pułk zborowski, Olesia Samuelowego – na prawym skrzydle.

Ku niemu przyrósł halickiego pana pułk, Strusia Mikołaja.

Wyszedł pułk podolski czcigodnego Kazanowskiego Marcina i Ludwika Wajherów, nad  
którym Samuel Dunikowski.

Z lewego skrzydła pomknął na czoło mój pułk, nad którym Janusz książę Koreckie.

W pośrodku roty piesze – kozactwo pohrebiszczanski.

Wskażę buławą!

Uderzył do potkania znak.

Wzięło szwedzkie, Pontusowe wojsko prawą – moskiewskie lewą rękę.

Książ Dymitr wiódł.

Wielkimi otwory, pomiędzy opłotki złamane, poczną wypadać nasze hufce.

A skoro poszli skrzydlaci w pełny cwał, we wszystek chorągwianny pęd – nie strzymała  
Moskwa razu. Uciekać!

Nasi gonić chmary rozpierchłe co tchu w bachmacie!

Lewe skrzydło weprze ostrogę, skoczy ze schyloną kopią w Niemców, Francuzów.

Dopadłszy – w nich koncerzami!

Z ramienia!

Poczną i ci w ogromny obóz tył podawać.

Uciekł Pontus i uciekł Horn.

Stał jeszcze z dala trzechtysięczny oddział francuski na skraju leśnym.

Ten się dał z dobrej woli.

Uciekł z obozu książę Andrzej Golicyn i Daniło Mezecki.

Sam Dymitr książę tyłami wioski przez środek obozu uszedł ku lasom.

Zbył konia w błotach, obuwie zrzucił i bosy, na lichej zagrodnika szkapie uciekł przez  
Możajsk do monasteru.

Pomknęły w trop usarskie roty w pogoń lotną, szybkonogą.

Siedem zdobyto falkonetów, kilkadziesiąt chorągwi, a wpośród nich Szujskiego adamasz-  
kowa.

Kniazia Dymitra wzięto szablę, szyszak, buławę.

Kosztowne sprzęty, srebrne czary, szaty, mnóstwo soroków soboli w namiotach znalezio-  
no.

Zaprzęga żołnierz polski moskiewskie kolasy i z łupem wraca niezmiernym.  
I uzbierało się kolas tych więcej niż wojska, które na mnie w przeddzień, że je zgubić zamyslałam, szemrało.  
W Możajsku, dostawszy butów i ścigłego bieguna, pomknie książę Dymitr przed siebie i nie oprze się aż w Moskwie stolicy.  
A na wsiadanych możajszczanom rozkazał, żeby u mnie łaski prosili.  
Więc wyprawili do mnie możajszczanie posły imieniem swym i zamków: Borysowa, We-rehi, Ruzy, z ofiarowaniem poddaństwa.  
Następnych dni poddał się grodek Wałujowy.  
Wiare królowi przysięgli tameczni ludzie.  
Przystali żołnierze grodkowi do wojska mego, wiernie służyli i nieśli do stolicy uniwersały pokoju.  
A na mej drodze pyłnej, dalekiej, ku Moskwie miastu – powzięło serce moje dumę niespaną o wielkim czynie!  
Och, gdybyś wtedy był siedział nad nami!  
Wchodziłem w pośrodek siół, pod kurne strzechy, w ludzki mir, za częstokół zamkowy, pod malowane cerkwi sklepienie, w zagrodę pustyni mniszej, w bojarских dzieci koło.  
Przysłuchałem się był skardze ruskiej i głębokiej, zawodzącej, żalosalnej pieśni.  
Deptał zorane niwy, potem skiby polane polski rezolut.  
Cerkwie znieważył i wylupił, zamki wylał i osiadł, w perzynę puścił sioła, w pustkę zagony.  
Ręką swą dusił mieszkańca tej ziemi unurzanego we krwi.  
Oszustwo w polskim orszaku, polskimi osłonięte szablami, wilczym skokiem wdarło się na czczony tron.  
A gdy oszustwo zdławiła pycha, pycha zniszczyła wszelką radę.  
Jęk wionął pustkowień pól.  
Trwoga gnała lasami bezdomne tłumy.  
Ciemny pogłos, szept straszący opętał rozum gromadzki.  
A płacz niedoli ludu omywał trudy zwycięskiej polskiej nogi.  
Serce moje skruszył żal.  
Głęboka litość do czynu mnie pchnęła.  
Rzekłem w duszy swej: „Pójdę w stolicę!”  
Krótkim kordem na gardle skarzę szalbierze, zmiążdżę pychę kondotierów, uczynię ład, wskrzeszę prawo – i na wieki zbratam tę ziemię olbrzymią z rodzoną ziemią.  
Ja spełnię – rzekę – coś zamierzył.  
Ja wykonam, co straszna twoja śmierć zniweczyła.”  
A gdy tę myśl głęboko w sobie ważę, przylata wieść, że wielki książę Wasyl Szujski z państwa zepchnięty i w Czudowym Monasterze na zakonnik ostrzyżon.  
Wówczas roześlę listy mnogie, nader mnogie, do bojarów, że idę do miasta ich nie jako nieprzyjaciel, lecz jak przyjaciel, nie jak stojący na zdradzie, lecz jak doradca, nie jako Łże-Dymitrowy poplecznik, lecz jako sędzia na Rostrygę.  
Zapewniłem słowem hetmańskim, że nie będzie ziemi ich deptał, niweczył, rwał złodziej tuszyński ani Sapieha, Zarudzki ani Lisowski, Rożyński ani Zborowski, Wiszniowiecki ani Tyszkiewicz.  
Moskwa nareszcie przed nami!  
Wyszli naprzeciwko mnie bojarowie.  
W obliczu Dziewiczego Monasteru na polu dziewiczym rozbito namioty.  
Dawszy zakładnika głowa za głowę, w równej liczbie jechali moskiewscy i polscy rycerze.  
Spotkawszy się na polu, pokłon sobie oddali.  
Zsiadłszy z kułbaki, powitali się dwornie.

Za mną, hetmanem, stali pułkownicy, rotmistrze.  
Ze stolicy przybyli kniaziowie: Feodor Mścislawski, Wasyl Golicyn, Feodor Szeremetiew i Danił Mezecki.

Z nimi dumne diaki – Wasyl Telepniow i Tomiło Ługowski.

Ci w namiocie zasiadłszy, solidarnie świadczą, że chcą mieć za cara Zygmuntowicza Władysława.

Tam się spełniła twoja myśl, którąś Haraburdzie polecał, żeby król polski siadł na tronie Ruryka.

(A za moim namiotem zmawiał się w chwili tej żołnierz polski w konfederację i jak w kotle kipiała sedycja wojskowa, gdyż nie miałem czym kwarty zapłacić.)

W ręce wydany mi został Wasyli Szujski, przeszły car, i bracia jego, Dymitr i Iwan.

Chciałem zaś jeszcze impostora w garście wziąć, z moskiewskiej ziemi wyrwać i wynieść.

Wonczas, zmówiwszy się z wodzami Moskwy, postanowiłem na tuszyńskiego wyprawę czynić.

Mścislawski kniaź z pułkownik! swoimi witał mię jak rozkazodawcę-prawitiela, w tej naszej wspólnej sprawie.

Nie zawahałem się na Sapiehę i na braci tylu, co z łotrem poeta zawarli, miecz przypasać.

I przystąpiła do mnie polska Sapiehy cnota.

Odszedł złodzieja.

Wyszło trzydzieści tysięcy bojarskich dzieci z Moskwy w pole, a moje wojsko polskie weszło w stolicę.

A Moskwa była pusta.

Zamki jej bez obrony.

Mogłem zamki zdradą osiąść.

Lecz skórom słowo dał, więc przez bezbronne szedłem miasto i nie zająłem zdradą stolicy.

Powziął wiadomość carzyk tuszyński, że nań ciągnę z Moskwiczinami, i uciekli z panią swą, z Maryną.

Pomnę ucztę na polu dziewiczym, którą dla bojarów sprawiałem.

Dary im dałem, wszystko, com miał, konie i szable, zbroje i czary.

A gdy zabrakło darów cennych i gdym ze siebie zewlókł pas – i dał, brałem z rąk braci, co kto w obozie miał.

Szczodrze my przyjaźń zawierali. A we dwa dni Mścislawski kniaź gościł nas w domu swym – miodem prastarym nas poił, darzył bez rachuby cennym sobolem.

Wtedy na imię cara Władysława dawać się jeły zamki i krzyża całowaniem składać wierności przysięgi: – Nowgorod Wieliki, Czaranda i Ustiug, Perejesław Riazański, Jarosław, Wołogda, Bielőziero i wszystek olbrzymi trakt ku portowi archangielskiemu.

Przysięgła mu riazańska ziemia aż do Niżniego Nowgorodu, Kołomna, Tuła, Sierpuchowo, ziemie nad Wołgą i nad Oką.

Na usilną prośbę bojarów cicho, ze zwiniętą chorągwią zajęły wojska moje Moskwę miasto.

Pułk Aleksandra Zborowskiego stał w Kitajgrodzie, pana Kazanowski i Wajherów w Biełgorodzie.

W Dziewiczym Monasterze – Aleksander Gąsiewski. Jam zasię stanął w Kremlu, we dworze Borysa cara Godunowa.

Klucze od wszystkich bram białokamiennych w mych były ręku.

Drogi z Wołogdy, z Jarosławia, z Kołomny były w mej władzy.

Miałem w dłoni swej skarb carów moskiewskich i skarb ich carstwa.

A wysiliłem wszystką praktykę i rozum cały, żeby pozyskać to plemię.

Schyliłem się aż do ziemi przed wiarą ludu, przed obyczajem, przed patriarchą przestarzałym, nieufnym. Zjednywałem dobrymi sposobami wojsko strzeleckie, dzieci bojarskie, kler i lud czarny.

A gdym za dnia i po nocy rozplątywał supły i węzły przez pana Mniszcha namotane, gdym rozwiązywał pętle stryków pana Sapiehy, Lisowskiego, Wiszniowieckiego i tylu innych – widziało mi się, że ręce moje wspiera przedziwne pocałowanie dziesiątków, setek lat...

Widziało mi się w omdleniach duszy, że na mą pracę bezsenną czyhają jęki więzień głębo-  
kich, że za nią wzdychają drogi jakowychś straszliwych pochodów.

W nocach drżała dusza moja, abych nie ustał przed krzykiem jakowymś głuchym...

Scichł, złagodniał, zmałał, moskiewskiego ludu gniew.

Skłonił ku mnie ucho mir.

Patrzył mi w oczy wszystkim naród: wróg-li jestem, czyli zaiste przyjaciel w niedoli.

Zamilkł sam podejrzliwy patriarcha.

Tak wielki trud, tak bezcenny mozół rękoma w samotności tworząc, serce ścierpłe w piersi dźwigałem, bom już za sobą dobrze czuł polski nasz gwar rozjuszony.

Musiałem, wodzu, z pośrodku pracy z Moskwy iść żegnany błogosławieństwem – pytać się, czy chcą panowie rada mą sprawę zgodą zatwierdzić.

Byli przecie przy Zyguncie królu panowie Potoccy – pan Jan braclawski i Stefan, kró-  
lewski zauszniak.

Żeby zaś wszystkiej sławy nie pożarł, zdało się panom Potockim, żeby lepiej z moskiew-  
skiego zamysłu nic nie było.

Wiecem do Moskwy więcej nie wrócił.

Miasto przymierza wiecznego – przepaść się, zemstą przenigdy nie nasyconą huczącą, rozwarła.

Ja na te pola posłany dzikie, z garścią zbuntowanego żołnierza przeciw wszystkiej turec-  
kiej potędze.

Ręce królewskie splecione. Zwisła posepnie głowa.

Wzniesie – HETMAN – raz jeszcze głos:

Tyś jeden, wodzu, mocen był za ramiona porwać ich ducha i trząść, iżby się opamiętał.

Tyś czekaniem bez wahania ciskał w łeb rozjuszony.

Tyś w senatorskim płaczącym kole w Warszawie sądu na zdrajcę pałasz wyrwał po słowie  
zuchwałym Ossolińskiego.

Tyś się, przychodniu, nie uląkł rzeczy straszliwej: – z ramion strącić Zborowskiej głowy,  
wziąć jej za włosy bujne i w nie same, w źrenice wolności polskiej głowy dotąd patrzeć, aż  
przed spojrzeniem cudzoziemskiego twojego prawa na śmierć struchlały.

My zaś wszyscy, szlachta, jesteśmy ludzie wolni.

Każdym z nas rządzi jego samowola, a nami wszystkimi rządzi pogłos tłumnej Zgody.

Wśród nas zasiada niewidzialna nasza wieczna królowa Zgoda.

Ona jedna trzyma nas i w naród spaja.

Kto naszej królowej Zgody pojąć nie może i uznać nie chce – nie jest Polakiem.

A Zgoda nasza narodowa jest w tym wszystkim, co ani jednemu z nas w niczym nie wadzi,  
ani jednego z nas na nic nie naraża, a wszystkim nam korzyść przynosi.

Na to jest nasza pospolita zgoda.

Tę okrzykujemy dziarskim, tłumnym pokrzykiem.

Wszystko, z czego wyrastać ma poświęcenie, wszystko, co się będzie sprzeciwiało które-  
gokolwiek z nas korzyści, wszystko, co by stanowić miało wielką odmianę starodawnego  
dopasowania każdego wygody do wszystkich zgody – to my zdeptujemy tłumnym pospól-  
stwa naszego krzykiem i niszczymy ze zdrową pasją.

Oto jest sekret bytu tej Rzeczypospolitej.

Myśmy, szlachta koronna, tę Najjaśniejszą Rzecz stworzyli.

W nas ona jest rozpuszczona.

Myśmy, szlachta koronna, w zdrowiu swym rozpuścili moc królewską i my także rozpuścimy w sobie ogrom tej mocy czarnego motłochu, który mię we śnie straszyl krzykami.

Nasz sejm jest niewątpliwie stolicą sprawiedliwości i wolności.

Kiedy się wzruszy senatorska izba albo rycerskie koło, kiedy na skutek czyjegoś natchnienia porwie nas uniesienie gromadzkie, paść może prawo niewiadome, jakiego nie widział orbis terrarum.

Możemy wszyscy co do jednego korzyść ujrzyć w wyrzeczeniu się dla ojczyzny ostatniej koszuli i ostatniego pacholęcia.

Możemy, jeśli zechcemy, na takim akcie pieczęć naszej zgody położyć.

Na piersiach każdego z nas, ludzi wolnych, leży prawo nowego porządku, pod którego złotym ryngrafem bije bezpiecznie serce złotej wolności.

A ja oto przyszedłem wzdychać ku twojej, Bolesława Chrobrego, nad nami samowoli i żelaznej przemocy...

KRÓL STEFAN  
głośno się śmieje

Wzdychać przychodzisz, wierny żołnierzu...

HETMAN

Prawdę powiem!

Szalone były moje oczy od widoku tej krwi, co z Samuelowego rzygnęła kadłuba, gdym na cios miecza z blanki patrzył, a głowa ta trzykroć skoczyła ku stopom przemyskiego starosty...

Zetnie szlachcic szlachcica, najdzie dworzyszczę, zrabuje zamczyste komory, rozmieście sieroty, lecz niedotykalną i niedotknioną szyję pańską pod goły miecz hajduka na pniaku położyć!...

KRÓL

Na tom ja przyszedł.

Z sułtanowego hołdownika waszym się, ludzi wolnych, stałem królem.

Poznałem cenę waszą.

Skoczyłem w nurt waszego szaleństwa, skąpałem się w radosnej jego toni.

Dotknąłem stopami dna.

Ujrzałem wasze dno.

I poczułem się w duchu, że ja was wyrwę z otchłani.

Stanąłem z waszą duszą o nią do boju, jako Jakub z Aniołem.

Wdeptała wasza masa trupa mego w ziemię.

I osinowym kołem piersi upiorowi przebodła, żeby już przenigdy zamysł wielkiego czynu wśród was nie powstał.

Słysząc gwałtowne, ciężkie, zuchwałe kołatanie w tajne małe drzwi w głębokim murze. – Drzwi się z trzaskiem, rozwarty.

SAMUEL

Na sobie ma żupan z materii złotej. Smugi i pasy krwi we wsze strony od szyi na żupanie zastygły. Przewiązany jest na biodrach chustą z kaszmiru. Na żupanie ma wdzianą szkarłatną z aksamitu ferezją, rysiami podbitą i bogato obłożoną sobolem. Brzeg dołmy tej, cały zwalany we krwi, po ziemi się wlecze. Widmo olbrzymi katowski miecz oburącz ciągnie. Udźwignęło miecz i z zamachem ciśnie go pod stopy szkarłatne króla. Z łoskotem, szczękiem upadł miecz.

SAMUEL

Odnoszę ci trofeum twoje, Jakubie...

HETMAN  
z krzykiem

Nie tyś jest Anioł!

SAMUEL

Aza – ty, nocny, kanclerski ceklarzu?

HETMAN

Po rozkaz, po rozum, męstwo i radę przyszedłem do króla! Krótki jest mój czas. Odejdź! Musi we mnie ducha swojego tchnąć wódz, gdyż przepaść się otwiera!

SAMUEL

Splamiłeś polską godność. Cuchniesz z dala zaszczytami. I to ty chcesz połknąć wszystkę duszę królewską? Umiałeś dawniej cichaczem podchodzić w nocy pod dwór szlachecki uprzywilejowany, gdy wszystkim spał.

HETMAN

Tak jest. Podszedłem cichaczem w nocy.

SAMUEL

Tyś jeden wiedział najlepiej, jak tylne wyrąbać drzwi, które do sypialni się włamać.

HETMAN

Tak jest. Do sypialni się twojej włamałem.

SAMUEL

Rycerzu do wiązania postronkiem nagiego męża bez broni! Słyszę jeszcze ten krzyk, że Oleś, synaczek mój, zabit przez was, zbiry, po nocy! Och, gdyby nie ten krzyk, który mi serce obcęgami ukąsił, jeszcze bym był nagi z ukrycia na waszą wyszedł zgraję! Jeszcze byście, królewscy dorobkiewiczze, poznali moje szpony zborowskie!



HETMAN

Pozwól mi pilny rozkaz otrzymać! Koń mój rży!

SAMUEL

Nie masz sprawy pilniejszej nad moją, bo krew z mego kadłuba płynie i płynie bez końca. Tyś to na mnie z blanki patrzył, gdy mię na śmierć z izby przedzgonnej wiódł Urowiecki. Delią tę ze mnie zdejmować chciał pan brat Drohojowski, żeby mi lżej było na pniaku głowę kłaść – a tyś się spokojnie patrzył, kanclerski zauszniuku!

HETMAN

Zdrajcą byłeś ojczyzny.  
Pod Toropcem zmawiałeś się z Moskiewskim.  
Niżowceś na ojczyznę sposobił, poprzedniku Nalewajka, żeby się trójcy waszej: Krzychnikowi, Andrzejowi i tobie samemu przydały.  
Łupileś prywatne domy.  
Napadałeś na drogach i gwałciłeś niewiasty.  
Zhańbiłeś prawo gościnności podłą krzywdą cudzoziemca.  
Króla znieważyleś panującego.

SAMUEL

Kto jest król? Z mojej tu zasiadł woli. Jam go na stołku polskim posadził, sultanowego hołdownika.

Wyższa była potęga zborowskiego domu niż wszystkich jego wojewódzki tron.  
Nie schyliłbym przed nim i dziś mojej przez braci kochanych do kadłuba przyszytej głowy, gdyby nie to, że się przez śmierć ze mną i z tobą zrównał – boś i ty już tak jakoby beze łba...  
Radźmyż tedy, towarzysze, tajna rada!

Schyla się HETMAN. Podnosi katowski miecz. Oda królowi. Na wielkiej, krzyżowej głowni oparł spokojnie król Stefan ręce. Patrzą w Samuela głuche jego oczy.

KRÓL  
rzecze

Ja się tego miecza nie lękam.  
W herbie noszę znak: wilcze kły.  
Nie brakło mi władzy ni szczęścia w słonecznej mojej ojczyźnie, zanimem na tę ziemię przyszedł.  
Patrzałem z dala na dzieje waszych wyuzdań.  
Zostałem przez was wezwany na ten tron.  
Przyszedłem.  
A skórom wdział na skronie bezcenne diadema i prastary na się strój polskich królów – jam był wasz król!  
Mój się stał rozkaz i sceptrum nad wami.  
Nie wasz rozkaz nad moją wolą.

Powziąłem był cudowny o was sen, któregoście sami wszyscy razem nie wyśnili.  
Widziałem był plemię wasze zwycięskie i dobrodziejskie.  
Przez Moskwę chciałem iść na waszym czele w Carogrodu bramy.  
Chciałem Europy dobro waszymi rękoma wciągnąć przemocą w puszcze Rusi – królowej  
Jadwigi płaszcze swobody rozpostrzeć po łądach, między morzami.  
Chciałem chwały waszej drzewce wywyższyć nad wszystkie świat.  
I oto zajrzałem w ślepie waszemu losowi.  
Przyjrzałem się doli waszej.  
I pokochałem się w doli waszej.  
Jam jeden, przychodzień, ujrzał wszystkę waszą polską niemoc, czego sami wszyscy razem nie widzicie.  
Ujrzałem pod złotym ryngrafem ranę, którą ujdzie was krew.  
I zapragnąłem podać wam kordiał ratunku. Tyś mnie, waszą moc, wyzwiał, synu złotej wolności rozszalały, a jam cię przez katowskie ręce ściał.

SAMUEL

Nadymasz się bezsilnym jadem przeciwko mojej potędze! Jam był u siebie.  
A takich jako ja, prywatnych osób. Rzeczpospolita jest ogromna.  
Tyś tu – kto?

HETMAN

To jest nasz wieczny król!  
Prawo nasze, rada nasza, moc i honor, powróż, który nas w naród wiąże. Tyś jest banita!

SAMUEL

Ja? Ze Zborowa, z Rytwian, z szydlowieckiego zamku, z Oleśnice, ze Staszowa, ze wzgórz moich kurozwęckich, z nad rzeki mojej Czarnej, z lasów moich ku Połańcu, jam banita? Cha – cha – cha!

Śmieję się z was!

Gdym we trzysta koni ku Krakowu jechał, podcierając ku osiedlom, gdzie nocował Wielki Kanclerz, takem się oto z was wszystkich śmiał.

Wielki Kanclerz siły polskiej w Sandomierzu, to ja nad nim w Zawichoście – on w Opatowie, ja w Ossolinie – on do Krakowa w drogę, ja odeń o milę, o pół mili nocleg zakładam.

On do Proszowic, a ja do Piekar.

Po swojej jeździłem ziemi!

A ona pod kopytami mych koni radośnie pojękiwała i do mej duszy śmiechem matczynym mówiła.

Król zza karpackich gór, z łaskawości mojej osadzony w Krakowie, miał mnie, Samuelowi, zabraniać być pod Zborowem i na staszowskich drogach, gdzie wszystko moje: – połysk Wisły w oddali i sine lasy, i łęgi me ku Wiślicy?

Trawy moje młode, w podwiośnia na pochyłych z góry zborowskiej błoniach ku rzece-matce, lasy moje sennie kurozwęckie, rytwiański mój bór, stawy moje oleśnickie!

Tam ja wśród nich, w strzemionach, na łęku urosłem...

Tamem wilka miał w ostępie, kordelasem rzezał dzikie odyńce i lotnego ściagał jelenia.

Dom mój, ród mój!

Moja jest ta ziemia polska, moja własna, Samuelowa, na wieki.

Do mnie jednego należy!

HETMAN

I moja jest ta ojczyzna!

Do mnie jedyne, tak samo jak do ciebie jedyne, należy.

Jam ją tobie wydrzeć musiał ze szponów. Bom jest urząd ojczyzny.

SAMUEL

Toteż my chcieli, bracia trzej, wyjść z tej, skoroś tu siadł, ziemi i gdzie indziej szukać króla wdzięcznego – gdzie indziej ufundować zborowski dom. Chciałem

w słoneczną włoską stronę obrócić końskie kopyto i tam zapomnieć o cuchnącej waszej ze mną równości.

Każdego miałem tu czcić, kto jeno polskim gada słowem.

Każdy mi pan brat czcigodny, chociażby niewart był, żebym go pięścią pchnął.

Każdy niktzemnik, zbir, nędznik, podchlebca, fundujący swój dobry byt na wychwalaniu gromadzkiej głupoty, każdy tchórz, chowający się w motłoch jak w futro przed zimnem ostrego męstwa, przed samotnym wystąpieniem, dlatego miał mi być czcigodnym bratem, że nędzę swojej duszy w polskiej objawia mowie!

Gardziłem nędzą i tchórzostwem w was i wyzywałem was wciąż z pośrodku tłumu na ostre.

Stawiałem moje drzewo w szrankach z wyzwaniem.

Wyście mnie pokonali nie bronią równą mojej, lecz niktzemnymi powrozami i jakimś waszym sądem.

Prawdę mówisz: gdybym się był znudził do cna waszą nędzną demagogią padewskiej normy – waszymi kupami mazowieckiego mrowia, viritim na rozkaz byle czyj wrzeszczącego – waszą posturą zleniwiałą, noszącą u boku oręż, a uciekającą od placu boju...

byłbym może przejechał się po waszych wsiach w kozackim moim zastępie.

HETMAN

Wyrzekłeś, Coleonie, któremu szatan wyłupał mózg!

SAMUEL

Szlachetnie zrodzone ciało moje miałożby cierpieć tu cudze okrucieństwo, gdzie od wieka Bóg ojców moich nad domem naszym, kuchnią wszystkich w Polsce chudych pachółków, czuwał?

Stara i starożytna familia nasza miałażby być bezkarnie zakrwawiona od miecza katowskiego?

HETMAN

Musi być między nami Prawo!

SAMUEL

Jam szukał prawa swej duszy między wolnymi Kozaki.

Rwałem ich za sobą w dzikie wyprawy po lądzie i po morzu.

Tureckie galery na morskim odmęcie czajkami osaczałem.

A zem nie schlebiał tłuszczy, z tego widać, że mię chciała, piasku za pazuchę nasuwszy, z dłońmi założonymi na grzbiet puścić na Dniepru piany, żebym popływał samotnie.

Zdychałem z mołojcami tymi z głodu, po kilka dni jadłem jeno zoładź, jeśli ją znalazł, zdybane w dzikim polu jelenie rogi i kopyta, co od kilku lat leżały.

Prawdę mówisz: kochali mię mołojce za wolność moją.

Węgierski Baalu, co się panem nazywałeś tak chętnie, choć nie byłeś panem z rodu, a wszystko sobie chciałeś przywłaszczyć – ja ci nie dam wolności naszej prastarej!

Gdyś głowę moją uciął, zdało ci się, że moją moc zakopiesz w ziemi.

Nie ściałeś wolności polskiej!

Twardy jest i bardzo gruby jej kark.

Groźbę cisnąłeś w kraj, że jeśli trumnę moją na sejm w Warszawy przywiozą bracia i w kole rycerskim wystawią – w Wisłę trumnę rzucić każesz...

Otóż ci mówię, obcy tyranie, że ani ziemia rodzinna mnie nie pochłonie i w sobie nie rozpuści, ani Wisły woda żywa z ojczyzny mnie nie wyniesie i nie wymyje. Na brzegu mię swym wystawi woda, bom ją z maleńkości miłował i rączynami pacholęcymi w nią płaskał.

Jam jest wieczny w ojczyźnie.

Na bystrym koniu mój trup upiorem po niej przejeżdżać będzie hardo, szumnie, szatno, strojnie, z tętentem, który zagłuszy każdy nie mój głos, z gromkim okrzykiem.

Wieczny będę miał poczet chudych pachołków, orszak hajduków, gromadę zborowskich sług.

Tak jakem wielkiemu Kanclerzowi zajeżdżał drogę, tak jakem każdą polską drogę swoją uczynił, tak samo, póki zechcę, czynić będę.

Każdą polską sprawę – swoją uczynię sprawą.

W każdej radzie zasiądę – ja wygnany – i jeśli przeciw mojej woli toczyć się zechce, spłaczę ją, zmieszam, zniweczę, w klótnię jednostek, w war ambicij, we wściekłą zwadę zamienię.

Tam, gdzie ma wola, obróćę krok.

Bo moje jest to królestwo.

Poza nim szukać będę sojuszu.

A jeśli zajdzie potrzeba, przeciwko niemu przywiodę obcego władcę.

Ty zaś na mnie, na Samuelowego upiora, nijakiej nigdy rady nie znajdziesz.

Bo jam jest jako wszystka Polska olbrzymi.

Aż przyjdzie moja straszliwa noc w więzieniu, aż przyjdzie mój całonocny płacz do samego świtania...

## KRÓL

Śni ci się w trumnie podły sen. Nadejdzie kiedyś inny, nie twój czas. Jam tu był dostał, oprócz doczesnej korony, wieczysty indygenat.

Ziemia ta moja jest także! Szczerby-m nie przydał polskiej tarczy.

Stałem u Gdańska na złotym piasku kaszubskim i piersiami wciągałem srogi wiatr morza.

Siadłem na wasz koń, szablę wziąłem, nabiłem armatę waszą ognistymi kulami i ostrzelałem granicę na Rygę, Połock, Psków.

Zajrzałem przez płonące zamki dębowe w najgroźniejsze od początku świata oczy, w okrutnika oczy wielkoksiążęce.

I zląkł się karpackich oczu moich.

Alem ja jeden drugą sprawił naszą polską rzecz.

Przyłożyłem pod Pskowem ucho do niezmierzonej ruskiej ziemi i wyczułem, wysłuchałem mądrość wielkokniaziową – cnotę Iwana Szujskiego, posłuszeństwo dla ojczyzny Szeremietiewa, milczące aż do śmierci, jako ta ziemia nieżywa.

I inny wtedy w moim orszaku duch, obok ciebie rycerz polski nowy na koń siadał.  
Zamilkł król. Na mieczu ręce wsparłszy w zadumie głuchej spoczął.

HETMAN

Samuelu!

Chustę ostatnią, od cara perekopskiego dar, we krwi swej namoczyć kazałeś, synowi przesłać pamiątkę. A syn, szaleństwo głowy twojej po obcych nosząc ziemiach, pod moją przecie przyszedł buławę i u mojego walczył boku w kłuszyńskim polu.

Uciszyć się, duchu!

Przez miłość syna rodzonego.

Niechaj przepada waśń zborowska!

Jam musiał.

Bez miłosierdzia hetmańską mocą wbijałem wywołańców na pal – Karwackiego, Kąckiego – ćwiertować kazałem na lwowskim przedmieściu Skipora i Borowskiego kniazika, ścinałem banitów, gdy się w kupy zjeżdżali i, przeciwko Rzeczypospolitej związani, darli mienie obywatelskie.

Jestem żołnierz ojczyzny...

SAMUEL

Jużem cię dwakroć pchnął oczami...

Pierwszy raz, gdyś do mej izby z wielkim Kanclerzem przychodził – szablę w ręku niosąc gołą, kiedym ja miał łokcie w postronkach.

Drugi raz w furcie tej, którą na śmierć się wychodzi.

Idź ode mnie.

Moja ostatnia noc!

Leżałem na ziemi krzyżem aż do godziny świtania.

Łamałem w ciągu nocnych godzin ręce bezsilne.

Strwożyło się ciało moje w tę noc i duch się we mnie po raz pierwszy przelał – nie przed śmiercią, bom w bitwach stokroć bywałem, lecz przede śmiercią haniebną.

Czyli ty wiesz, co słowo takie w sobie mieści?

Pociło się ciało moje, nieustraszone w zwadach, w walkach, w turniejach, w bitwach tyłu.

Darmom je tysiącokrotnie obcierał.

Skrucha zewnętrzna runęła na serce moje – podobnie jak burza sroga pada na lasy samowładne, na pola samym sobie kwitnące, na łąki bujne.

Jakowyś wielki płacz, na życie całe jeden, skruszył skaliste serce moje, porył je w skazy i rozsadził.

Lały się z oczu moich łzy, a wypłynęło ich tyle z oczu oślepiłych od bóleści, aż podłoga w izbie więzienia mokra się wszystka, złana stała i ciemna.

I zadumałem się był, że tyle może być bóleści w duszy i leż w człowieku twardym...

Do ostatniej wytoczyły się ze mnie wszystkie, na wzór tej krwi, co do ostatniej kropli wyciekła.

A we łzach toczył się ze mnie żal za ciężkie, straszne uczynki moje.

Och, na dnie serca zdruzgotanego poruszona żądzo!

O, podeptane przez ludzi, zepsute samochcąc – jam jest! – które samo siebie kąpało i myło we łzach!

Dusiły mię czyny moje dawne za gardło, leżały wokół mnie na ziemi.

Po stokroć, po tysiącokroć w tajnię sumienia zaglądały.

Po stokroć serce miał wspomnienia krzywy szpon.

Aż z wolna zelżał, zmałał, ustał żal.

Stało się w sercu ciszej.

Ktoś pod głowę upadła spokój podsunął, jak gdyby rękę ojca czuła.

Zdało mi się w onej minucie, że przed śmiercią w onym głębokim umarł żalu.

Zwidziało mi się, że zakwitnę na podobieństwo gałęzi bzuwej w rytwiańskim sadzie, kiedy ją deszcz niebieski zlał i kiedy zamiast czarnej pławiny stała się pieśnią żyjącej duszy.

Zwidziało mi się, że splukał z naju – z ziemi tej i ze mnie, którzy jedno jesteśmy – wylew mych łez proch zestarzały, brud starodawny, z którego sobie uszył delią – i że oto wyjdę nagi, wydziedziczon, radosny banita, nowy do cna, patrzeć na blask oleśnickich stawów, na fale, co się gonią po wczesnych żytach, słuchać pokrzyku czajek nad mokrymi łąkami...

A wyście na moją straszliwą skruchę i na przedziwną moją chwilę łaską polską nie wejrzeli.

Wyście mnie, wskrzeszonego na duchu, nie wypuścili la świat, lecz trzymali w izbie straszliwej.

Wywlekliście mię – bracia – na pniak, gdym był oczyszczeń, we łzach, żywot rodzących, skapany.

O katowie!

Słudzy „prawa” – gdy byłem obmyty z samego siebie

i hizopem pokropiony, a gotów w ciało swe przyjąć czyn niezmierny, trud straszliwy odkupienia.

Poznałem wtedy, kto wy jesteście!

Wonczas to nowy gniew, gniew wyższy, iście szatański we mnie się wzniecił, spłonął, rozpętał.

Tyś go zażęgl!

Ty!

Nie król, dla którego byłem kłającym psem, zgładzenia jeno godnym.

Nie Kanclerz, szkolarz padewski, smołę chudopacholską pochlebny słowem rozgrzewający, żeby się za nim naokół wlekła, któremu zawadzałem w jego podróży do spichlerza dostojności.

Lecz ty, boś przysięgłym sercem czynił i w cnotę swego postępu bez żadnej wierzył rachuby.

W oblicze moje wtedy, gdy tamten z kościoła wyszedł i ze złożonymi biegł dłońmi, strwożony, czy mu przebaczę – tyś spokojnie, zimno patrzył.

A nie zobaczyłeś nic.

Szat moich oczyma dotknąłeś.

Dołmę ze mnie, na blance stojąc, skinieniem zewlec kazałeś, żeby katowi sposobniej było dzieła dokonać.

A kat, pomnisz? kat rzucił miecz!

Ujrzał może czystość moją i do kościoła uciekł w trwodze śmiertelnej od pniaka...

Siania się HETMAN. Chwieją się jego nogi stare. Gną kolana. Splatają się i łamią ręce. Runął na ziemię wyciągnął dłonie z jękiem i nogi straszego Widma objął szlochając. Do butów we krwi stapianych usty się czołga, usty przywiera.

Poznał hetman w krótkim ocknieniu, że ustami ziemię całuje, a dłonią próżnię objął. Westchnienie uciśnionemu sercu ulgę przyniosło, a nowy, głuchy sen w dal niesie samowiedzę.

Kędyś daleko...

Namiot bogaty w polu pod Moskwą, na górze.

Wokół jałowiec dziki rośnie. Wśród niego droga błotnista się wije. Widać w oddali miasto opasane wzrębem z drzewa, daleką i szeroką ogrodą. Wznoszą się na wierzchu parkanów ostre wieże i uzbrojone palanki. Nad Nieglinną rzeką połyska białymi ścianami z kopanego kamienia Cargorod i jeży się groźnymi wieżami.

Nad Moskwą rzeką sterczy dziki Krymgorod – główny zamek. W pośrodku miasta, osobnym obwiedziony murem – Kitajgorod. Lśnią na słońcu kopuły świątyń murowanych, złocistą krytych blachą. Widać ciemne, o wysokich świetlicach dwory magnackie. Jak przyłbi-ca zawarta czernieją tam Frołowskie wrota, wiodące na „łobnoje miasto”, wzgórze czerwone od krwi.

Sto dzwonów w Moskwie bije.

Spełnił już hetman wszystko swe. Po rozkaz wraca do króla pod Smoleńsk. A gdy przez miasto Moskwę w drogę swą jechał, zabiegał mu lud czarny drogę – który latami od wojny tyle wycierpiał, a pod hetmańską buławą ciszy zaznał – „mirem” go, w pas kłaniając się, żegnał, a krzyżem błogosławił. Prosił go mężowie rady, żeby nie odchodził z miasta i ażeby cugle siły a prawa w dłoni trzymał.

Teraz za miastem daleko rozbili namiot w polu i wielka ciżba ostatnim go żegna słowem.

W złotogłowych dołomach, w czerwonych z aksamitu kopieniakach szubami sobolimi podbitych, stoją tłumem bojarowie, okolniczy, dworzanie. Na głowach mają szłyki białe, ry-sie, a przez każdy szłyk dwa łańcuchy – na nogach buty białe. We dwa szeregi stanęli u wej-ścia namiotu. Cudne za nimi konie pod kapy złotolitymi i pod siodłem szkarłatnym.

Za dworzanami strzelcy i straż zbrojna w berdysze. Dalej olbrzymi lud...

Zamilkły trąby. Ucichła wrzaskliwa muzyka. Stanęły hetmańskie chorągwie. Do wnętrza namiotu wszedł książe Feodor Iwanowicz Mścisławski – sam.

Giermak na nim biały, haftowany, na ramionach wielka delia.

Oczy kniazia ciche, mądre, głębokie.

Patrzy długo w hetmańskie oczy.

Wstrząsnął głową kędzierzawą.

Ręce złożył na piersiach.

Rzecz:

– Och, ty cny jesteś, Stanisław Stanisławowicz,

Jaśnie wielmożny pan hetman Żółkiewski!

Oto wyszedł wszystek prawosławny lud,

Na dachy wstąpił, z okien wygląda,

Krzyczy ze szczerej, z moskiewskiej piersi,

Pozdrowienie ci śle, żal, pożegnanie,

Krzyżem cię żegna i w goście prosi,

W goście ciebie prosi, żebyś wrócił znów

W rozwarte wrota Moskwy-macierzy,

W Kremla złotego pałac wysoki...

Prosi ciebie w goście, obcego wroga,

Polskich najeźdźców wodza, hetmana...

A na wysokiej wieży kremlowej

Bije dzwon wielki, car wszystkich dzwonów,

Żebyś w drodze słyszał żal, pożegnanie,

Żebyś w drodze pomnił, że ci się kłania, Nisko ci się kłania prawosławny lud I za służbę twoją śle ci pochwałę. Służyłeś ty sprawie na Rusi dobrej, Nie jak cudzoziemiec, nie jak chy-try wróg, Lecz jak przyjaciel, mądry doradca:

Przeciw łotrom ostry przypasałeś miecz, Przeciw rozpustnym wstąpiłeś w strzemię, Mocną prawicą uśmierzyłeś zgiełk, W otworzone zamki wszedłeś bez gwałtu, W dworzyszczu car-skim siadłeś bez pychy. Skłoniłeś czoło przede czią Rusi, Straszna jej klęskę uszanowałeś,

Przed patryjarchą zgiął się nisko, Zrzucił z tronu cary osłonił, Szablą swą krótką mocno zastawił Cara Wasyla strzyżoną głowę.

Stały skrzydlate twoje chorągwie, Na dziewiczym polu stały błyszczące, Ostrymi trzaskając w pochwy mieczami. (Niecierpliwy jest polski najezdnik...) A za Moskwą rzeką pan Sapieha stał, Niełacne panie, dumny swawolnik, Tuszyńskiego carzyka pułkownik strogi. Groził zasie pułkownik pan Sapieha Jan, Ze zwali zamki białokamienne, Ze wywróci pałac Kremla złotego, Ze nie przepuści moskiewskim mężom, Starcom ni dzieciom, ni dziewczkom młodym. A wyjeżdżasz ty, panie Hetmanie, Na koniu wronym, srebrnostrzemiennym Przeciw pana Sapiehy wojska męznego. A wyzywasz ty pana Sapiechę Na rozmowę polską, tajną, sekretną.

Jaśni panowie, wodzowie dzielni,  
Dosiedli koni w pośrodku pola,  
A pułkownicy w giętych kolczugach  
Krażą z daleka dokoła wodzów.  
I wysokie twoje żółkiewskie słowo  
Pokona hardą złość sapieżyńską!  
Skłonił się tobie Strusiów buzdygan  
I wyciągnął precz na twoje słowo  
W siewierską ziemię Sapieha krwawy.

Pierzchnął spod Moskwy tuszyński złodziej!

Sława tobie, hetmanie, panie Żółkiewski! Od wszystkiej ziemi pokłon ci niosę, Iż nie ma w Rusi szalbierzów śmiałych. Ja, książ najstarszy w Ruryka rodzie, Między książęty przedniejsza głowa, Kłaniam się nisko – weź pokłon ziemny – Dla cara naszego, dla Władysława Zygimontowicza, księcia jasnego, Weź patryjarszej pokłon pokory, Metropolitów, arcybiskupów, Archimandrytów, biskupów cichych, Od ihumenów wszego soboru, Od dworzan starych wszelkiego stopnia, Od okolicznych, stolników, strapczych, Od głów strzeleckich, przykazyń ludzi I od wszej Rusi dzieci bojarskich...

#### HETMAN

Przyszedłem tu świadectwo złożyć przed wami o Polsce.

Ninie odchodzę.

Czołem Rusi świętej za gościnę!

Przypatrzylście się pilnie grzechowi naszemu i cności naszej.

I oto splotły się ręce wrogie w mocnym uścisku. Pokłon wasz odniosę królewiczowi.

#### MSCISŁAWSKI

A my ciało rozszarpane Hryćka Rostrygi

Na wysokim, na szerokim stosie palili,

A my popiół jego ciemny, mnicha oszusta,

W szmatę, którą brud się zbiera, pilnie zbierali.

I w armatę popiół jego podły nabity,

Wielkim wyciorem puszkarzskim zaszpunktowany.

A wystrzelą puszkarze popiół Gryszki Rostrygi

W zachodnią stronę, w stronę daleką,

Gdzie za siódmą górą, za siódmą rzeką

Polska kraina szumi sejmami.



## HETMAN

Słyszałem głośny strzał, mocny głos waszej ziemi. I przyszedłem na strzał przez ciasne kłuszyńskie pole od polskich wolnych ludzi prawdę wam rzec.

## MSCISŁAWSKI

I ugościli my ciebie chlebem i solą,  
Na pianistego miodu ruskiego czarę prosili.  
Napoili my konie twoje w Nieglinnej rzece,  
Prowadzili my je w carski podwórzec  
I na czerwony plac, na łobne miejsce.  
Bo na łobnym miejscu od krwi czerwonym  
Nasze dzieje tajemnicze wsiąknięto w ziemię...

Wychodził groźny książę Iwan Wasilewicz Orlimi patrząc oczami, jak topór świeci, Jak spada głowa starobojarska, Jak wsiąka w ziemię stara swoboda. A kiedy ściągnął jeno brwi sobolowe,

Drżał potomek zacny książąt udzielnych, Drżał bojarski rząd i dworzanów koło, I bogaty gość, kupiec swobodny. Po kamiennych schodach wyciekała krew, Siadła na progu zdrada okrutna. O północy szedł opryczeniec chwata, Do małżeńskiej górnej wchodził sypialni... Łamał groźny pan Iwan Wasilewicz Ostatnią piosnkę o dawnej doli, O dawnej chwale, dawnej równości. Zapłonęła Ruś ogniem czerwonym, Głucho szczękęła o pniak siekiera Niszcząc w ojczyźnie rody odwieczne... Ostrzygł srogi car Borys Godunow Ojca mojego czcigodną głowę, Zamknął ją w ciemnym lochu klasztornym, A rankiem ściał ją na pniaku hańby. Porwał mi srogi car Borys Godunow Siostrę rodzoną, dziewicę jasną. Przemocą wtrącił w mury klasztoru. Porwał mi zięcia car Borys srogi, Jasne mu oczy kazał wyłupić. A ja z Ruryka krwi ród swój wiodę, Z udzielnych książąt jestem szeregu I mógłbym zasiąść na carskim tronie, A byłem chłopem groźnego cara I chłopem stał się każdy dworzanin.

Z senatorskiego polskiego koła Przychodził do nas pan bardzo możny, Dumny pan Mniszech, rada królewska. Stała go do nas nie wasza władza, Doczesna władza, królewska, radna, Lecz go wysłała żądza dusz waszych, Ażeby gniew nasz wyzwał na rękę.

A chciał pan Mniszech, ziemianin polski,

.Na cniopskich barach usiąść okrakiem, Na chłopskich barach udzielnych książąt, Co się pańskimi stali chłopami, A stopy wesprzeć w uralskie skały I w Lodowate poglądać Morze... Przybyła do nas wasza niewiasta, Wielce nadobna polska dziewczica, Bo zapragnęła dusza jej czysta W dalekim mieście nad Wisłą rzeką, Żeby na szczycie carskiej wierzchnicy, Na majestacie usiąść złocistym, Na krześle pańskim w srebrze kowanym. I zapragnęła cudna dziewczica, Żeby zamczystą kniaziów koronę, Którą Jarosław w mądrości począł, Którą Monomach kamieniami zdobił, A którą mocny car Wasilewicz Skuwał obuchem swego Topora, Włożyć na swoje dziewicze włosy. I zapragnęła cudna Maryna, Żeby się odziać dołomą carską, Co łąz perłami gęsto usiana, Wzdychań szafirem czarnych wsi ruskich Przez bardzo długie wieki sadzona. I zapragnęła cudna dziewczica Na palec wsunąć pierścień z rubinu, A w rękę ująć sceptrum wszechwładne. I stała się wasza cudna dziewczica Dziewką każdego łotra Rostrygi.

Za nią przyjechał siepacz okrutny, Lisowskoj pan junak i Sapieha Jan – Srogi wilk, Zborowski, sokół bujawy, Adam Wisznowiecki książę, zdrajny Zarucki, Rożyński pan, kamienne ramię, Narymuntowicz książę, Tyszkiewicz Samuel. I poczęli rąbać plemię zrąbane, I poczęli palić wsie, zamki, dwory, Pochwy pałaszów odrzucili precz, W wielkie doły wałą pobitych ludzi, Kopce nad nimi wznoszą wysokie. Pan Lisowski pędzi aż pod Astrachań I pod szerokie Kaspijskie Morze, A zalewa krwią Miedwieże brody, A obryzga krwią Troicką skałę, W cer-

kwi Rostowa naród morduje, Przez Kostromę, Jarosław, Ugiecz, Wołogdę Dopadł lodowych morza wybrzeży, Gdzie się z bałwanem zamróż mocuje, Gdzie góry lodu ze zgrzytem, z trzaskiem Wojnę ze sobą toczą na głębi. Gromią polskie chorągwie Wasyla cara, Pałą zamki dębowe, ludzi sieką w pień. A gdzie stały miasta, wiatr dmie perzyną, W lochach kości krwawe oplakuje deszcz... Ubroczyła się szabla do rękojeści, Rąbiąc ciało Boga w ludzie nieszczęsnym...

## HETMAN

Ubroczyła się szabla do rękojeści, Rąbiąc ciało Boga w ludzie nieszczęsnym... Spracowało się szalone ramię. A obłąkana dłoń ustała z trudu.

Krwawy dym wzbijał się przed moje oczy, kiedym tu do was szedł.  
Pod kopytami mego rumaka jęczała głucho spustoszona ziemia.  
Książę tego narodu, w którego sercu mieszka rada i głęboko sięgający czyn!  
Książę, którego serca nie przejęła żądza korony!  
Niech prędko w ziemię wsiąka krew przelana!  
Niech kłosa, trawy i święte kwiaty rodzi.  
Zapach niech płynie na miejscu, gdzie od skonu ucichł jęk.  
Kwiecie na kopcach usiądzie, w których spoczęły kości krwawe.  
Pieśń w ramionach poniesie bezdrożem dalekim głowę junacką ze zgasłymi oczyma.  
Podanie w dzbanek święty zbierze matczyne łyż.  
Lecz twoje oczy nie do łez się zrodziły.  
Ręce twoje nie na to, żeby je rozpacz łamała.  
Ty zacznij nowotny trud!  
Ja trud nowotny zacznę!  
Młodą znowu niechaj się stanie dusza twoja jako dusza pasterza Dawida wstępującego na ścieżkę Pańską.  
Młodą niechaj się stanie dusza moja.  
Otwórz wrota przed ciżbą zawarte.  
Niech oddech, pośpiech, gwar, płacz i śmiech żywota nowego wstępuje w progi!

## MŚCISŁAWSKI

Och, ty cny jesteś, Stanisław Stanisławowicz, Jaśnie wielmożny pan hetman Żółkiewski!  
Patrzyła dusza moja, wzdychało serce, A patrzyła dusza moja w najcięższą dobę I w ciemne moje noce pilnie patrzyła, Jak za siódmą górą, za dziewiątą rzeką Złota wolność wasza szumi skrzydłami, Złota wolność wasza, łąckich prawda dusz... A wstawałem ja o ciemnej jutrzni I łamałem ręce, o mur tłułem głowę, Czyli znajdę w Polsce – Rusi zbawienie. Zgiął się w pałąk grzbiet cięciwą zgięty, Wielkie na czołach guzy wyrosły

Od pokłonów ziemnych, od bida czołem — A zawždy niska jest ta ruska ziemia, A zawždy dzika, lasem zarosła, Zawždy złana krwią, ogniem spalona.

Więc głęboką dumę usnułem w sercu:  
Pójdę ja w zachód szukać nauki,  
Nie przestraszę się polskiej elekcji  
Ani rozgwaru łąckiego sejmu,  
Nie przestraszę się namów koronnych,  
A przypatrzę się, jak żyją wolni,

W dalekich stronach, w ziemiach odmiennych,  
Jak uczą młodzież, budują miasta,  
Stawiają gmachy, kunszty kształtują.  
I serce moje dumę tę chowa,  
Z czarnej gałęzi pąk znów wystrzeli  
W ruski poranek, chłodny, kwietniowy,  
Powieje polem wiatr z zachodu,  
Ubarwi pole kwieciem radosnym.  
Och, tęskni dusza do szczęścia ziemi!  
Siądzie Zygmuntowicz na wysoki tron  
I okoli go wierny ruski sejm,  
I otoczy go serc ruskich rada,  
Ludzi prawych dusz, podźwignionych czół...  
A po miastach tryśnie światło nauki,  
Nie będzie wiedza grzechem na Rusi,  
Za czytanie ksiąg nie zapłonie stos...  
Dźwignie znowu topór w lesie drzemiącym,  
Dźwignie znowu sioło na popielisku,  
Zabuduje miasto kamieniem białym  
I ogrodzi zamek wzrębem dębowym...  
Lecz zaprzysiąż, jasny panie hetmanie,  
Prawdę o Polsce z serca wyjętą!

#### HETMAN

Książę! .Miałem tu przeraźliwy sen...  
Pragnę wyrzucić ten sen, odeśnić wszystkie zjawy stare, w przepaść je strącić nicości!  
Wiem ja o nowym polskim śnie...  
Kraży nade mną w mrokach rozległych, w głębinie duszy mojej zaległ...  
Słysząc li tylko echo po rosie piosenki jego nowo śpiewanej...  
Jakże sen zmusić wolą żelazną, żeby się stał?  
Taki to trud – o aniele ojczyzny powieść ogłaszać, jak wolą z nocy zwoływać sen!  
Oto me słowo:  
– Ujmę miecz, nie pożałuję zdobytej sławy, nie zapłacę za szczęściem dobrego bytu, będę  
rąbał z ramienia wrota przemocy!  
Wyrwę sztylet i drzeć nim będę larwę oszustwa.  
Jest w orszakach ludzi polskich geniusz lotny, jest od przemocy zamęczona czcigodna  
wola.  
Są ludzie nowotnej Polski o duszy niebiańskiej, motyle cudnoskrzydłe rodu człowieczego,  
kwiaty cudowne w rubasnym pustkowiu.  
Przez trud tych dusz w Polsce samotnych przysięgam, iż wydzwignie się anioł jej we-  
wnętrzną mocą swoją z cielesnej poczwary!...  
Kędyż to, koniu, w jaki kraj wiuga cię straszna poniosła?  
Noc jeszcze wkoło.  
Ledwie szarzeje świt.  
Gna polami miccielica.  
Uderza w lasy taran wichru.  
Schyla się z trzaskiem puszcza jodłowa.  
Śniegu na niej łapy olbrzymie zamieć poddyma.  
Wzdryga się rozległe pole i w tumanie śnieżnym leci.

Kurniawa powlekła świat.  
Kopie się w głębokich zaspach zdyszany hetmański koń.  
Sam jeden mknie bezdrożami.  
Staje strwożony, z grzywą rozwianą w świstach polnych i w pustkowie leśne rzy. Rzeniu  
końskiemu wilcy puszczańscy jakoby echo wtórują.  
Starą krew wodza ścina mróz.  
Kurzawa śnieżna oczy zasklepia.  
Chichoce z jeźdźca chachaica, w otchłani mórz lodowatych poczęta, w błotach zamarzłych  
wychowana.  
Wichura niesie daleki gwar.  
Stanął w pustce rumak zdyszany...  
Błędne w dali zjawiny śniegami brną.  
Pospępane widziadła kolumn człowieczych, legie, sapieżyńskim tropem w północ pędzone.  
Golone w pół głowy ich szmata skrwawiona okrywa.  
Stapiane sukmany od burzy chromą grzbiet.  
U rąk, u nóg dzwoni żelazo.  
Krucy nad nimi kraczą czarni i chytre wrony kołują stadem.  
Wyją na nich wilki w borach.  
Skostniałe oczy legionu patrzą się w sępa męczarni, co w chmurach nad nim leci.  
W ten wzrok nieustraszony zapadła się wola święta.  
W lica wychudłe, żółte, nalane – pogarda cierpienia.  
Jak jeden człowiek idą tłumem, ciągnąc w świat.  
Dojrzeli jeźdźca we mgłach...  
Okrzyk, ten sam, co z lochów cyrku Dawida witał, pozdrowił serce upadłe.  
Zsiadł hetman z konia.  
Pobiegł ku nim...  
Padł przed braci legią z rozkrzyżowanymi ramiony na twarz.  
Leży w szlochach przed widokiem pohańbienia ojczyzny, w jęku piersi łamiącym.  
Zgrabiałe palce w śnieg się wbiły.  
Serce umiera z żalu...  
Aż oto nagły błysk gniewu rozdarł mrok ducha.  
Prawica głowni miecza dopadła.  
Senny krzyk – nie pozwalam! – który zmora garścią dusi, szarpie się z piersi w ostatnim  
tchu...

## EPILOG

Stał tabor bezsilny w czwartym miejscu wytchnienia.

Nie chciał, gdyż nie mógł iść.

Lecz, mało-wiele mieszkając, rzuci się ciżba do niesprawy.

Natychmiast, w tymże miejscu, ledwie wytchnąwszy, chcieli panowie odzyskać wszystko dobro ze skarbników przez ciury skradzione.

Tu, na tymże placu, chcieli karać drapieżność rabusiów.

Atoli większość rycerzy uszła już była z obozu albo od ciosów nieprzyjaciela poległa.

I stało się, że ciurów więcej już było niżeli rycerstwa.

Z głodu, z pragnienia i z zemsty od dawna narosłej zaczęli znowu ciurowie żakować, rznąć skóry wozów i wywłóczyć dobytek, pętlą imać na arkan z zasadzki walczących na szanцу rycerzy, konie chwytać, objuczać je mienia ostatkiem i w noc czarną uchodzić.

Czując nad sobą sąd za Dniestrem i śmierć prędką, poczęła tłuszcza wrzeć szaleństwem i bezrozumnie pędzić w rozsypkę.

A skoro hetman polny sprawił tabor i sił ostatek wyteżył, żeby dalej uchodzić, swar szalony panów z ciurami nie dał rządu dokonać.

Rycerze w kupę się zbili w przednim kącie taboru – ciurowie w poślednim.

Uszedł spod kolasia i chyłkiem z obozu zdrójca do wroga i sprzedał za pieniądz wieść o tym, co się dzieje w taborze, Kantymirowi.

Więc jako skrzydła obłoków gradowych, poczną się rozciągać, rozwłóczyć, wyteżać nieprzyjaciela zagony.

Czekał wróg nieomylnie, że ludzie w obozie jedni drugich czekanami wyrąbią, strykami wyduszą, jedni drugich szablami z ramienia rozsieką, jedni drugich porzną z nienacka nożami, jedni drugich włócznią przebiją.

Aż o godzinie sobie wiadomej zacznie wróg bić ze strzelby, z janczarek, z samopałów w tył taboru, w spieszony lisowski ostatek i w polnego hetmana wytrwałą ochotnika chorągiew.

Im bardziej się wzmagała natarczywość napaści, tym okrutniej bestwiła się wewnętrzna wrzawa walki w tłuszczy oszalałej.

Ten i ów z rycerzy, spracowany niespaniem, chodem, bitwą i dziełem, ogarnięty paniczną rozpaczą i pozbawiony rozumu, wypadał w noc z rzędu wozów, gnał ku Dniestru, między staborzone, czyhające na zdobycz tłumy Wołochów.

Najwyższy wszczął się tumult.

Huk strzelby i samopałów.

Tętent koni, ze stepu na obóz przypadających.

Ocknął się kanclerz ze snu twardego.

Siadł na posłaniu i rozważał – sen li to jeszcze?

Usłyszał za namiotem krzyk, żeby zmniejszyć tabor wozów i małą kupą uchodzić.

Poznał Marcina Kazanowskiego głos.

Usłyszał inny krzyk, żeby wszystko porzucić i komunikiem, co siły w koniach, gnać do rzeki.

Usłyszał trzeci krzyk, żeby wozy zostawić, zsiąść z koni, konie sprząć, czyli zbatożyć, i poza końmi, jakoby za taborem odstrzeliwując się iść do kraju na los.

I posłyszał hetman w krzykach tych, zrozumiał trzeźwo, że to już złamane jest wszystko i że nadchodzi śmierć.

Zdrętwiało jego serce, wzniosło się od modlitwy i wzmogło.

Wstał z łoża – szablę przypasał.

Wdział kołpak.

Wyszedł.

A był już obóz rozerwany.

Tatarzyn łańcuchy wozów tam i sam rozrąbał, w tabor się włamał i w wyrwach siekł się w pałasze z obroną.

Ze wszech stron tworzyły się dziury w zaszczycie.

Ci, co jeszcze kolas bronili, padali od miecza, inni w stryki Wołochów.

Najśmielszych rąbało ostrze na śmierć, upadłych tratowały kopyta pędzących bachmatów.

Kantymir uderzył teraz tysiącami i zbierał wojskiem rozbitych, jak ptaki siecią.

Znalazł się kanclerz z hetmanem polnym w przedzie taboru.

A koni przy nich jeszcze trzysta.

Bokami końskimi się zwarli i tamę postawili nawale tatarskiej.

Przeciw nim wszystka siła Kantymira.

Powtórnie ozwie się rada: – wszyscy z koni!

Konie batować!

I posłuchali wszyscy jako rozkazu.

Kanclerz, zsiadłszy ze swego, ręką mu kark przez chwilę gładził...

A wraz rozparł się w nogach starych, szabli dobył, przebił nią bok i serce konia drogiego z mocą dawną – na znak, że nie będzie uchodził.

Padł wierny koń.

Na przednich wsparł się nogach i zarżał ostatni raz waletę panu.

Lecz już nie spojrzął pan. Już go nie słyszał. Szedł w swoją daleką drogę.

A szedł w gronie coraz mniej licznym, na kilkoro strzelenie z łuku.

Syn przy nim i towarzysze wybrani – dusze polskie. Kto jeszcze konia mógł dopaść, w noc uchodził. Aż zostało towarzystwa dziesięciu mężów: Kazanowski Marcin, Bałaban, Żółkiewski Łukasz, Potocki wojewodzie, Farensbach, Silnicki i Strzyżowski rotmistrze, Maliński, Kurzawski i Złotopolski Abraham.

Syn hetmański jedenasty, hetman polny dwunasty, kanclerz trzynasty.

Tak we trzynastu, niedobrej liczbie, w odważną puszcza się drogę.

Prosil go towarzysze, żeby na koń siadł i uchodził. Konia pojmanego z taboru syn mu przywiódł. W milczeniu odtrącił strzemień – przydając, że miło mu będzie razem z takimi umierać.

Spojrzał po hufcu i nie dostrzegł nikogo z tych, co odeń odebrali przysięgę, że z obozu nie ujdzie. Gorzkim się śmiechem zachłysnął. Z nocy na idących runęła wielka wojsk fala. Zawyją w szaleństwie radości Tatarzy. Ujrzy hetman przed sobą, daleko, w blasku kagańców – w łykach syna jedynego, jak go na uździenicy konie wleką po ziemi.

Więc pocznie się z zastępy wrogów siec sam – na śmierć – za imię polskie.

Ciosy w boju padają na głowę, na piersi i na ręce. Jeden i drugi napastnik od jego szabli na placu pozostał.

Odrąbał dziki z Azjej barbarzyńca w ramieniu rękę z szablą wrośniętą w dłoń. Odsiekł ją jakoby gałęź od pnia.

Padło walczące ramię, co sławy polskiej nie puściło z dłoni.

A ściał inny wysoką głowę.

Zleciała, jako dla wilków przynęta, żeby się nad nią zabawili, załoga bezpieczeństwa Rzeczypospolitej z granic jej wyniesiona – iżby dalej spać mógł naród – ostatni dar dla ojczyzny i harde skwitowanie panom Potockim ze zniewag odbioru.

Porwał ją trzeci żołdak, wbił na spisę ku wiecznemu postrachu i czci polskich pokoleń.

Krew poplątanymi strugami drzewce wysokie oplotła.

Zasnęły oczy zniechęcone.

Przed namiotem głowę wroga Iskiender basza wystawi.

Padyszachowi w darze ją pośle.

U bramy drewnianej seraju, którą sułtan do meczetu chadza, na włóczni zawisnie przez lata.

Aż jej ptacy, gnieźdzący się w wieżach Aji Sofii, o której marzył wydarciu, żrenice wydziobią.

#### DODATEK

W zeszycie mieszczącym brulionową redakcję rozdziałów I tomu Popiołów zachował się fragment pierwotnej wersji utworu zwanego ostatecznie Duma o Hetmanie. Fakt zapisu w tym miejscu pozwala utwierdzić się w przekonaniu, że autor już około roku 1900 miał na warsztacie twórczym rapsod o Żółkiewskim.

Brulionowy fragment ten zaczyna się od pierwszej zaraz linijki na s. 7 zeszytu. Z treści i ze sposobu zapisania widać, że nie jest on redakcją wstępnych zdań utworu, że jest jego dalszym ciągiem. Początek znajdować się musiał w jakimś innym zeszycie. Musiało go być sporo. Dochowana wersja brulionowa ma w redakcji ostatecznej swój odpowiednik na s. 141—142, a więc mieści się niemal pod koniec Prologu.

Tekst fragmentu nie wypełnia całej kartki; na awersie jej trzecia część od dołu została czyta. Autor najwyraźniej przerwał pisanie. Stronice dalsze mieszczą różne notaty użytkowane później w Popiołach, po czym (od s. 10) już bez przerwy idzie tekst rozdziałów z końcowej części I tomu Popiołów. W tym samym zeszycie mieści się pierwszy akt niezatytułowanego dramatu. Można by mniemać, że cały zeszyt był może przeznaczony zrazu na utwory odrębne, a dopiero później nadał mu pisarz inne przeznaczenie.

Tekst fragmentu o Żółkiewskim pełen jest kreśleń i wariantów; skreślane są wyrazy, wyrażenia i całe zdania. Nie ma co ich tutaj pomieszczać: Podajemy tekst ten w ostatecznym ujęciu, oczyszczony z wyrazów i zwrotów przekreślonych i odrzuconych.

#### DUMA O HETMANIE Fragment pierwszej redakcji

[...] Siedem dni upłynęło i siedem nocy od chwili wyjścia zastępu z okopów Cecory. Głód wyostrzył twarze żołnierskie jak miecze, w oczach zapalił ogień nocny znad bagien, szczęki zawarł a słowa zmierzwił i wbił w piersi. Nie brakło na pokarm koni bojowych, ale chwili nie było jednej, żeby ogień rozłożyć i mięso piec. Wody w stepie nie było. Deszcz ustał.

Ludzie szli bez snu dniami i nocami. Więc jedni walili się na wozy jak martwe kłody wpośród bitwy, inni tracili rozum i krzykiem wzywali pomsty na głowę wodza.

On szedł niespracowany w głodzie i niespaniu. Zu-pan na nim od kurzu szerniał, żyły się wzdęły w nogach, nie rozzutych od tyłu dni. Choć stare kości były zbite, żyły wywinione, włosy stargane – szedł po dawnemu. W wargach na węgiel zgorzałych został uśmiech pogardy. Nikt nie widział, jak osobny, jak popędliwy, jak zaciekły wicher sercem jego władca. Z wolna otwierało się przed nim coś skrytego aż dotąd a osobliwego ponad wszelkie słowo, jakoby drzwi kute schodziły z rdzawych zawias. Wiedział, że ma to ujrzeć i że już widoku tego nic sprzed oczu nie uchyli.

Wiedział, że stanie się z nim wtedy jak z żaglem na morzu lecącego okrętu. Wiatry go, na one pustynie wody spuszczone z otchłani, porwą i nieść będą jako chcą...

## SPIS TREŚCI

ARYMAN MŚCI SIĘ .....
GODZINA .....
POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU . . DUMA O HETMANIE .....
Prolog .....
Widziadła snu .....
Epilog .....
DODATEK Fragment wersji brulionowej „Dumy o Hetmanie”